

KOLEJNY DODATEK Z CYKLU
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ



KLAN CIMOSZEWICZÓW
MAŁO CHWALEBNA HISTORIA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 9 (274) 2018
26 lutego–4 marca
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KIM PAN JEST, PANIE DANIELS?

MOCNA ROZMOWA, OSTRE PYTANIA:
CO ROBI W POLSCE, KTO ZA NIM STOI,
O CO NAPRAWDĘ CHODZI W SPORZE Z IZRAELEM

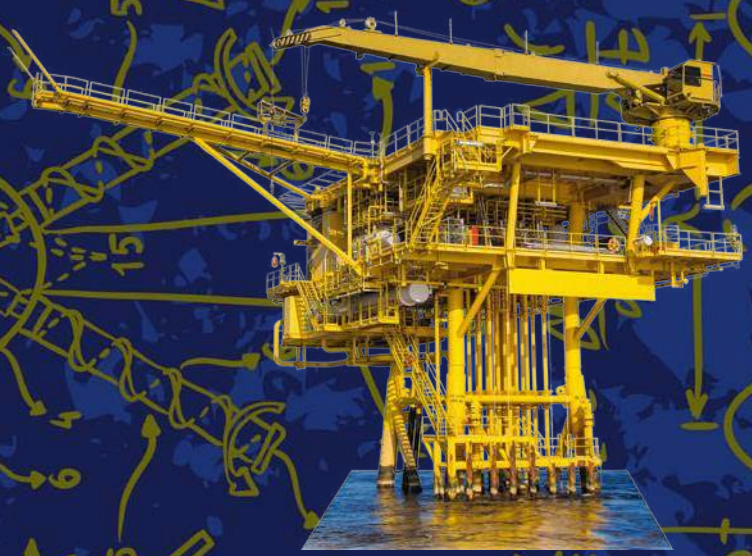
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
09
9 772544 269809

Już 5 marca w tygodniku SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

pierwszy z serii edukacyjnych dodatków





Od lampy naftowej do platformy wiertniczej

Ignacy Łukasiewicz • Witold Zglenicki • Henryk Merczyng

PARTNERZY DODATKU

Energa PGNiG

W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca do końca roku kolejne odcinki o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym

sprawa.pl-4329e3eee2

Układ walczy o życie

Ach, gdyby to było w Rosji czy na Ukrainie! Polskie opozycyjne media z lubością donosiłyby o żenującym polityku, prezydencie ważnego miasta, który kasę trzyma w kopertach, którego żona złożyła oświadczenia o 16 darowiznach, jakie mieli przekazać jej córkom pradziadkowie, na sumę 549 tys. zł. Nikt nie uwierzył, ale nie o wiarę tu chodziło, a uzasadnienie posiadania dziwnie dużej liczby mieszkań. Skromne 36 rachunków w 11 instytucjach finansowych małżonków (podaję za tekstem Marka Pyzy i Marcina Wikły w „Sieci" w lipcu 2016 r.) dopełnia tylko obrazu. Ale skoro to się dzieje w Polsce, w Gdańsku, to cicho sza! Bo prezydent Paweł Adamowicz broni demokracji i wolności.

Plan opozycji i jej mediów był chyba taki: jakoś dojechać z Adamowiczem do końca kadencji, udawać idiotów, ale w kampanii samorządowej wystawić kogoś innego. Ale Adamowicz wie, że jak się robiło takie numery, jakie on robił, to nie można po prostu odejść. To żelazne prawo takich pajęczyn. Ogłosił więc, że jednak wystartuje i nie podporządkuje się żadnym platformerskim rozstrzygnięciom. Na nic apele, w tym Lecha Wałęsy, by zmienił zdanie.

Nie dziwmy mu się. To, co wiemy o jego kontach i mieszkaniach, to pewnie nic przy tym, czego moglibyśmy się dowiedzieć, gdyby odszedł.

Ciekawe, czy granica wstydu została przekroczona także w oczach gdańszczan?

Michał Karnowski

Dojrzałość i hucpa

Relacje polsko-żydowskie należą do kategorii spraw niezwykle drażliwych. W ostatnich tygodniach mieliśmy do czynienia z sytuacją szczególnie trudną: Polskę posadzono na ławie oskarżenia, formułując jaskrawie fałszywe, straszliwe zarzuty i nie dając w istocie prawa do obrony. Coraz silniejsza presja miała nas skłonić do przyjęcia oskarżenia. Nie brakowało prowokacji, takich jak filmik fundacji z USA zawierający hasło „polski Holokaust": mogło chodzić o sprowokowanie do jakiegoś wybuchu, by później pokazać światu „polski antysemityzm".

Toczący się już miesiąc konflikt Polacy przeżywają głęboko. Dotyczy on spraw fundamentalnych dla wspólnoty: prawdy, tożsamości, samooceny; może mieć także konkretne, namacalne konsekwencje. Zrozumienie wagi tej sprawy jest powszechne, wykracza poza podziały światopoglądowe. Mimo to wykazaliśmy się jako naród dużą dojrzałością. Nie doszło do poważniejszych incydentów, generalnie udało się zachować konieczną powściągliwość. Rządzący dostali wsparcie, bez którego staliby na straconej pozycji. Świadczą o tym sondaże, nie tylko te partyjne.

Oczywiście byli tacy, którzy – można powiedzieć, że jak zwykle – zawiedli. Część mediów lewicowych nie kryła satysfakcji ze skali oskarżenia, starała się też je uwiarygodnić i wzmocnić. Byłoby jednak nieuczciwością stwierdzić, że ktokolwiek liczył na coś innego.

Jacek Karnowski



37/0218/F, 31/0218/F

Fot. Julia Szewczyk

eprasa.pl 4329e3eee2

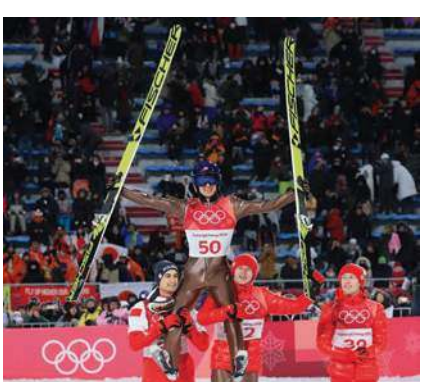
SIECI spis treści



44 Artystyczna pułapka na bogatych
Maja Narbutt



59--74 Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. II)



112 Złoto i złość
Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski
8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista
10 **CZY PRAWDA JEST NIEZBĘDNA?**
Krzysztof Feusette
11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski
11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Michał Korsun, Paweł Korsun
12 **SUROWA RĘKA NIESPRAWIEDLIWOŚCI**
Jan Pietrzak
13 **POLOWANIE Z NAGONKĄ**
Bronisław Wildstein
14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
15 **ZADANIA DOMOWE**
Marta Kaczyńska
16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z JONNYM DANIELSEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
28 **UPRZEDZIĆ CIOS**
Piotr Skwieciński
32 **KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

36 **TOWARZYSZ WŁODZIMIERZ**
Marek Pyza, Marcin Wikło
40 **OD BRUKARZA DO PUŁKOWNIKA INFORMACJI WOJSKOWEJ**
Piotr Gontarczyk
44 **ARTYSTYCZNA PUŁAPKA NA BOGATYCH**
Maja Narbutt
50 **OSWAJANIE ZABIJANIA**
Marzena Nykiel
56 **NIE MA IDEALNYCH MAM**
Rozmowa Doroty Łosiewicz z Anną Wardak

SIECI KULTURY

75 **Z DOROTĄ KOBIELĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
79 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
80 **STARY TEATR NA ROZDROŻU**
Piotr Zaremba
82 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
84 **POLECA**
Łukasz Adamski

HISTORIA

86 **ODZYSKAĆ KAWAŁEK SIEBIE**
Marcin Wikło
90 **Z „TROPEM WILCZYM" NA ŻAGLACH**
Piotr Czartoryski-Sziler

ŚWIAT

92 **MASAKRA ICHTAMNIETÓW**
Jan Rokita
94 **ROSJANIE OSKARŻENI**
Maria Szonert-Binienda
96 **BERLIŃSKI BASEN Z REKINAMI**
Jan Rokita
100 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

102 **BIZNES NA TALERZU**
Ewa Wesołowska
104 **RESORT SUPERWAŻNY**
Janusz Szewczak

SPORT

112 **ZŁOTO I ZŁOŚĆ**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

116 **MOJE SMAKI: JOACHIM PETTERSON**
Jolanta Gajda-Zadworna
117 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

118 **O METODACH ROZUMOWANIA**
Wojciech Reszczyński
119 **DWA ŚWIATY PAMIĘCI**
Wojciech Wencel
120 **BLACKOUT, ATOM I WIATRAKI**
Dariusz Karłowicz
122 **TOWARZYSZ GERSZ SZMUL BRENDEL**
Piotr Skwieciński
123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
124 **SZCZURY MNIEJ RÓWNE**
Wiktor Świetlik
125 **POMNIKI I MIŁOSIERDZIE**
Aleksander Nalaskowski
126 **HOŁOTA U STERU**
Robert Mazurek
127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
130 **STRONNICZOŚĆ!**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

32/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2



Skoczkom Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej PyeongChang 2018 gratulujemy sukcesów

Szukasz sportowych EMOCJI?

Kierunek jest jeden...

ORLEN

SPONSOR STRATEGICZNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

eprasa.pl 4329e3eee2

Z życia koalicji



Nie wiemy, czy śmiać się, czy płakać, ale potwierdzają się nasze informacje, że wcale nie jest pewne, iż to ***Patryk Jaki*** będzie kandydatem PiS na prezydenta Warszawy. I to mimo że mu od sierpnia w sondażach wzrosło o zylion. Dlaczego? Bo może mu rosnąć we wszystkich sondażach, ale ten najważniejszy i tak jest przeprowadzany na jednym mieszkańcu Żoliborza.

A co jeśli nie Jaki? W ramach sprawdzania szans zrobiono dodatkowe sondaże. PiS bada, czy szanse mieliby ministrowie. Już kiedyś plotkowano o Piotrze Glińskim, teraz mówi się o Mariuszu Błaszczaku. My wiemy, że państwu może się to wydawać jakimś niewiarygodnym wprost kosmosem, ale to pozory. Chcemy tu gorąco i żarliwie powiedzieć, że pan Mariusz to idealny kandydat. Ma wszystko, by podbić warszawiaków: niezależność, błyskotliwość, czar, charyzmę.

Świetne wieści dla PiS płyną z Gdańska. Ponieważ będzie tam kandydował obecny prezydent Paweł Adamowicz, to rosną szanse kaczystów. Problem w tym, że nie bardzo wiadomo, kto miałby ich reprezentować. Jednym z kandydatów jest Kacper Płażyński, młody prawnik i aktywista miejski, który ma tę wadę, że jakoś nie potrafi przekonać do siebie pisowców, traktujących go jako ciało obce. Aktyw partii cieplej spogląda na Karola Nawrockiego, dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, który ma wiele zalet i tylko jedną, jedyną wadę: jest nudny jak kilo mąki krupczatki. W PiS ta rekomendacja może przeważyć.

Co tam w krainie baśni z mchu i paździerza? Ano wybrano nowego szefa radiowej Jedynki. Został nim Michał Mońko, w radiu przedstawiany jako miłośnik tropienia gomułkowskich złogów, w ubiegłym wieku dziennikarz. Mońko to rocznik 1943, co nawet w omszałym Polskim Radiu zostało przyjęte z niejakim niedowierzaniem. „Przecież w tym wieku nawet biskupów wysyłają na emeryturę" – jęknął jeden z dyrektorów w tej instytucji. Ale z drugiej strony wreszcie jest tam ktoś, dla kogo Kaczyński będzie gówniarzem.

A w Słupsku może dojść do pojedynku Biedroń–Miller! Trochę żartujemy, bo to nie Miller, tylko Müller, ale w końcu wymawia się tak samo. Rzeczony Müller Piotr to młokos od Gowina, wiceminister nauki, który bez skutku kandydował do Sejmu. Od dawna słyszymy o nim same dobre rzeczy, ale jeśli my kogoś chwalimy, to ma w PiS pod górkę. Więc nie chwalimy.

Jak wiadomo, na wszystko starcza nam kasy, bo rząd świetnie ściąga VAT i nie kradnie – nie ma dnia, by nie informowały nas o tym „Wiadomości". No dobra, a wiecie, kto za to odpowiada? Ano zaufany Morawieckiego, niejaki Paweł Gruza, prywatnie syn Jerzego Gruzy, twórcy „Czterdziestolatka", dżentelmena raczej umiarkowanie kojarzonego z dobrą zmianą. Aha, Gruza jest też kompanem... Przemysława Wiplera. Ludzie, pomyślcie, ile oni by zaoszczędzili, gdyby pracowali na trzeźwo!

Ale w gruncie rzeczy nie dlatego zainteresował nas Gruza junior. Otóż dowiedzieliśmy się niedawno, że bezpartyjny junior jednak kandydował, co prawda na radnego Warszawy, i to w 2006 r., ale jednak. Paweł Gruza był wtedy działaczem... Gamoni i Krasnoludków Majora Fydrycha! Cóż, nam też się wydaje, że droga z Pomarańczowej Alternatywy do PiS jest znacznie krótsza, niż się niektórym wydaje. Łączy ich umiłowanie surrealizmu, choć w przypadku PiS niezamierzone.



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4329e3ee62

Z życia opozycji



W zeszłym tygodniu napisaliśmy, jak to prezydent Słupska ***Robert Biedroń*** zbanował na Twitterze dziennikarza „Polityki" Wojciecha Szackiego za jakiś niewinny żarcik. Okazuje się, że wcale nie jest to przypadek odosobniony. Wesoły luzak i król mediów społecznościowych blokuje każdego, kto o nim choćby piśnie krytycznie. W ten sposób – jak donieśli nam szpiedzy z Pomorza – Biedroń zbanował już pół Słupska. Włącznie z szefem „Głosu Pomorza", największej lokalnej gazety. Czyli Biedroń jest już typowym polskim politykiem – ma absolutne zero dystansu do siebie.

To jeszcze o nim. Niedawno w ratuszu słupskim pojawiła się komisja Państwowej Inspekcji Pracy. Inspektorzy zaproponowali przeprowadzenie anonimowej ankiety na temat mobbingu w urzędzie. Pomysł został jednak zablokowany przez przyszłego lewicowego kandydata na prezydenta Polski. Facet ewidentnie lubi blokować. Bardziej niż lewicować.

Bo – jak wiadomo – Biedroń chce startować w wyborach na prezydenta RP. I knuje wespół z Barbarą Nowacką nad powołaniem nowej formacji lewicowej, której oboje byliby liderami. Plan jest dobry, ale ma dwa słabe punkty. Po pierwsze, Nowacka może w decydującym momencie wyjechać na Bali. Po drugie, Biedroń może wcześniej przerżnąć wybory w Słupsku. Bo – jak mówi się w tym mieście – im dalej od prezydenta, tym więcej jego sympatyków.

A to heca! Paweł Adamowicz, ten od zatajonej fortuny, zapowiedział, że będzie kandydował na prezydenta Gdańska. Uczynił to już po tym, jak Grzechu Schetyna publicznie ogłosił, że Adamowicz startować nie będzie, bo ma inne plany. No i Schet wyszedł na głupka, a on takich zniewag raczej nie puszcza płazem. Więc naszym zdaniem Adamowicz jest skończony bardziej, niż gdyby go zapuszkowała PiS-owska prokuratura.

Podobno Adamowicz miał obiecane miejsce w europarlamencie (oj, przydałby mu się jakiś immunitet), byleby tylko nie kandydował na prezydenta Gdańska. Adamowicz uznał jednak, że platfusom nie można ufać, bo mogą go wystawić nie do Brukseli, ale do wiatru. Facet zna PO jak mało kto, więc pewnie jego obawa nie wzięła się z powietrza. Słodziaki z tych platfusków.

Nie ma mowy, żeby partia Schetyny poparła Adamowicza w gdańskich wyborach. Będzie zatem jakiś kolejny kandydat PO, który stoczy z Adamowiczem bratobójczy pojedynek. Zabawne, że padają w tym kontekście różne nazwiska, ale nie pada jedno – Jarosława Wałęsy. Nawet w PO, której poziom intelektualny zleciał na pysk niczym sprzedaż „Gazety Wyborczej", Jarosław Wałęsa cieszy się zasłużoną opinią człowieka, którego nie należy pokazywać światu.



Trzeba odnotować sukces ***Katarzyny Lubnauer***, która godnie zastąpiła Ryszarda Petru na stanowisku szefa Nowoczesnej. Otóż Nowoczesna dobiła już do progu wyborczego i oscyluje w granicach 5 proc. poparcia. Pani Katarzyno! Gratulujemy! Fachowa robota. I jaka szybka!

Nowoczesną przeskoczył SLD Włodzimierza Czarzastego. Mówiąc między nami, żadna w tym jego zasługa, po prostu na bezrybiu i rak ryba. Po prostu, jak w opozycji ktoś nie jest imbecylem, już wzbudza wielkie nadzieje. A Czarzasty zdecydowanie nie jest.



TYGODNIA Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Skwarczyński x2

eprasa.pl 4329e3eee2

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Czymże sobie Polska zasłużyła na takie traktowanie, na tak ***ohydne oskarżenie***? Walką z niemiecką bestią od pierwszego do ostatniego dnia jej trwania? Morzem krwi przelanej przez Niemców? Golgotą milionów rozstrzelanych, bestialsko torturowanych, zagłodzonych? To jest arcykłamstwo. Jeśli mu ulegniemy, nie zasługujemy, by istnieć. Jeśli przyjmiemy to fałszywe oskarżenie, zdradzimy pomordowanych.

Inteligentni, świetnie wykształceni zachodni dziennikarze wiedzą, że obozy koncentracyjne w Austrii, we Francji czy w innych okupowanych krajach ***były niemieckie*** lub choćby tylko nazistowskie. Jedynie w przypadku obozów na terenie Polski stosują geograficzne określenie „polskie obozy śmierci". I za nic nie są w stanie zapamiętać, że jest inaczej, mimo że nasze ambasady prostują od lat. Nie dajmy się nabrać.

W ramach występów na ***festiwalu głupoty i nikczemności*** prof. Andrzej Żbikowski z Żydowskiego Instytutu Historycznego ogłosił, że „najlepszą strategią ratowania się był obóz koncentracyjny, a nie ukrywanie się". Nie przedstawił jednak przypadku zgłoszenia się choćby jednego Żyda do tego typu miejsca. A przecież byłaby to sensacja historyczna wielkiej wagi. Profesorze, śmiało!

Podczas ***Forum Polsko-Brytyjskiego w Londynie*** głos zabrał sir Eric Pickles, specjalny przedstawiciel rządu brytyjskiego do spraw Holokaustu. Powiedział jasno, że są dwa problemy: pierwszy to ustawa o IPN, a drugi to restytucja mienia żydowskiego. Odpowiedział mu prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, stwierdzając, że Polska nie może stosować rasistowskiego w istocie podziału na obywateli żydowskich i resztę. Ale widać, że problem majaczy. Nic nie dzieje się przypadkiem.

W ramach odreagowywania problemu każdy oburzony atakami na Polskę wyżywa się na biednej (choć bogatej) Polskiej Fundacji Narodowej. Z tego większość bezinteresownie, ale część w nadziei, że to oni pokierują instytucją w nowym rozdaniu albo przynajmniej coś dostaną. Najzabawniejsi są krytycy zajmujący tzw. twitterowe posady, czyli ludzie formalnie zatrudnieni w państwowych instytucjach albo redakcjach, ale realnie pracujący dla portalu Twitter.com. O tak, oni by pociągnęli, że hej!

Zdaniem Moniki Olejnik premier złożył w Monachium kwiaty pod pomnikiem upamiętniającym „brygady świętokrzyskie". Wychodzi na to, że Ryszard Petru ma jednak wirusówkę i zaraża rozmówców. A że sam wciąż choruje, udowodnił, zapraszając redaktora naczelnego „Sieci" Jacka Karnowskiego na rozmowy z Lubauer i ze Schetyną (chciał zaprosić prezydenta Sopotu o tym samym imieniu i nazwisku). Redaktor zaproszenie przyjął, czeka na wskazanie miejsca i terminu.

W mediach publicznych szykuje się ***powrót Ewy Bugały***, niedoszłej dyrektor od komunikacji w Orlenie. Życzymy powodzenia, choć łatwo nie będzie. Nie ma już dyrektora Pobudzina, nie ma dyrektora Pawelczyka. Za to w TVP wciąż jest Paczka, która wróci na plac Powstańców. Nie, nie wiemy nic konkretnego poza tym, że Paczka zawsze wcześniej czy później „na plac" wraca. Często wiosną.

W TVP jest też Jacek Kurski i jeszcze tam pobędzie. Próby jego obalenia załamały się ostatecznie. Spiskowcy źle rozeznali nastroje, przesadzili też z intrygami. Poza tym Kurski jest bystry i łapie w lot. Ale są i krytycy: np. zdaniem Elżbiety Kruk w TVP Info ciągle mówią to samo i tego nie da się już wytrzymać. To prawda, bywa trudno, ale jak człowiek sobie coś utrwali, to już na całe życie.

Michał Dzięba, były pracownik Platformy Obywatelskiej i były asystent Aleksandra Grada, wypomniał kandydatowi PO na Warszawę „Rafciowi" Trzaskowskiemu prowadzenie bujnego życia towarzyskiego, w tym sex party i zażywanie kokainy, a także „zadawanie pytań w Parlamencie Europejskim na rzecz klientów" pewnej firmy. Będzie o czym pisać w czasie kampanii. O ile Trzaskowski dotrwa do jej startu, bo coś struty ostatnio.

W „Wyborczej" ***nie ma dnia, żeby nie rozpaczali*** nad kandydatami do Krajowej Rady Sądownictwa. Że nie tacy, że słabi, że zgłoszeni przez mężów i żony, że pracują nie tam, gdzie powinni. Możliwe, że mają wady, ale jednak są, a miało ich nie być. Po to przecież zastraszaliście sędziów. Sporo zastraszyliście, ale jednak nie wszystkich. Hemos pasado!

Sygnalista



26/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

ALARM!

„Alarm!” w TVP1

Polski żołnierz, weteran z Kosowa, zostaje w lesie zastrzelony przez myśliwego. Dlaczego sprawca tego czynu do dziś nie poniósł kary? Czy winę ponosi opieszały wymiar sprawiedliwości, czy może raczej lokalny układ broniący wpływowego członka koła łowieckiego?

Jest taka gmina, której władze postanowiły skorzystać z unijnych funduszy w sposób wyjątkowo oryginalny. Otóż dzięki pieniądzom z programu służącemu rozwojowi rybołówstwa wybudowano... sklep znanej sieci handlowej. Czy miało to związek z własnością gruntu, na którym stanął, i rodzinnym powiązaniom właścicieli z władzami gminy? Jaka jest skala podobnie dziwacznych inwestycji w całej Polsce?

Człowiek skompromitowany w głośnej aferze, z długą listą prokuratorskich zarzutów, zostaje właśnie dyrektorem prestiżowego ośrodka wypoczynkowego prowadzonego przez szanowaną instytucję naukową. Jak to możliwe? Czy decydentom zabrakło wiedzy, rozsądku, czy może raczej uznali, że sprawa wątpliwej nominacji nie wyjdzie na jaw, a skryty w mazurskich lasach dyrektor ośrodka spokojnie będzie pobierał sowite wynagrodzenie?

Ostrzeżenia przed smogiem spowijającym polskie miasta są niczym wobec tajemnicy, jaka kryje się za substancją przypominającą węgiel, która trafia do składów w całym kraju, a ostatecznie do tysięcy indywidualnych pieców. Co zawiera pseudowęgiel, skąd pochodzi i jakie skutki wywołuje dym po jego spaleniu?

Te i mnóstwo innych spraw – spraw ważnych, ciekawych, skrytych dotąd przed oczami opinii publicznej – pojawi się w nowym programie reporterskim telewizyjnej Jedynki „Alarm!”. Od poniedziałku do piątku, w porze największej oglądalności, bo o 20:15, reporterzy TVP będą informować, ujawniać, ostrzegać i pomagać. Będą pokazywać prawdziwe historie i realne problemy. – Liczymy na ścisłą i owocną współpracę z naszymi widzami. Chcemy być interaktywni. Mamy nadzieję, że kopalnią ciekawych, inspirujących tematów podejmowanych przez reporterów „Alarmu!” będą właśnie sygnały płynące od tych, którzy nas oglądają. To ma być program współtworzony przez widzów – zapowiada Przemysław Wenerski, szef redakcji.

W „Alarmie!” znajdą się materiały o charakterze interwencyjnym, śledczym, dotykające ludzkich dramatów. – Obywatele skrzywdzeni przez niekompetentnych urzędników, rozzuchwaloną lokalną władzę czy nieumiejący znaleźć sprawiedliwości w sądach będą mogli liczyć na zainteresowanie i pomoc naszych reporterów – deklaruje Jacek Łęski, prezenter programu.

Ale w audycji pojawią się także historie interesujących, choć niekoniecznie wszystkim znanych ludzi. – W piątki zamierzamy przygotowywać wydania o nieco lżejszym charakterze, wprowadzające widzów w weekendowy nastrój. Jest przecież wokół nas mnóstwo dobra, uśmiechu i pozytywów, które również zasługują na to, by je pokazać – mówi Agnieszka Świdzińska, prezenterka i wydawca piątkowych odcinków „Alarmu!”.

Ekipę nowej audycji telewizyjnej Jedynki tworzą dziennikarze z reporterskim doświadczeniem i dorobkiem. Co ważne, wielu z nich to ludzie z terenu, doskonale znający lokalne realia i problemy. I to właśnie one będą stanowiły istotną część programu, w myśl przekonania, że „Polska gminna” i „Polska powiatowa” są tymi, którym w mediach ogólnokrajowych poświęca się zdecydowanie za mało uwagi. Dodatkowym wsparciem dla zespołu ma być współpraca z redakcją „Super Expressu”.

By przekonać się, jak ważną, ciekawą i unikatową pozycją na rynku telewizyjnym jest nowy projekt telewizyjnej Jedynki, wystarczy jedno: włączyć „Alarm!”, od poniedziałku do piątku o 20:15.



eprasa.pl 4329e3eee2

Czy prawda jest niezbędna?



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wstyd. Po prostu wstyd. Jak może premier takiego kraju jak Polska mówić prawdę? I to gdzie? W Monachium, mieście, któremu oddaliśmy naszego najlepszego Lewandowskiego! W mieście tak zniszczonym przez nazistów, że ratusz liczy sobie prawie 400 lat i wcale nie trzeba go było odbudowywać. W mieście, w którym rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch zalegalizowały aneksję części Czechosłowacji przez Niemcy dokładnie 80 lat temu. I w którym, jak w wielu innych niemieckich metropoliach, polskie dzieła sztuki rozpłynęły się w kierunku wcześniej w dziejach malarstwa w takiej skali nieznanym. Chodzi oczywiście o tzw. złodzieizm, zwany też skur...realizmem, prąd tworzony przez niemieckich kolekcjonerów w pierwszej połowie piątej dekady XX w.

Czy słowa premiera w Monachium były niezbędne? – pyta red. Warzecha. Nigdy w życiu. Niezbędne są tylko komentarze red. Warzechy. Przypomnijmy zatem, ze wstydem palącym policzki mocniej niż przodkowie dzisiejszych mieszkańców Monachium palili Warszawę w podziękowaniu nam za współpracę w umacnianiu aryjskiej rasy panów, cóż powiedział polski premier. „Nie będzie to karane, nie będzie postrzegane jako działalność przestępcza, jeśli ktoś powie, że byli polscy sprawcy. Tak jak byli żydowscy sprawcy, tak jak byli rosyjscy sprawcy czy ukraińscy – nie tylko niemieccy".

Tak przynajmniej brzmiała ta wypowiedź przed ingerencją Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk, który, gdyby mógł, wyciąłby z niej „żydowskich sprawców" i wszystko byłoby „olrajt", jak mawiają Żydzi z Nowego Jorku. Choć niektórzy z nich lubią także mówić „poliszholokaust".

Cóż, kiedy urząd na Mysiej premiera nie ocenzurował, bo, podobnie jak PRL, nie istnieje od prawie trzech dekad. Niestety na fali przemian w Europie Środkowej i Wschodniej, zapoczątkowanych oczywiście przez dzielnych bojowników z Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz ich przyjaciół z PZPR, przez koszmarne zupełnie niedopatrzenie pozwolono Polakom cieszyć się tzw. wolnością słowa. Tak zwaną, bo śledząc dokonania najbogatszych polskich mediów, rozumiemy dziś, że chodziło tu jedynie o pewne, wyselekcjonowane słowa i sformułowania. Jak „polski antysemityzm", „prawicowe oszołomy", „pisowski faszyzm", „niemieckie ofiary II wojny", „bohater Bartoszewski" czy „zbrodnie żołnierzy wyklętych".

Niestety z wolnością słowa w przypadku narodów tak niepokornych bywa niebezpiecznie. A że głowa psuje się od góry, a góra od dołu, nie trzeba było czekać, by naród, który – w odróżnieniu od bohaterskich władz i mieszkańców takich kolebek europejskiej kultury jak Francja czy Włochy – tworzył przeciw nazistom gigantyczny ruch oporu, zaczął po latach domagać się już nie tylko wojennych reparacji, lecz i czegoś tak abstrakcyjnego jak dziejowa sprawiedliwość. Jest to związane z nazwą partii prawicowych dzikusów, którym zachciało się podnosić Polskę z kolan, bo nie zauważyli, że jest ona do europejskiego łoża przypięta pasami. Bo przecież cóż ma oznaczać stwierdzenie, że tak, owszem, byli „polscy sprawcy", czytaj: kanalie, które donosiły za pieniądze, tak i były kanalie żydowskie, które własnych rodaków z identycznych pobudek, co kanalie polskie i wszelkie inne, wydawały Niemcom na śmierć. Wszak te ostatnie czyniły to w dobrej wierze, by uratować innych. Polskie zaś – wyłącznie z chciwości, gdyż wyroki śmierci na Polaków ukrywających Żydów to prawdopodobnie jeszcze jeden przejaw tzw. kłamstwa oświęcimskiego. Rodzin Ulmów czy Kowalskich nigdy nie było, a „polskie" drzewka w Yad Vashem to wynik błędu w podpisie, ponieważ w rzeczywistości to drzewka żydowskie...

No dobrze, czarne żarty na bok. Choć można tak w nieskończoność. Przez kolejne pokolenia może się snuć opowieść o polskim współudziale w zbrodniach, żydowskich bohaterach kolaborantach i biednych, niemieckich ofiarach, które wyłącznie wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności wyniosły do władzy kata, a potem wiernie mu służyły, dla niego mordowały, gwałciły i kradły. Jest jednak jeden problem: ta narracja, mówiąc już zupełnie poważnie, nie tylko nie oddala groźby kolejnej Zagłady na którymś z narodów świata, lecz i poważnie ją przybliża. Jeśli bowiem ofiary rzezi (np. na Woli) zaczniemy zamieniać rolami z ich oprawcami, a do tego ostatecznie chore brednie Frontu Jedności Cyników i Idiotów się sprowadzają, wszystko znowu stanie się możliwe.

Może lepiej więc zbudować wreszcie między Izraelem a Polską prawdziwe pojednanie? Widać gołym okiem, jak kruche było to wcześniejsze, budowane najpierw przez komunistów, potem ich politycznych wychowanków. Wystarczyła jedna ustawa, kilka koszmarnych obelg w izraelskich mediach, parę ataków nerwicy w polskich, by prawda, jasna jak słońce – że wszyscy byliśmy ofiarami niemieckiej agresji – legła w gruzach. Odbudowaliśmy Warszawę, odbudujemy i ją. Bo jej mówienie nie może być dla Polaków powodem do wstydu.

I – tu uwaga raz jeszcze do pewnego redaktora, z którym od dawna mi nie po drodze – tak, głoszenie prawdy jest niezbędne. Bo jedyną dla niej alternatywą są kłamstwa lub półprawdy, które prowadzą do tego, co mamy dzisiaj.

eprasa.pl 4329e3eee2

TRENDY I OWĘDY

Mam tyle, ile mam

Prezydent Gdańska ma ogromne szanse na kolejną kadencję



Ryszard Makowski

Decyzja prezydenta Adamowicza, który nawet ku osłupieniu peowskiej kamaryli ogłosił, że będzie kandydował na swoje dotychczasowe stanowisko, jest racjonalna. Polacy lubią brawurę. I fakty przemawiają za nim. A to on jeden się nachapał? Jak jest przestępca, to dlaczego nie siedzi? Złapano go na kłamstwie? Pomylił się w zeznaniu majątkowym o dwa mieszkania i wielkie mecyje. Teraz na pytanie, ile ma mieszkań, odpowiada: mam tyle, ile mam. Poprzepisywał lokale w ramach programu mieszkanie i jest czysty. Widać, że mu na tej robocie zależy. Ludzie to docenią.

Miał ofertę od szefa totalnej niedyspozycji, Grzegorza „zniszczyłem się" Schetyny: biorące miejsce na liście PO do Sejmu, Senatu bądź europarlamentu. Gdzie chcesz. Niejeden by w te pędy poleciał do Brukseli. Fuszka marzenie dla każdego peowca. Plwasz na Polskę i ci za to suto sypią gotówkę.

A ten jednak wykazał się patriotyzmem. Będzie plwał na miejscu. Może trzeba by 37. konto założyć na tuskosrebrniki unijne? A tu wszystko poukładane. Żona wie, jak tłumaczyć nadmiar majątku: babcia była krawcową dla elity, a dziadek przywiózł walizkę pieniędzy z Niemiec, z robót u bauera. W czasie II wojny światowej, ma się rozumieć. Zaradna rodzina. I takich w Gdańsku szanują. To musi się udać. Każdy urzędnik odda głos na własne stanowisko, by go nie stracić. Tym bardziej że ucieczkę przed wścibskim dziennikarzem TVP Info pan prezydent dopracował do perfekcji.

KORSUN *chili* KORSUN



Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock



Paweł Korsun

Kiedy ogląda się nerwowo prowadzony program „Kropka nad i", chce się zadzwonić do TeFałsz-eNu z prośbą o zmianę prowadzącej lub przynajmniej tytułu na bardziej adekwatny, czyli „Olewam fakty". Co odcinek niestrudzona Monika Olejnik przeciera szlaki dla innych ekspertów od robienia propagandy. Entuzjazm, który towarzyszy naszej gwieździe, gdy padają słowa „Polacy zabijali" lub „kolaborowali", wydaje się przeżyciem iście metafizycznym, prawdopodobnie porównywalnym z odczuciami przy zakupach kolejnych par butów czy kuriozalnych nakryć głowy.

W rozmowie z zawsze opanowanym ministrem Jackiem Sasinem Monika „Olewam fakty" Olejnik z tuzin razy nazwała „kolaborantami" walczącą na dwa fronty Brygadę Świętokrzyską, która tak „kolaborowała", że jeden po drugim likwidowała niemieckie posterunki i uwalniała więźniów z ich obozów, a i dała w kość Sowietom, wśród których, jak to na wojnie, mogli się też znaleźć wyznawcy judaizmu. I nie ważne dla niej, że sam gen. Patton chciał z polską brygadą iść na Moskwę. Ale tak już jest, jeżeli wiedzę o historii Polski się czerpie z kolorowych periodyków wydawanych przez kapitał zza Odry. No cóż, kiedy rozum śpi, budzą się gamonie.

eprasa.pl 4329e3eee2

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Surowa ręka niesprawiedliwości



Jan Pietrzak

Rafał Ziemkiewicz wybierał się do Zjednoczonego Królestwa na kilka spotkań autorskich. Ku zdumieniu jego i publiczności spotkania zostały storpedowane przez obrońców tamtejszej ludności przed miazmatami Ziemkiewicza. Nad Tamizą dosięgła go surowa ręka niesprawiedliwości znad Wisły.

Znam ten mechanizm aż nadto dobrze. Nieustannie towarzyszy mi brudna łapa usiłująca uniemożliwić przedstawienie felietonów, piosenek, żartów wykraczających poza prostacką poprawność przygłupów. Działają oni w sposób pozaprawny, mafijny. Blokują sale, straszą organizatorów, wstrzymują reklamę. Dla mnie na stare lata szczególnie przykre jest to zjawisko w rodzinnej Warszawie, gdzie nie mogę się doczekać stabilnego miejsca do grania po pięćdziesięciu kilku latach występów „z dziką kartą". No, ale wydało się, że stolicą rządzą handlarze vel czyściciele działek i kamienic, a nie miłośnicy warszawskiego humoru.

Jest jednak pewnym zaskoczeniem, że poważnego publicystę Ziemkiewicza zablokowano w Wielkiej Brytanii z groteskowego paragrafu: rasizm plus ksenofobia z antyislamizmem i antysemityzmem w parze. To w obecnym sezonie obowiązkowe zarzuty w stosunku do Polaków mających w ogóle coś do powiedzenia. Nawet ugodowego premiera, łagodnie wyjaśniającego dramatyczne zawiłości naszej historii, potraktowano w Monachium per noga, domagając się wyłącznie potulnej ekspiacji za nie swoje grzechy. I nie jest ważne, czy ma Morawiecki rację, czy jej nie ma. On nie może mieć racji, bo rację ma kto inny, jak napisano w wiadomej gazecie.

Oczywiście „gazeta" jest metaforą całego arsenału ekranów, fal, nadajników, mediów, przez które zarządzany i kontrolowany jest współczesny tłum. Tu dochodzimy do wzniosłego, konstytucyjnego pojęcia „wolności słowa". Korzystają z tej wolności setki stacji TV, tysiące wydawnictw, pisząc o „polskich obozach śmierci". Kiedy Polacy prostują ewidentne kłamstwo, wolność słowa przestaje obowiązywać. I Polaków się ruga! Ciekawe, prawda?



Pozytywne doświadczenie

Z Piotrem Głowackim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nieczęsto zdarza się taki support dla polskich artystów: Sting i Shaggy...

Piotr Głowacki: Mieliśmy szansę doświadczenia bliskości kogoś, kogo utwory zna cały świat. I choć nie jest to mój najukochańszy wykonawca, to oczywiście go cenię, słucham i oglądam. Jego występ niewątpliwie stanowił atrakcję gali Bestsellerów Empiku, jednak o wyjątkowej atmosferze wydarzenia decydował także jego bardzo pozytywny wydźwięk. Jurorami byli sami odbiorcy, więc mimo napięcia związanego z ogłoszeniem wyników panował też rodzaj rozluźnienia, naturalności.

Zwycięskie tytuły zmieściły się w ramach pana prywatnych ocen i oczekiwań?

Na pewno powieść Zygmunta Miłoszewskiego „Jak zawsze". Z roku na rok śledzę tę galę i wybory publiczności są coraz bardziej zbieżne z ocenami krytyków. Mieszczą się w tym m.in. Kortez i jego album „Mój dom" i Ed Sheeran z „Divide", i jako wydarzenie roku walczący o Oscara „Twój Vincent".

Był pan w ekipie nominowanego „Belfra", wygrał zaś „Pitbull". Niebezpieczne kobiety" Patryka Vegi. Trochę żal?

Dla nas wszystkich, którzy wyrażamy się artystycznie, chcąc być w kontakcie z widzami, te nagrody są rodzajem barometru: jak powinniśmy się sytuować, czego poszukiwać, czego oczekują nasi odbiorcy, gdzie jest ta styczna, ten moment, w którym następuje komunikacja.

W jakich tytułach będzie się pan teraz komunikował z widzami?

Za chwilę wchodzimy na plan drugiej części „Planety singli", a inne plany są na razie w planach [śmiech].

FOT. AKPA

eprasa.pl 4329e3eee2

BRONISŁAW WILDSTEIN

Polowanie z nagonką

Strategia, którą przeciwko swoim prawicowym przeciwnikom stosował establishment III RP, była kopią tego, jak lewica rozprawiała się ze swoimi przeciwnikami na Zachodzie

Trwa licytacja na oburzenie z powodu odpowiedzi polskiego premiera na prowokacyjne pytanie izraelskiego dziennikarza. Nawet w Polsce, w środowiskach niekoniecznie wrogich PiS, roztrząsamy, czy Morawiecki nie powinien użyć słowa criminals (zbrodniarze) zamiast perpetrators (sprawcy zbrodni). Czy jest nad czym dyskutować?

Przecież gdyby premier stwierdził, że w czasie wojny trafiali się także żydowscy zbrodniarze, usłyszelibyśmy, że oskarża o zbrodniczość naród żydowski, a gdyby powiedział, że zarówno Polacy, jak i Żydzi załamywali się w warunkach terroru, dowiedzielibyśmy się, że potępia Żydów za to, że nie zawsze zachowywali się heroicznie. Przypomina to infantylną zabawę w skojarzenia.

To metoda, którą posługiwały się środowiska III RP, aby rozprawić się ze swoimi kontestatorami. Wszystkie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego (wcześniej także jego brata) były przedmiotem drobiazgowej egzegezy, która ostatecznie musiała wykazać jego złe intencje i prowadzić do domagania się przeprosin. Powiedział coś o Polakach, znaczyło, że wyklucza tych, którzy, jego zdaniem, Polakami nie są; skrytykował jakiś postępek, a więc podzielił naród, oskarżając jego część o niewłaściwe zachowanie itp. Tak czy owak musi przepraszać.

Można było odnieść wrażenie, że media III RP to skrzyżowanie centrów analizy językowej i placówek wychowawczych. Zamiast namysłu nad politycznymi zjawiskami, programami czy stanowiskami mieliśmy do czynienia z nieustającym konkursem krytyki tekstowej i żądaniami aktów ekspiacji. Przejęzyczenie Kaczyńskiego: „Żadne krzyki nie przekonają nas, że białe jest białe, a czarne jest czarne", okazywało się najważniejszym wydarzeniem politycznym i dowodem na jego perfidną naturę.

Nie ma sensu dodawać, że owa czujność skierowana była wyłącznie w jedną stronę i obejmowała każdego „prawicowca", za którego, naturalnie, miał obowiązek przepraszać Kaczyński i jego partia. Ludwik Dorn, jeszcze w PiS, stwierdził, że pewne zachowania przystają wyłącznie upośledzonym umysłowo. W imieniu tychże dziennikarze domagali się zadośćuczynienia.



Fot. Andrzej Wiktor

Żadna okoliczność nie mogła przerywać tego interpretacyjno-pedagogicznego festiwalu. Po zamordowaniu działacza PiS i poranieniu drugiego w głównym serwisie TVN Justyna Pochanke za najważniejszą i najbardziej oburzającą uznała mowę nienawiści Kaczyńskiego. Chodziło o potępienie z jego strony przemysłu nienawiści, który do tragedii doprowadził. Z chóru ówczesnych wypowiedzi wnosić można było, że to prezes PiS odpowiedzialny jest za zabójstwo.

Jeśli brakowało właściwej wypowiedzi, dziennikarze III RP potrafili ją uzupełnić. Katarzyna Kolenda-Zaleska – też TVN – odkryła wypowiedź Kaczyńskiego na temat „prawdziwych Polaków" i zainicjowała wielodniowy spektakl oburzenia tą oczywistą manifestacją faszyzmu. Kiedy okazało się, że polityk nic takiego nie powiedział, nie spowodowało to nawet zająknięcia ze strony tych, którzy z tego powodu nie zostawili na nim suchej nitki. Co z tego, że tego nie powiedział, jeśli pomyślał, dawano do zrozumienia.

Sprawa nie dotyczyła tylko wypowiedzi językowych. Chodziło o skojarzenia, którymi animatorzy III RP usiłowali na trwałe zdezawuować swoich przeciwników. Gra w asocjacje zwalniała ich z potrzeby rozumowania i dowodzenia. Wystarczyło, że się kojarzy, naturalnie z komunizmem i faszyzmem. A kojarzyło się im wszystko.

Intelektualnie przybierało to formę równi pochyłej. Odwołujesz się do narodu? Przecież pamiętamy, do czego to prowadziło. To samo z państwem, porządkiem, bezpieczeństwem itd.

Strategia, którą przeciwko swoim prawicowym przeciwnikom stosował establishment III RP, była kopią tego, jak lewica rozprawiała się ze swoimi przeciwnikami na Zachodzie. Dziś mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem: to lewicowe środowiska Izraela chcą pogrążyć zarówno rządzącą u siebie prawicę, jak i jej dotychczasowych sojuszników z Europy Środkowej. Wykorzystują do tego żydowskie przewrażliwienie w sprawie Holokaustu. Ta karta używana jest w wewnętrznej polityce Izraela, tak jak i w wewnętrznej polityce Polski. Likud, a zwłaszcza premier Netanjahu są w odwrocie. Ale sytuacja może się zmienić.

OGNIEM NA WPROST

Odrzucona kandydatura

Salut rzymski nie jest przestępstwem, jeśli jego intencją jest uczczenie pamięci, i nie jest wyrazem przemocy. Krótko mówiąc, można go uznać za swobodną »manifestację myśli«, a nie za konkretny atak na utrzymanie porządku demokratycznego" – orzekł włoski Sąd Najwyższy. Dzięki tej sentencji wyroku uniewinniającego doczekało się dwóch demonstrantów z partii Bracia Włosi – Sojusz Narodowy (Fratelli d'Italia – Alleanza Nazionale), którzy na demonstracji w Mediolanie trzy lata wcześniej użyli tego gestu i dali się sfilmować. Do tej pory salut rzymski wykonywany w miejscu publicznym był karany na mocy tzw. prawa Scelby z 1952 r. Ustawy, na mocy której walczono w powojennych Włoszech z dziedzictwem epoki faszyzmu. Saluto romano, czyli salut rzymski, wywodzi się z czasów starożytnych, w których idący w bój legioniści oddawali cześć swojemu cesarzowi. Tak w każdym razie pokazują niektóre dzieła sztuki z tamtego okresu. Rzymskim wzorem stosowali go czasem gwardziści Napoleona w chwilach wyjątkowej chwały. We współczesnej Europie pozdrowienie weszło do rytuału partii narodowych za sprawą włoskiego poety Gabriela D'Annunzio, który wraz ze swoimi oddziałami tak właśnie salutował po zdobyciu Fiume, nawiązując do dziedzictwa starożytności miasta. Potem gest wyciągniętej ręki przejęli faszyści Mussoliniego, a w końcu niemiecka NSDAP, zmieniając prawem kaduka jego nazwę na „niemieckie pozdrowienie" („Deutsche Gruess"). W Polsce użycie tego pozdrowienia jest karalne. Włosi, widać, odpuścili, ponieważ właśnie m.in. na tym polega demokracja, a nie kneblująca usta wszystkim politpoprawność.



Decydenci w UE nie zgodzili się, by tegoroczną stolicą kultury została pierwsza stolica Węgier, Székesfehérvár. Powodem zgodnego odrzucenia kandydatury był klip reklamowy przedstawiający gród i okolice w jak najlepszym świetle. Tak w każdym razie wydawało się Węgrom. „Jest w nim zbyt wielu szczęśliwych białych ludzi i krzyży, a jednocześnie jest niewystarczająca liczba imigrantów. To propagandowy film na rzecz białej chrześcijańskiej Europy; wszyscy są biali, szczęśliwi i tańczą na ulicach" – usłyszał burmistrz od europejskiej komisji kwalifikacyjnej. „Kochamy nasze miasto ze swoimi świątyniami i z krzyżami. Uwielbiamy być bezpieczni, żyć w spokoju i chcemy, by ludzie mogli demokratycznie wyznać swoje własne wartości" – usłyszeli eurokraci na zwołanej w Budapeszcie konferencji. Osobiście uważam, że idąc w tym kierunku, można zaproponować tylko dwa miejsca, które będą godne nosić przez rok nazwę stolicy europejskiej kultury. Są to Calais we Francji lub zamieszkany przez „przybyszów z Południa" brukselski Molenbeek. Tam bije serce Europy.

Również nowy „europejski" duch zapanował w przeludnionych greckich obozach dla migrantów. Niedawno Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) poinformował, że dziesiątki kobiet ubiegających się o azyl padły ofiarą napastowania. Sytuacja stała się poważna do tego stopnia, że wzięto pod lupę dwa obozy: Mória na wyspie Lesbos oraz Vathy na wyspie Samos. „W tych dwóch ośrodkach łazienki i ubikacje po zmroku to strefy no-go dla kobiet i dzieci" – powiedziała rzeczniczka UNHCR Cécile Pouilly. „Nawet prysznic za dnia stanowi niebezpieczeństwo. Kobiety przebywające w Mórii twierdzą, że ze strachu nie myły się od dwóch miesięcy". Albowiem – jak można usłyszeć w brukselskich gabinetach – „lepiej chodzić brudnym, niż zostać zgwałconym". Osobiście przychylam się do tej opinii.

Swoistym kuriozum stała się już wypowiedź historyka, profesora nauk humanistycznych ze Studium Europy Wschodniej UW, jednocześnie pracownika Żydowskiego Instytutu Historycznego Andrzeja Żbikowskiego. Kieruje on badaniami nad najnowszymi dziejami polskich Żydów i jest również członkiem Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Powołując się na wyssane z palca dane, pan profesor stwierdził, że „najskuteczniejszą strategią przetrwania dla Żydów był obóz koncentracyjny, od 1944 r. nie funkcjonowały już właściwie komory gazowe, bo Niemcy potrzebowali ludzi do pracy". „No, może nie mają tu, u nas, najlepszych warunków – mógłby więc powiedzieć jeden sturmführer do drugiego na rampie w Auschwitz-Birkenau jesienią 1944 r. – ale przynajmniej ochronimy ich przed tymi polskimi antysemitami".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4329e3eee2

Zadania domowe



Marta Kaczyńska

Dzieci w Islandii i w Finlandii nie mają zadawanych prac domowych, a edukacja w tych krajach jest na najwyższym poziomie – taki argument pojawia się w domowych dyskusjach na temat spraw szkolnych. Możliwe, że w wymienionych państwach młodzież nie ma obowiązku odrabiania lekcji, ale zapewne system nauczania jest nieco inny niż Polsce. Nie można się zatem odnosić do tamtejszych zasad.

O tym, że problem prac domowych w Polsce istnieje, świadczą jednak informacje o spływających do Rzecznika Praw Dziecka skargach na zbyt duże obciążenie najmłodszych zadaniami szkolnymi w godzinach popołudniowych, w weekendy, ferie i święta. Polscy uczniowie bywają zatem niezasadnie przepracowani. Zadawanie prac domowych ma różne motywy. Część nauczycieli kieruje się troską o utrwalenie i lepsze zrozumienie omówionego w szkole materiału, niektórzy zaś polecając wykonanie pewnych prac w domu, starają się w ten sposób nadążyć z tzw. przerabianiem materiału, przerzucając na uczniów obowiązek przyswojenia pewnych fragmentów programu. O ile pierwszy z motywów zadawania prac uznać należy za uzasadniony, o tyle drugi w żadnym wypadku nie powinien być brany pod uwagę.

Odrabianie prac domowych bywa traktowane przez niektórych psychologów i rodziców jako zbędny pożeracz czasu, który mógłby zostać poświęcony na rozwijanie dziecięcych pasji czy też wykorzystany na spędzenie kilku chwil w gronie najbliższych. Dozowanie najmłodszym obowiązków w sposób adekwatny do ich możliwości i potrzeb nie powinno być jednak postrzegane negatywnie. Ferie, a zwłaszcza dni świąteczne, powinny stanowić czas bezwzględnie wolny od odrabiania lekcji. Wskazać jednak trzeba, że w trakcie roku szkolnego konieczność wykonania nawet niewielkiej liczby zadań uczy organizowania sobie czasu, systematyczności, obowiązkowości i samodzielności, które to cechy z pewnością nikomu nie są w stanie zaszkodzić, wręcz przeciwnie – przygotują do dorosłości, która zwłaszcza przy dzisiejszym tempie życia wymaga wykazania się wymienionymi umiejętnościami. Ciekawe zadania domowe nawiązujące do omówionego w szkole materiału są doskonałym pretekstem do zastosowania zdobytej wiedzy w praktyce, a co za tym idzie – utrwalenia jej.

Szkoły w Polsce mogą samodzielnie decydować o zadawaniu prac domowych. Odpowiedni zapis w statucie placówki sprawi, że reguły, wedle których procedować mają nauczyciele, zostaną ujednolicone.



Z wielkim żalem przyjęłam wiadomość

o śmierci

wybitnego reżysera i scenarzysty,

wielkiego patrioty,

wspaniałego człowieka

ŚP.

ANTONIEGO KRAUZEGO

Rodzinie i bliskim składam

wyrazy głębokiego współczucia

Prezes
Trybunału Konstytucyjnego

30/0218/F



Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ANTONIEGO KRAUZE

jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów i scenarzystów,
wielokrotnie nagradzanego za swoją twórczość w kraju,
jak i za granicą, odznaczonego Krzyżem Komandorskim
Orderu Odrodzenia Polski za
„wybitne zasługi w pracy artystycznej i twórczej”.

Żegnamy wyjątkowego artystę,
który dla wielu stał się autorytetem i przyjacielem.
Człowieka wielkiej odwagi, który do końca służył prawdzie.

Rodzinie, Przyjaciołom, Najbliższym
składam wyrazy głębokiego współczucia.

Mateusz Morawiecki
Premier Rzeczypospolitej Polskiej

29/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Funkcjonariusz bez szminki

Rozbawienie we włoskich mediach wywołał nowy regulamin straży miejskiej w Wenecji. Zapisano w nim m.in., że funkcjonariuszki muszą nosić staniki oraz rajstopy zarówno zimą, jak i latem. Najzabawniejsza jest jednak część dotycząca wyglądu mężczyzn. Zezwolono im na brodę i wąsy, ale włosy mają mieć krótkie. Jeśli ktoś chce mieć dłuższe włosy, na służbie powinien zwinąć je w kok i schować w czapce. Zaleca się też funkcjonariuszom, by używali lakieru i brylantyny „w rozsądnych ilościach". Strażnikom zabroniono natomiast używania: szminki, pudru, różu, podkładu, tuszu do rzęs i cieni. Nie wolno im nosić kolczyków, nie mogą mieć też widocznego piercingu. Facet bez szminki? Czysta dyskryminacja!



130 tys.

tyle jest wakatów w całej gospodarce. W wielu polskich firmach brakuje rąk do pracy. To spowalnia rozwój przedsiębiorstw.

7,5 mln euro

za tyle wystawiono na sprzedaż dom w Toskanii, który należał do Michała Anioła.

356 m

taka jest wysokość najwyższego hotelu świata, który właśnie otwarto w Dubaju. Hotel nazywa się Gevora i liczy 75 pięter. Na gości czeka 528 pokoi, w tym 323 pokoje typu deluxe, 265 apartamentów z jedną sypialnią i 31 z dwiema sypialniami.

Na cenzurowanym

Warszawski szpital przy ul. Żelaznej wystąpił do sądu o ograniczenie praw rodzicielskich wobec rodziców, którzy nie wiedzieli, że urodzą im się bliźnięta. Na USG wykonanym w 20. tygodniu ciąży lekarz nie dopatrzył się ciąży mnogiej. Nie wykryto jej także przy przyjęciu do rzeczonego szpitala. Może jakiś dozór należałoby ustanowić lekarzom?



Nie podskoczysz

Norweska telewizja chciała sobie zakpić z Kamila Stocha. Zaprosiła go do udziału w swoim show, a prowadzący chcieli wkręcić naszego mistrza. Tyle że im się nie udało. „Stoch jest dwukrotnym mistrzem olimpijskim i wszyscy przewidują, że wygra w sobotę. Pokaże mi, dlaczego jest najlepszym skoczkiem na świecie" – powiedział prowadzący program „Emil i OL". Polak miał opowiedzieć, jak oddać perfekcyjny skok. Podczas gdy Stoch mówił o tym, jak oddać dobry skok, na ekranie zaczęto wyświetlać prywatne zdjęcia dziennikarza. Na tym miał polegać dowcip. Gdy prowadzący zachęcał, by Kamil wciąż mówił o skakaniu, Polak opuścił studio, tłumacząc, że w tych warunkach nie może. A dziennikarz się przekonał, że mistrzowi skoków lepiej nie podskakiwać.



eprasa.pl 4329e3eee2

Na rurze dla Jezusa?

W Old Town Springs w USA pojawiła się szkoła tańca na rurze dla chrześcijan. Szkoła nazywa się Pole Fitness for Jesus. Chrześcijanki uczą się tam tańczyć wokół metalowej rury do rytmów chrześcijańskiej muzyki. Niby w zdrowym ciele, zdrowy duch, ale to już chyba lekka przesada.



„Wiecie, nawet ze wspaniałych zwycięstw polskich sportowców nie mam już zadowolenia. Dlaczego? Bo podły PiS i tak te zasługi przypisze sobie!” – skomentował na Twitterze Adam Szejnfeld zwycięstwo Kamila Stocha na igrzyskach. To już chyba spokojnie można nazwać obsesją.



Bezpiecznie jak w kościele

Holenderscy chrześcijanie szkolą się na wypadek ataków terrorystycznych (i innego zagrożenia) w świątyniach. Popularne stają się zajęcia, podczas których wierni uczą się od specjalistów ds. bezpieczeństwa, jak się zachować w razie ataku podczas nabożeństwa. W holenderskich parafiach wierni organizują straże obywatelskie, a w kościołach montowane są kamery. Coraz popularniejszym rozwiązaniem jest zwrócenie się o pomoc do agencji ochroniarskiej. Tylko do jednej z nich, Restment, w ciągu ostatniego roku zgłosili się klienci reprezentujący 82 świątynie chrześcijańskie – informuje portal Pch24.pl. Agencja podała, że w ciągu ostatnich 18 miesięcy wystąpiło 138 wypadków przerwania nabożeństwa przez nieproszone osoby z zewnątrz. Jeszcze chwila i chrześcijanie w Europie Zachodniej zejdą do katakumb. Byle nie zaczęto ich rzucać lwom na pożarcie.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), Marcin Kadziołka/Shutterstock.com

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Genderowe odśnieżanie



Dominik Zdort

Niestety nie sprawdziły się zapowiedzi fachowców od globalnego ocieplenia – temperatura minus 10 st. C przypomina, że prorocy zmiany klimatu fałszowali badania i manipulowali danymi, tak aby pasowały do ich tezy. W tej sytuacji badacze zmienili nieco retorykę. Zgodnie z nową modą ocieplenie to nieprecyzyjne określenie. Teraz mówi się: klimatyczne anomalie.

OK, jak zwał, tak zwał, w tym roku mieliśmy już mróz i śnieg na polskich ulicach i pewnie do maja jeszcze nieraz się pojawi. I to nie jest wyłącznie kłopot drogowców, czy znów dadzą się zimie zaskoczyć. Problem, czy najpierw odśnieżać drogi, a potem chodniki, czy odwrotnie, we współczesnym świecie to nie jest już prosty dylemat typu: myć ręce czy nogi. Obecnie to poważna kwestia ideowa. W Szwecji dawno temu rozwiązywanie problemu śniegu na ulicach przefiltrowano przez zasady gender i okazało się, że dawny model – gdy najpierw odśnieżano drogi, a potem chodniki – był patriarchalny, maskulinistyczny, czyniący z kobiet ludzi drugiego sortu.

Nie, wcale nie żartuję. W dostępnym na YouTubie filmiku opublikowanym przez szwedzkie stowarzyszenie władz lokalnych już kilkanaście lat temu pojawiła się teza o ideowej wyższości wcześniejszego odśnieżania chodników. Chodzi o to, że użytkownikami samochodów są w większym stopniu mężczyźni, kobiety za to chętniej poruszają się pieszo i na rowerach. A więc teraz w ramach akcji afirmatywnej (jak rozumiem), żeby zredukować te wielowiekowe nierówności między płciami, odśnieża się najpierw chodniki, potem asfalt. Niech w końcu i panowie mają trudniej!

W żadnym wypadku nie jestem przeciw odśnieżaniu chodników, wręcz przeciwnie. Gdy muszę pokonać kilkaset metrów z autobusu do domu w butach na płaskiej podeszwie po zlodowaciałej ścieżce, która chodnikiem stanie się ponownie dopiero wiosną, przeklinam patriarchalne antykobiece priorytety, wczuwam się w rolę ciemiężonych i wykorzystywanych przez setki lat pań.

I nie mam już ochoty śmiać się z hejterskich komentarzy pod wspomnianym szwedzkim filmikiem. Tych, w których pewni siebie faceci twierdzą, że aby nastała pełna równość między płciami, do odśnieżania trzeba zagonić kobiety, bo obecnie to panowie biorą na siebie większą część odpowiedzialności za czyszczenie i chodników, i jezdni.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4329e3eee2

RZECZY POSPOLITE

Duchy Repnina



Tomasz Łysiak

26 lutego 1768 r., równo 250 lat temu, na tzw. sejmie repninowskim uchwalono „prawa kardynalne". Utrzymywały one przywileje szlacheckie, lecz wprowadzały pewne innowacje, takie jak odpowiedzialność szlachcica własną głową za zabicie chłopa. Do tego zniesiono liberum veto na sejmikach szlacheckich, choć zostawiono je nadal w Sejmie. Tak naprawdę jednak najważniejsze z punktu widzenia naszej suwerenności, a właściwie jej ciągłego ograniczania, było to, iż zmian dokonywano pod czujnym okiem Katarzyny II i za jej protektoratem.

Sejm repninowski i działalność posła rosyjskiego w Rzeczypospolitej były symptomami gangreny, która bardzo szybko miała doprowadzić do śmierci całego państwa polskiego. Wszyscy pamiętali, w jaki sposób dokonał się cztery lata wcześniej wybór Stanisława Antoniego Poniatowskiego na króla Polski, potem działo się coraz gorzej. Wojskiem i pieniędzmi wymuszano kolejne zmiany, a wszystkie one prowadziły do jednego – całkowitego podporządkowania naszego kraju imperatorowej.

Rosja robiła w Rzeczypospolitej po prostu to, co chciała. Dlatego 29 lutego w Barze, na Podolu, została zawiązana konfederacja, która w zbrojny sposób miała się sprzeciwić rozgrabianiu i zawłaszczaniu naszej suwerenności.

Nie sposób nie patrzeć na te wydarzenia sprzed dwóch i pół wieku, nie widząc pewnych analogii ze współczesnością i z agresywnymi działaniami Unii Europejskiej, która bez najmniejszych wyrzutów sumienia poczyna sobie z nami jak niegdysiejsza Rosja. To znaczy za pomocą wszelkich możliwych gróźb usiłuje nas zmusić do uległości. Co więcej, perfidia tych działań polega na tym, że tak jak w czasie rozbiorów, tak i teraz mocarstwa chcą wykonać robotę rękami samych Polaków. Kiedyś mieli do tego celu wygodne narzędzia, takie jak Targowica, dzisiaj są to posłuszne rzesze tzw. opozycji, która robi wszystko, co rozkaże Bruksela. A czasem nawet wyprzedza jej myśli czy intencje i sama wali z grubej rury. Zupełnie nie przejmując się tym, że taki bratobójczy ostrzał nie tylko trafia w przeciwnika, lecz także rozwala cały dom. Od dachu po fundamenty.

Towarzyszka suka



Piotr Cywiński

W Niemczech każdy członek jest na wagę złota. A dokładniej, w najstarszej, Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, którą ostatnio wyprzedziła w sondażach nawet populistyczna nowicjuszka w Bundestagu, Alternatywa dla Niemiec. Po prawdzie, nie chodzi o członka, lecz o członkinię, a jeszcze dokładniej, wedle obowiązującej w SPD formy zwracania się do siebie członków i członkiń tej partii, o towarzyszkę... sukę. Sprawa dotyczy bowiem nieco Bogu ducha winnej psiny płci żeńskiej, która oficjalnie zasiliła szeregi lewicy.

A rzecz ma się tak: pewna pańcia wypełniła za swego czworonoga, notabene imigrantkę, jako że suka została przywieziona z Hiszpanii, stosowny formularz, podała jej imię – Lima, swoje nazwisko, skoro ta należy do rodziny, wiek tejże w przeliczeniu na ludzki – 21 lat, adres, skrzynkę mailową i numer konta bankowego do odprowadzania partyjnych składek. Ponoć już po paru dniach dostała oficjalny list z logo SPD: „Witamy towarzyszkę Limę...". Sprawa wydała się dopiero na marginesie głosowania towarzyszek i towarzyszy w sprawie porozumienia z chadekami z CDU/CSU o utworzeniu koalicji rządowej. Zgodnie z obowiązującą procedurą, 463 723 „socis", w tym Lima, ma do 2 marca wypowiedzieć się, czy wyraża zgodę na ten sojusz.

No i się zaczęło. Szefostwo SPD uznało, że w przypadku Limy jest to fake-członkostwo, ale że w Niemczech porządek musi być, skoro towarzyszka suka formalnie członkinią jest, to musi zostać formalnie wyrzucona z partii. Według dziennikarzy śledczych z bulwarowego „Bilda" o przyjęcie do SPD starała się też towarzyszka Kotka Kowalska, jednak ktoś tam w zarządzie wyniuchał, że coś mu śmierdzi...

Troszku straszno, troszku śmieszno, SPD postanowiła sprawdzić aż 24,3 tys. towarzyszek i towarzyszy, czy mają więcej nóg niż dwie, czy nie są aby np. papugami lub jakimiś nielotami. Bardzo prawdopodobne... Towarzyszka suka słynna jest dziś w całych Niemczech. Niestety, przez wpadkę z głosowaniem, de facto pół roku po wyborach, nie przyłoży łapy do powstania tzw. wielkiej koalicji i straciła szanse na karierę polityczną. A kto wie, może mogłaby wygryźć konkurencję i zostać nawet wicekanclerzem...? Inna rzecz, czy ktoś w ogóle pytał tę biedną psinę, czy chciała należeć akurat do SPD? Szczerze wątpię.

eprasa.pl 4329e3eee2

Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji: redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Jak można Polakom za granicą pomóc w obronie prawdy

Od kilku lat wraz z żoną i dziećmi mieszkamy w Stanach Zjednoczonych. Z wielką uwagą śledzimy sytuację naszej ojczyzny. Szczególne zainteresowanie wzbudził w nas ostatni konflikt dyplomatyczny z Izraelem wokół Holokaustu. Prababcia mojej żony straciła męża i rodzonego brata, którzy w krótkim odstępie czasu zostali zamordowani w niemieckim nazistowskim obozie zagłady Auschwitz, będąc Polakami (rodzina nie ma żydowskich korzeni). Rodzina mojej żony jest w posiadaniu dokumentów to potwierdzających.

Moja żona i ja jesteśmy profesorami na lokalnym uniwersytecie i czasami zdarza nam się brać udział w dyskusjach na temat II wojny światowej. Takie dyskusje jednak są dosyć trudne, tym bardziej że nie jesteśmy historykami (ja mam wykształcenie techniczne, żona jest psychologiem). Czy można prosić o opracowanie w języku angielskim prezentacji, którą ludzie tacy jak my zawsze mieliby na swoim pendrivie albo wirtualnych dyskach; zawierającej przemawiające do wyobraźni odbiorcy, niepodważalne dane liczbowe ze źródłami historycznymi, zdjęcia, dokumenty itd., pokazujące w profesjonalny sposób ogrom zniszczenia, jakie przyniosła II wojna w Polsce? Prezentacja ta mogłaby być ogólnie dostępna na stronie np. Polskiej Fundacji Narodowej.



W ostatniej dekadzie z Polski emigrowały setki tysięcy młodych ludzi. Jesteśmy wykształceni, znamy języki obce, chcemy dawać świadectwo o Polsce. Taki profesjonalny, niepodważalny materiał byłby bardzo przydatny w trakcie różnych spotkań, dyskusji itd.

Jak wyżej wspomniałem, nie jestem historykiem i w naszej sytuacji stworzenie historycznie niepodważalnej prezentacji nie jest łatwe. Myślę, że inni Polacy również byliby zainteresowani takim materiałem.

Pozdrawiam serdecznie,
Paweł Olszewski, USA

Od redakcji: Panie Pawle, serdecznie dziękujemy za ten pomysł. To doskonała i prosta do wykonania idea: stworzyć podręczny internetowy (pliki do pobrania) księgozbiór i zasób materiałów, w tym filmów, profesjonalnie przygotowanych, wiarygodnych, w językach obcych, o polskim losie w czasie II wojny. Mogłaby się w to włączyć zarówno Polska Fundacja Narodowa, jak i Instytut Pamięci Narodowej. To mogłoby być doskonałe narzędzie dla Polaków za granicą, lecz i dla wszystkich ludzi dobrej woli.

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 120 361 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA
NAKŁAD KONTROLOWANY
FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, TVP/PAP/IRENEUSZ SOBIESZCZUK

eprasa.pl 4329e3eee2



Buduję mosty między ludźmi

Dziś jest tak, że młodzi ludzie z Izraela wychodzą z Auschwitz wstrząśnięci tym, co zobaczyli, a potem widzą polskiego policjanta i polskie dzieci jedzące lody. To nakręca niechęć do Polski. Nie ma wiedzy, że to nie Polacy odpowiadają za tę zbrodnię i że również byli ofiarami

Z Jonnym Danielsem, założycielem i prezesem fundacji From the Depths zajmującej się relacjami Polaków i Żydów, rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

Kim pan jest, panie Daniels?

Jonny Daniels: Jestem zwykłym, 32-letnim Żydem, którego rodzina wywodzi się z Polski, ale który z Polską przez całe życie nie miał nic wspólnego. Gdyby pięć lat temu ktoś mi powiedział, że będę na stałe mieszkał i pracował w tym kraju, odpowiedziałbym zapewne, że to ostatnie miejsce na świecie, do którego mogę się przenieść. Nigdy czegoś takiego nie planowałem. Więcej nigdy nie chciałem brać udziału w tych wyjazdach do Auschwitz.

Dlaczego?

Szczerze mówiąc, nie chciałem, żeby Polacy zarabiali na „turystyce

eprasa.pl 4329e3eee2


Fot. Andrzej Wiktor

Holokaustu". Zostałem wychowany w środowisku bardzo silnie antypolskim. Wokół panowało przekonanie, że w czasie wojny Polacy byli dla Żydów równie źli jak Niemcy, a może nawet gorsi. To nie było jakieś pytanie ani przedmiot debaty, to po prostu było dla wszystkich wokół oczywiste.

Jak więc doszło do tego, że jednak rozmawiamy tu, w Polsce?

Pięć lat temu pracowałem w USA jako konsultant w świecie mediów i polityki. Znany amerykański dziennikarz telewizyjny Glenn Beck poprosił mnie, bym pomógł mu w pracy nad reportażem o Holokauście. Miałem też wystąpić w tym filmie jako potomek ocalonych z Zagłady. Nie od razu chciałem się zgodzić, ale w końcu, po namowach, pomyślałem, że może nadszedł już czas, żeby pojechać do Polski.

Jakie było to pierwsze zetknięcie z Polską?

Gdy dotarliśmy do Krakowa, bo tam mieliśmy pierwszy nocleg, rozpytywałem wokół, czy mogę bezpiecznie chodzić po mieście. Naprawdę się bałem, że zdarzy się coś złego, że zostanę pobity na ulicy. Taki obraz Polski miałem w głowie. To było coś równie oczywistego jak obawa, że gdy pojadę do RPA, to mogę zostać łatwo zabity albo porwany. To nie była nawet konkretna wiedza, ale ukryte założenie, rodzaj emocjonalnego nastawienia do tego kraju. Mówię szczerze, jak to postrzegałem.

Ale nikt pana nie pobił.

Oczywiście. Poszliśmy wieczorem do knajpek, w których serwuje się wódkę i śledzie, zaszedłem też do polskiego sklepu, w którym sprzedawano chałki. Pomyślałem: „Dlaczego oni jedzą śledzie i chałki, przecież to żydowskie potrawy?". Krok po kroku otwierałem oczy.

Potem pojechaliśmy do Auschwitz. Wizyta w obozie śmierci była bardzo silnym, trudnym przeżyciem. Nie zmieniła jednak tego, że poczułem się w Polsce naprawdę dobrze. Mnie samemu wydawało się to dziwne, ale miałem poczucie, że jestem w domu.

Może w rodzinie jednak przekazano panu jakiś sentyment do Polski?

Nie, to nie to. Mój pradziadek, jedyny z całej rodziny, który ocalał z Holokaustu, nie powiedział nigdy ani słowa po polsku, choć przecież przed wojną mieszkał w Dobrzyniu nad Wisłą, gdzie moja rodzina prowadziła piekarnię przez 200 lat. Polska była dla niego wyłącznie krajem, w którym zamordowano moich przodków i w którym spotkały go różne przykrości; jeszcze przed wojną został pobity przez Polaków. I to tak mocno, że do końca życia miał wgłębienie w czaszce. To naprawdę nie były pozytywne uczucia.

A czy w pana rodzinie równie żywe były emocje związane z Niemcami? Bo nas, Polaków, szokuje to, że niechęci, a nawet nienawiści do Polski towarzyszy właściwie obojętność wobec narodu sprawców Zagłady.

Była niechęć do Niemców. Moja rodzina pilnowała i wciąż pilnuje, by nie kupować żadnych niemieckich produktów, żadnych mercedesów ani volkswagenów.

To jednak nieporównywalne z gorącą niechęcią do Polski, o której pan mówi.

Oczywiście wiem, że pełną odpowiedzialność za Holokaust ponoszą Niemcy, ale z różnych przyczyn wielu Żydów odczuwa dużo większą złość wobec Polaków. Zanim przyjechałem do Polski, nie zastanawiałem się nad tym. Dziś sądzę, że bierze się to z kilku przyczyn. Przede wszystkim z tego, że większość ocalonych z Zagłady nie pochodziła z Polski, ale z innych krajów, w tym wielu z Węgier. Dla nich Polska była miejscem śmierci milionów, miejscem, które można było znienawidzić bez żadnego kosztu osobistego.

Wracając do pana „podróży do Polski": co było dalej?

Po powrocie do Izraela nawiązałem kontakt z jednym z pracowników waszej ambasady. Powiedziałem: słuchajcie, musicie zapraszać do Polski ważnych ludzi, żeby zobaczyli to, co ja zobaczyłem, musicie przerwać tę faktyczną izolację. Przekonałem go i dostałem z ambasady niewielki budżet, który wystarczył na zorganizowanie wizyty dwóch członków Knesetu i paru dziennikarzy.

Pojechaliśmy oczywiście do Auschwitz, ale także do Krakowa na Festiwal Kultury Żydowskiej. Tam z hotelowego balkonu patrzyliśmy na 20 tys. ludzi słuchających muzyki klezmerskiej. Do tego ci ludzie wyraźnie czuli się bezpiecznie, bo wokół nie było widać zbyt wielu policjantów.

To było dla pana zaskoczenie?

Oczywiście! Wychowałem się w Londynie, gdzie wszystko, co związane z żydowskim życiem, ma ochronę. Moja szkoła miała ochronę, moja

eprasa.pl 4329e3eee2



synagoga była strzeżona przez policję, strach przed jakimś zamachem albo pobiciem był stale obecny. Na tym tle Polska zrobiła na mnie doskonałe wrażenie. Na Izraelczykach, którzy mi towarzyszyli, także. Siedząc wieczorem w krakowskiej kafejce, członkowie Knesetu mówili zdumieni: tu jest równie pięknie jak w Jerozolimie!

To duży komplement.

Tak. A potem zacząłem nawiązywać w Polsce przyjaźnie i kontakty. Stale też mówiłem wszystkim, którzy chcieli słuchać: za wszelką cenę musicie przełamać tę nieformalną izolację, która otacza wasz kraj w Izraelu. Musicie zapraszać ważnych ludzi i pokazywać im nie tylko Auschwitz, lecz również Polskę. Musicie zrobić wszystko, by młodzież przyjeżdżająca tu z Izraela widziała coś więcej niż tylko obozy śmierci. To wasza szansa.

Bo dziś jest tak, że ci młodzi ludzie wychodzą z Auschwitz wstrząśnięci tym, co zobaczyli, a potem widzą polskiego policjanta i polskie dzieci jedzące lody. I pytają siebie nawzajem: jak oni mogą jeść lody wokół tego strasznego miejsca? To nakręca niechęć do Polski. Nie ma wiedzy, że to nie Polacy odpowiadają za tę zbrodnię i że również byli ofiarami. Moim zdaniem powinniście coś zrobić w tej sprawie.

> Polska ma zasadniczy problem: nie potrafi wyjaśnić ani nagłośnić swoich racji. Mówię o tym od dawna

Co?

Muzeum w Auschwitz powinna zarządzać międzynarodowa instytucja, mająca własną straż. Chodzi o to, by te miejsca maksymalnie oderwać od współczesnej Polski. Moim zdaniem to nie wy powinniście też płacić za ich utrzymanie.

To była świadoma decyzja, że chce pan pomieszkać trochę w Polsce?

Nie, samo tak wyszło, wciągnęło mnie. Założyłem fundację From the Depths. Po udanej wizycie członków Knesetu nie miałem problemu ze zdobyciem pieniędzy. Szybko zebrałem ok. 1 mln dol. Zacząłem budować kontakty z Polakami – zarówno z tymi o lewicowych, jak i prawicowych poglądach. Szybko również zrozumiałem, że cała ta sprawa relacji polsko-żydowskich jest tak trudna, bo właściwie nikt się tym na poważnie nie zajmował.

Jak to nikt? A te wszystkie organizacje zajmujące się od tylu lat dialogiem?

To wszystko bzdura! To jakieś puste przedstawienia. Prawdziwy dialog nie istnieje. Dlatego tak bardzo w to wszystko się zaangażowałem. Te wszystkie teorie, które czasem słyszę, o tym, że ktoś mnie tu po coś wysłał,

eprasa.pl 4329e3eee2

to jest śmieszne. Czasem chciałbym, żeby tak było, bo wówczas na pewno działałoby mi się lepiej. A tak to różnie bywa. Niełatwo zdobyć pieniądze, gdy zaczynasz mówić dobrze o Polsce. Z kolei zwłaszcza amerykańscy Żydzi i ewangeliczni chrześcijanie z USA pomogą ci, jeśli głośno krzyczysz o antysemityzmie, gdy chcesz walczyć z antysemityzmem.

A pan nie chciał?

Bo tego tutaj nie widziałem! Oczywiście to zjawisko w Polsce istnieje, nie można temu zaprzeczyć, ale bez przesady, zachowajmy proporcje i przede wszystkim starajmy się zrozumieć oraz zobaczyć, jak jest naprawdę. Tak jak z o. Tadeuszem Rydzykiem: słyszysz, jaki on straszny, a potem spotykasz tego człowieka i masz całkowicie inne wrażenie.

Ale chodzi także o drobiazgi. Kiedyś polscy przyjaciele zaprosili mnie na kolację. Nie było wieprzowiny, potraktowali sprawę poważnie. Gdy nadeszła pora deseru, żona gospodarza wnosi tacę z truskawkami. A on zaczyna mnie przepraszać, że ona widocznie nie wiedziała, że nie chcieli urazić. A ja na to: ale o co chodzi? Okazało się, że ci ludzie żyli w przekonaniu, że Żydzi nie jedzą truskawek, bo są niekoszerne.

A jedzą?

Oczywiście! To nonsens, nie wiem, skąd się wzięło to dość powszechne w Polsce przekonanie. Ale wracając do tematu: myślę, że 90 proc. tego, co uważa się na świecie za polski antysemityzm, to historie, które nie mają oparcia w rzeczywistości.

Wróćmy jeszcze na chwilę do pana biografii. Zanim dotarł pan do Polski, spędził pan sporo czasu w Izraelu. I to blisko elit rządzących.

Jako bardzo młody człowiek pracowałem dla posła do Knesetu Danny'ego Danona, wówczas ważnego polityka Likudu. Najpierw jako zwykły asystent, ale szybko się okazało, że mam pewne zdolności, głównie komunikacyjne. Moim zadaniem było dbanie o międzynarodowe kontakty Danona, co dziś w Polsce bardzo mi się przydaje. Bo poznałem wówczas Donalda Trumpa, wtedy jeszcze tylko biznesmena, a także wielu polityków ze sceny światowej. Ale i sporo się o sobie nauczyłem. Wiem, że nie nadaję się do pracy w biurze, wyskoczyłbym przez okno; do dziś nie mam biura. Moje silne strony to łączenie ludzi, rozmawianie z nimi, budowanie mostów.

> Żydzi rozumieją polskie doświadczenie znacznie mniej niż Polacy doświadczenie żydowskie. Mówię to szczerze, choć niewykluczone, że ściągam na siebie w ten sposób nowe kłopoty. Ostatecznie każdy naród postrzega siebie jako najważniejszą ofiarę

To, o czym pan mówi, budzi jednak również podejrzenia. Oto młody, obiecujący, ustosunkowany Izraelczyk decyduje się przenieść do Polski. Pan mówi, że nikt pana nie wysłał, ale pytanie, czy nie pracuje pan dla Mosadu, nasuwa się samo. Pracuje pan?

Nie, nie pracuję dla Mosadu. Ktoś wynalazł moje zdjęcie w mundurze jako dowód moich rzekomych powiązań. Ale co to za dowód? Przecież każdy Izraelczyk służył w wojsku. Poza tym chyba nie jestem na tyle bystry, by pracować dla Mosadu [śmiech]. Byłbym też kiepskim szpiegiem, bo jestem już w Polsce dość rozpoznawalny.

Różni ludzie mają różne zadania. Czasem chodzi nie o wiedzę, lecz o wpływ.

Rozumiem te sugestie i chętnie udowodniłbym wam, że nie jestem z Mosadu, CIA, MI5 ani MI6, że nie mam żadnych takich powiązań. Ale przecież nie położę żadnego papierka, bo go nie mam, a i tak pewnie niewielu bym w ten sposób przekonał. Mogę tylko powiedzieć szczerze, że jestem prywatną, ciężko pracującą osobą.

Jaki charakter miała pańska służba w izraelskiej armii?

Byłem w oddziałach spadochronowych. Brzmi to dumnie, ale nie należałem do osób szczególnie sprawnych fizycznie. W Polsce jednostki spadochronowe uważane są za oddziały elitarne, ale była to standardowa jednostka bojowa. Szybko doznałem kontuzji i właściwie cały okres służby spędziłem, chodząc po lekarzach. Nie byłem na froncie, do nikogo nie musiałem strzelać, nikogo nie zabiłem. Ukończyłem służbę w stopniu sierżanta sztabowego. I to wszystko. Wiem, to mało ekscytująca opowieść.

Jeśli nie służby, to pewnie zajmuje się pan lobbingiem.

Na rzecz czego miałbym lobbować?

Możliwości jest wiele. Może chodzi o izraelski przemysł obronny? A może o kogoś z zupełnie innej branży?

Wielu mnie sprawdzało pod tym kątem. I jest całkiem konkretny powód, dlaczego niczego nie znaleziono: otóż niczego takiego nie ma. Nie byłem ani nie jestem lobbystą. Nie jestem też bogatym człowiekiem.

To z czego pan żyje?

Mam małą firmę działającą w branży PR. Nie ukrywam, że pracuję m.in. dla LOT, kilku firm budowlanych, a także dla start-upów. Wykorzystując swoje amerykańskie kontakty, pomagam w wejściu na tamtejszy rynek. Za miesiąc organizuję duże wydarzenie: zabieram do Doliny Krzemowej grupę polskich biznesmenów na polsko-izraelsko-amerykański szczyt gospodarczy.

Jakoś więc się kręci. Są ludzie, którzy myślą, że to wszystko robi pan dla pieniędzy.

eprasa.pl 4329e3eee2

Powiem panom szczerze: gdyby mi zależało przede wszystkim na pieniądzach, byłbym teraz w Ameryce. Z moimi kwalifikacjami i z moim doświadczeniem mógłbym zarabiać naprawdę dużo. Jestem w Polsce nie dlatego, że tu są pieniądze, lecz dlatego, że to interesujące miejsce. To pewnie zabrzmi banalnie, ale mnie w życiu nie chodzi tylko o pieniądze. Naprawdę kocham Polskę, jej kulturę, ludzi. Przeżywam tu wspaniały czas. Nie mam żadnych tajnych celów.

Już w Polsce zdołał pan w krótkim czasie nawiązać kontakty z najważniejszymi osobami w państwie: prezesem Jarosławem Kaczyńskim czy premierem Mateuszem Morawieckim.

Tak, ale trzeba na to patrzeć w kontekście. Robię to, co mogłoby robić wiele innych osób. Nie ma w tym żadnej wielkiej tajemnicy, jest tylko moja dobra wola. Uczciwie mówiąc, nie ma zbyt wielu Izraelczyków w Polsce, którzy chcą coś robić dla współpracy polsko-żydowskiej i polsko-izraelskiej. Jeszcze mniej jest osób, które rozumieją polską perspektywę. A ja rozumiem. To było puste miejsce, próżnia, którą zająłem. A że szukam kontaktów z elitą? To oczywiste, bez tego moja praca nie miałaby wielkiego sensu, bez tego wiele bym nie osiągnął.

Jest pan też postrzegany jako osoba, która patrzy ze sporą sympatią na rządzący w Polsce obóz. A to już ewenement w środowisku, z którego pan się wywodzi.

To prawda, ale chcę jasno powiedzieć: jeśli PiS robi coś, co uznaję za sprzeczne z moimi poglądami, to nie waham się tego skrytykować. Tak jak zrobiłem w czasie awantury po wypowiedzi premiera Morawieckiego w Monachium. Będę mówił, co myślę, nawet mając świadomość, że może mi to zaszkodzić, że ktoś się na mnie pogniewa. Jestem Żydem i są sprawy, których nie mogę zaakceptować. Proszę też pamiętać o jednym: jestem Żydem o poglądach prawicowych. W Wielkiej Brytanii popieram konserwatystów, w Izraelu Likud, w USA Republikanów, a tutaj, w Polsce, najlepiej rozumiem PiS.



Emocjonalnie? Ze względu na patriotyzm, umiłowanie ojczyzny?

Także. Ludzie widzą Polaków z narodowymi flagami i krzyczą, że to „nacjonaliści". To żadni nacjonaliści, to po prostu patrioci. I muszę wam powiedzieć: poznałem bardzo wielu ludzi z Prawa i Sprawiedliwości. Bardzo wielu. I co najwyżej wobec jednej czy dwóch osób mogę się zastanawiać, czy to przyzwoici ludzie. Co do reszty trudno mieć zastrzeżenia. A przywódca, prezes Jarosław Kaczyński, a także premier Morawiecki są tak daleko od antysemityzmu, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Jednocześnie są to ludzie, którym prasa zachodnia potrafi insynuować antysemityzm.

Chciałbym, żeby niektórzy Żydzi byli tak pozytywnie nastawieni do narodu żydowskiego i Państwa Izrael jak oni. Gdy słyszę tego typu zarzuty ze strony zachodnich mediów, czuję złość. To jest całkowite niezrozumienie tego, jaka jest Polska. Zobaczyliśmy to także w tym okropnym filmie przygotowanym przez jedną z fundacji w USA.

Skąd się bierze to niezrozumienie?

Polska ma zasadniczy problem: nie potrafi wyjaśnić ani nagłośnić swoich racji. Mówię o tym od dawna. A teraz problem będzie jeszcze większy. W przyszłym miesiącu na moje zaproszenie miała przyjechać do Polski ważna postać, znana na całym świecie. Ale po ostatnich wydarzeniach odwołała tę wizytę.

Pan również jest atakowany i w Izraelu, i w Polsce. Za „wybielanie Polski", a także za wspieranie „autorytarnego rządu".

Żyjemy w demokracji, ludzie mogą mówić, co chcą. W Polsce jest wiele opinii na wiele różnych spraw, jest bujne życie medialne. Każdy może też startować w wyborach i spróbować przekonać Polaków do swoich racji. Nawet gdy ktoś ostro mnie krytykuje, a czasem i obraża, to też uznaję, że ma do tego prawo. W tych atakach jest zresztą drugie dno.

Jakie?

Gdyby pojawił się ktoś podobny do mnie, kto zdołałby się przebić do mediów, kto zyskałby wielu przyjaciół, kto mógłby się pochwalić ważnymi kontaktami, zapewne też bym go nie kochał. I może nawet pytałbym: kto go wysłał, po co, w jakim celu? 99 proc. krytyki wymierzonej w moją osobę to po prostu zazdrość.

Chyba jest w tym coś więcej. Niszczy pan monopol niektórych środowisk w niezwykle ważnej sferze relacji polsko-żydowskich.

To też. Przez ostatnie ćwierć wieku, a może i dłużej, te relacje były kontrolowane przez lewicę. Łamię ich monopol, pewnie mają poczucie, że rozwalam całą ich robotę. Jestem zagrożeniem. „Gazeta Wyborcza" delegowała dwóch dziennikarzy na cały

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4329e3eee2

miesiąc z zadaniem prześwietlenia mojej skromnej osoby. Mieli pewnie znaleźć jakieś słabości.

Znaleźli?

Nie znaleźli nic poza jakimiś sprzeczkami, które każdy ma w swoim życiu. Ale trochę się denerwowałem, bo każdy człowiek, którego się prześwietli, może zostać przedstawiony w negatywnym świetle. Atakuje mnie również lewicowa prasa w Izraelu, ostatnio lewicowy dziennik określił mnie jako „wybielacza" Polski, kogoś, kto pomaga Polakom w wyparciu się win. A musicie wiedzieć, że jeśli zostanę uznany za człowieka, który pośrednio pomaga w „zaprzeczaniu Holokaustowi", to nie będzie przede mną przyszłości w moim kraju, zostanę persona non grata. Już dziś atakują mnie dziesiątki organizacji zajmujących się Holokaustem – za sam fakt, że mam dobre kontakty z polskimi władzami. Wielu ludzi twierdzi, że utrudniam starania o restytucję mienia. Tak więc trudno być pośrodku.

Bywa, że również polska prawica marszczy brwi, np. gdy wrzuca pan do sieci swoje zdjęcie z Rafałem Trzaskowskim, kandydatem PO na prezydenta Warszawy. Ludzie komentują, że „zmienił pan strony szybciej, niż się spodziewali".

Nie pracuję dla nikogo. Robię to, co uważam za słuszne i zgodne z prawdą. Nie widzę żadnego problemu w tym, że spotkam się z Trzaskowskim czy kimś innym z opozycji. A to spotkanie było w sumie przypadkowe, doszło do niego w czasie forum polsko-brytyjskiego w Londynie, w którym razem uczestniczyliśmy.

Pan się jednak trochę „afiliował" przy dobrej zmianie, więc zdziwienie jest uzasadnione.

To nie jest afiliacja. Ja po prostu uważam, że w wielu obszarach robią dla Polski dobrą robotę. Uważam też, że mogliby działać dużo lepiej na forum międzynarodowym, ale to inna sprawa.

Wspomniał pan o o. Tadeuszu Rydzyku. Uważa się pan za przyjaciela dyrektora Radia Maryja?

Tak, i jestem z tego bardzo dumny. Moją relację z Radiem Maryja uważam za jeden z moich największych sukcesów. Gdy pod koniec stycznia wybuchł obecny kryzys, konsultowałem się z o. Rydzykiem, pytałem, co robić dalej. On też mnie pytał o opinię. Byłem gościem rozgłośni, są też rozmowy na temat mojego własnego cotygodniowego programu.

> Robię to, co mogłoby robić wiele osób. Nie ma w tym wielkiej tajemnicy, jest tylko moja dobra wola. Uczciwie mówiąc – nie ma zbyt wielu Izraelczyków w Polsce, którzy chcą coś robić dla współpracy polsko-żydowskiej i polsko-izraelskiej

To będą rozmowy ze słuchaczami?

Tego nie wiem, ale to, że do tej rozgłośni można zawsze zadzwonić i powiedzieć, co się myśli, jest fascynujące.

Dlaczego w sprawach polsko-żydowskich tak trudno dziś nawet nie o porozumienie, ale choćby o wspólną płaszczyznę rozmowy?

Kluczowy jest brak wiedzy. Zanim przyjechałem do Polski, nie wiedziałem, że oprócz powstania w getcie było także powstanie warszawskie. Nie wiedziałem o wymordowaniu polskiej inteligencji, o skali strat, które poniósł wasz kraj. Izraelscy dziennikarze, którzy niedawno odwiedzili Polskę, również nie mieli o tym bladego pojęcia. Poza Polską niemal nikt nie wie, że Polacy także ginęli w Auschwitz. Ale i w Polsce czasem słyszę bzdury – te wszystkie wypowiedzi o „żydowskich członkach SS", przecież to koszmar.

Nikt miarodajny tak nie mówi.

Powoli jednak rozmowa polsko-żydowska jest zawłaszczana przez ekstremistów z obu stron. Słyszymy o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków, a przecież to liczba wzięta właściwie z sufitu. Polska nie potrafi skutecznie przedstawić swojej historii, swojej opowieści. Tak, wiem, był komunizm, trzeba odbudować państwo i gospodarkę, nie jest łatwo mówić do ludzi, którzy nie chcą słuchać, nie ma prostych recept, ale nie ma innego wyjścia, niż próbować.

„Nie chcą słuchać" to mało powiedziane. Mamy wrażenie, że każde polskie działanie wzbudza agresję.

Wiem, że nie jest łatwo. Jeśli np. w odpowiedzi na krytykę ustawy o IPN promujecie takie postaci jak Jan Karski czy Irena Sendlerowa, to wiele sobie nie pomagacie. To jest postrzegane jako propaganda. Prawda jest taka, że społeczność międzynarodowa chce usłyszeć od Polski jedno zdanie: tak, byli wśród nas źli ludzie.

Mamy zaakceptować oskarżenie i nic więcej?

Wiem, że nie ma chyba polskiej rodziny, która by kogoś nie straciła w czasie II wojny światowej. Ale jestem dziś osobą, która wie wyjątkowo dużo. Jeśli wy na oskarżenia odpowiadacie, że byli przecież również źli ludzie wśród Żydów, to dotykacie najwrażliwszego nerwu ze wszystkich. Dla Żydów jest to nie do zaakceptowania. Bo my straciliśmy 6 mln Żydów.

A my straciliśmy 3 mln Polaków – obywateli polskich. I nie byliśmy w stanie zapobiec ich śmierci. Jak więc mogliśmy zapobiec śmierci Żydów – obywateli polskich?

Ja to rozumiem, ale tego zrozumienia na świecie nie ma. I przyznaję, że Żydzi rozumieją polskie doświadczenie znacznie mniej niż Polacy doświadczenie żydowskie. Mówię

eprasa.pl 4329e3eee2

to szczerze, choć niewykluczone, że ściągam na siebie w ten sposób nowe kłopoty. Ostatecznie każdy naród postrzega siebie jako najważniejszą ofiarę.

Co więc robić?

Znów powiem szczerze: może powinniśmy przestać o tym rozmawiać i skupić się wyłącznie na przyszłości. Z tego konfliktu chyba nie ma wyjścia. To sprawa zwyczajnie zbyt drażliwa. A jeśli Polska chce jednak mówić o swoich racjach, to musi to robić w sposób maksymalnie spokojny. Uchwalanie ustaw takich jak ta o IPN nie jest żadnym rozwiązaniem. Oczywiście wiem, dlaczego ta ustawa powstała i że trzeba walczyć z określeniem „polskie obozy śmierci", ale można to było zrobić w sposób o wiele bardziej inteligentny i ostrożny.

Z perspektywy czasu wszyscy to wiedzą. Ale wcześniej mało kto ostrzegał.

Ja to wiedziałem i o tym mówiłem; próbowałem się nawet przebić z tym do władz, ale bezskutecznie. Ale powtarzam: największy problem polega na tym, że my się nie rozumiemy. Gdy Yair Lapid mówi to, co mówi, to nie dlatego, że chce prowokować. On naprawdę w to wierzy!

Ale fabrykuje przy okazji swoją przeszłość, mówiąc, że jego babcia zginęła w Auschwitz.

Zginęła jego prababcia, a nie babcia. Pomylił się, co niewiele zmienia. Podobnie nie ma znaczenia, że Ronen Bergman pomylił się co do wieku swojej mamy. To są jałowe spory.

Jednak nie. Najpierw się buduje duży obraz zawierający oskarżenie, a gdy mówimy, że jego składowe się nie zgadzają, słyszymy, że szczegóły są bez znaczenia.

Cała Polska debatuje, jaki jest ukryty cel działania fundacji Rudermanów, która wyprodukowała ów filmik o „polskim Holokauście". A to przecież prosta sprawa, powiedzenie „f...k you Poland", rodzaj kary. Te szczegóły nie są ważne o tyle, że odciągają uwagę od istoty sprawy: od tego, że Polski nikt nie rozumie ani nikt chce słuchać.

Owa fundacja wezwała USA do zerwania relacji z Polską. Poważna sprawa.

To nie jest powód do obaw, to nie ma żadnych szans. Polska jest zbyt ważna dla Stanów Zjednoczonych.

Do niedawna wydawało nam się, że jest ważna również dla Izraela. Ten nasz „sojusz" został jednak złożony na ołtarzu interesów wyborczych pana Lapida i premiera Netanjahu.

Polska jest ważna, Izrael nie ma zbyt wielu sojuszników. Ale jestem pewien na 100 proc., że gdyby ustawa o IPN została przegłosowana dzień po wyborach w Izraelu, wybuchłaby taka sama awantura. A może nawet gorsza. Musicie to pojąć: dla was cel tej ustawy jest jasny. Ale wyobraźcie sobie, że tego nie wiecie, a wcześniej przez dwa lata słyszycie o rządzie PiS, który chce pisać historię na nowo.

Ale przecież jedynym celem tej ustawy była walka z określeniem „polskie obozy śmierci"!

Skąd mają o tym wiedzieć ludzie w Izraelu? W ustawie tego nie ma, jest za to dużo o pomawianiu narodu i państwa. Dla ocalałych oznaczało to, że nie będą mogli mówić o swoich przejściach w Polsce. To było dla nich jasne i jednoznaczne. Tak tę ustawę rozumie cały świat.

Jak pan ocenia odpowiedź polskich władz na pierwszą część kryzysu, a więc szybkie zakończenie procesu legislacyjnego?

W tamtej sytuacji była to zdecydowanie najlepsza decyzja, jaką mógł podjąć prezes Kaczyński. Ustawa może zostać zmieniona w Trybunale, powoli również w Izraelu przebijała się wiedza o tym, co było celem Polski. Po wypowiedzi premiera w Monachium sytuacja jest już inna, dużo trudniejsza; dotknięty został bardzo szczególny punkt żydowskiej tożsamości. Paradoksem jest to, że premier Morawiecki jest jednocześnie jednym z najbardziej przyzwoitych i szczerych polityków, jakich spotkałem w całym swoim życiu. Myślę, że nie miał świadomości, jak to zostanie odebrane.

Ale przecież kontekst wypowiedzi premiera był jasny: grzeczna, uprzejma odpowiedź na prowokacyjne pytanie, akceptacja, że byli źli Polacy, tak jak byli źli Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy.

Stwierdzenie przez polskiego premiera, że byli „żydowscy sprawcy", jest tym samym, czym byłoby użycie przez premiera Netanjahu określenia „polski obóz śmierci".

To jednak nieporównywalne. Przecież nie było „polskich obozów śmierci", a nie wszyscy Żydzi w obliczu Zagłady zachowywali się tak samo.

Dla Żydów jest oczywiste, że członkowie policji żydowskiej czy pracownicy Judenratów robili to, co robili, ponieważ zostali do tego zmuszeni, ponieważ chcieli ocalić swoje życie. Oczywiście wiem, że nie wszyscy członkowie Judenratów działali tak, jak powinni, i nie każde ich działanie było związane z ratowaniem życia; czasem robili rzeczy straszne, z zachłanności i dla osobistego zysku. To trudna i smutna część historii.

Ale np. granatowi policjanci też byli zmuszeni do służby; jeśli się nie stawili, byli skazani na śmierć.

Zgoda, patrzmy na każdy przypadek osobno, nie generalizujmy; ja przeprosiłem za wypowiedź, w której stwierdziłem, że żydowscy kolaboranci działali, ratując swoje życie, a polscy z chciwości i nienawiści. Ale Żydzi nie zaakceptują sytuacji, w której żydowscy kolaboranci są umieszczani na tym samym poziomie co polscy.

Za chwilę się okaże, że naprawdę mamy uznać za Barbarą Engelking, że „dla Polaków śmierć to była po prostu kwestia biologiczna", a dla Żydów „to była tragedia, metafizyka, spotkanie z najwyższym". Przecież to absurd.

Może za pokolenie albo dwa będziemy mogli o tym rozmawiać spokojnie, ale

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Andrzej Wiktor

Myślę, że 90 proc. tego, co uważa się na świecie za polski antysemityzm, to historie, które nie mają oparcia w rzeczywistości

dziś dla Żydów jest to otwarta, boląca rana. Koniec, kropka.

Polacy mają akceptować odpowiedzialność całego narodu za nikczemne czyny jednostek w czasie II wojny, ale Żydzi już nie?

Może to nie jest sprawiedliwe, ale tak jest. Ja już więcej rozumiem, bo jestem w Polsce od pięciu lat. Dla wszystkich Żydów, którzy nie mają tego doświadczenia, to brzmi fatalnie, okropnie. To naprawdę jest najgorsza rzecz, jaką można powiedzieć.

Hannah Arendt jednak o tym pisała.

Hannah Arendt była filozofem, a nie historykiem.

Jan Tomasz Gross jest socjologiem.

Zgoda. Jest wiele książek o Żydach pomagających Niemcom, o policji żydowskiej, o Judenratach. Ale to nic nie zmienia. Dla Żydów mówienie o „żydowskich sprawcach" jest nie do zaakceptowania.

Czyli Żydzi mogą mówić o granatowej policji, a Polacy nie mogą mówić o policji żydowskiej?

Jeśli chcecie znać prawdę, jeśli chcecie wiedzieć, jaka jest wrażliwość żydowska, to tak właśnie jest.

I mamy to zaakceptować?

Żydzi postrzegają siebie jako czyste ofiary. Dla nas policja żydowska to ludzie, którzy stawali w obliczu strasznych wyborów i którzy robili to, co robili, żeby przetrwać, żeby ocalić siebie. Też byli ofiarami. Tego przekonania nie przełamiecie.

Co teraz? Co dalej?

Ani Polska, ani Izrael nie mają żadnego interesu w zniszczeniu wzajemnych relacji. Zwróćmy uwagę na bardzo umiarkowaną reakcję Netanjahu po Monachium. Gdyby premier Izraela rzeczywiście grał tylko o punkty wyborcze, zrobiłby z tego awanturę, jakiej jeszcze nie widzieliśmy, a on ograniczył się do rozmowy z premierem Morawieckim. Osobiście uważam, że za kilka tygodni sprawa ustawy o IPN zostanie rozwiązana i nie będzie już problemem. I wówczas trzeba się skupić na przyszłości, a nie na przeszłości. Trzeba promować współczesną Polskę, a nie to, co było.

Ale jeśli zaakceptujemy straszne, nieprawdziwe oskarżenie, będzie to miało skutki dla przyszłości. Poważne.

Nie musicie akceptować oskarżenia. Nie mówię, że nie należy spokojnie wyjaśniać polskich racji. Ale musicie wyjść z tej spirali śmierci. Najmądrzej ujął to o. Tadeusz Rydzyk, który stwierdził, że każda strona musi się przespać umownie trzy noce. I to jest prawda.

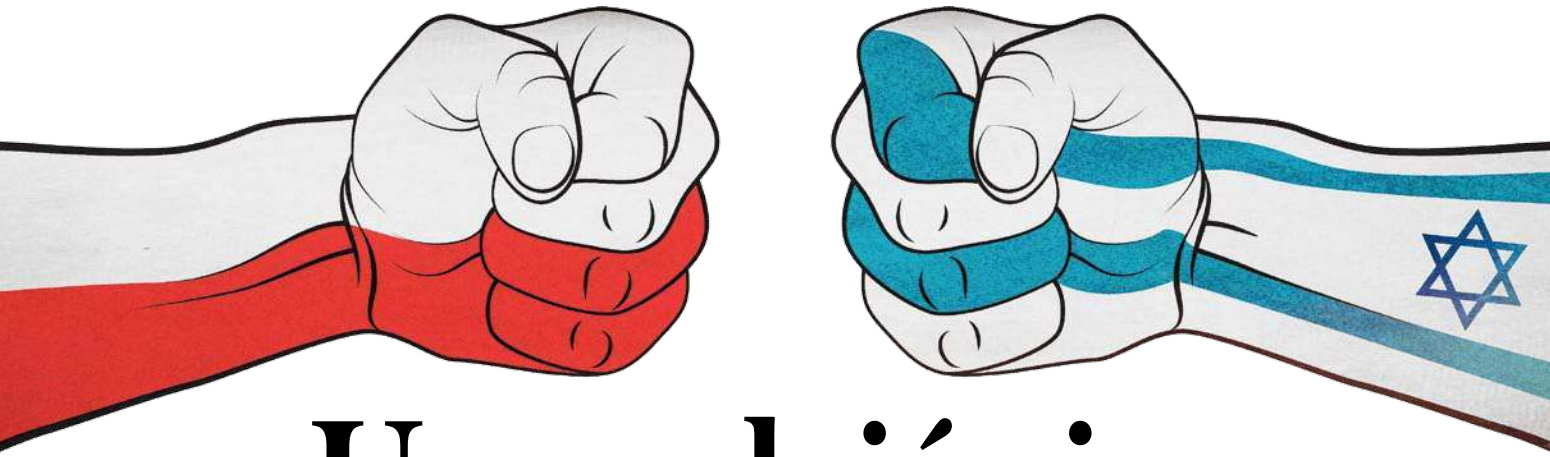
Czy pana zdaniem używanie określenia „polskie obozy śmierci" to wynik przypadku, niewiedzy, czy czegoś więcej?

Gdybyście zapytali mnie o to dwa lata temu, powiedziałbym, że nie ma w tym złej woli. Dziś sądzę, że w wielu wypadkach to nie jest przypadek. Miałem kiedyś pouczającą sytuację: pomagałem młodemu dziennikarzowi z „Die Welt" przy pracy nad artykułem o Centrum Edukacyjnym Polskich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, które założyły TSKŻ oraz moja fundacja. Po skończonej pracy wrócił on do Niemiec, a po miesiącu napisał list z przeprosinami. Okazało się, że w redakcji zmieniono mu niemal wszystko. Zamiast merytorycznego artykułu powstał typowy tekst o polskim rządzie, który manipuluje historią, choć owe centrum z rządem nie ma nic wspólnego. Nie ma wątpliwości, że z Berlina płyną nieoficjalne dyrektywy, by wciągać inne narody do współudziału w zbrodni. Określenie „polskie obozy śmierci" jest tego częścią.

Mieszka pan pięć lat w Polsce, jest pan dość rozpoznawalny. Chodzi pan często w jarmułce. Jakie są pana doświadczenia?

Nigdy nie doświadczyłem żadnego rodzaju antysemityzmu. Od paru tygodni nie czuję się jednak tak pewnie, jak wcześniej, pojawiło się nieco nerwowości. Otrzymałem groźby, którymi zajmuje się policja. Mam wrażenie, że zły dżin uwolnił się z butelki. Najbardziej przeraża mnie wizja jakiejś prowokacji; jeśli dojdzie do fizycznego ataku na osobę instytucję, to szczerze mówiąc, może być to game over. Równocześnie nie mogę nie pamiętać, że Polacy i Żydzi mają 800 lat wspólnej historii, z lepszymi i gorszymi okresami. Dlatego wierzę, że z perspektywy historycznej to wszystko okaże się jedynie kolejnym drobnym spięciem, a przed nami jasna przyszłość.

eprasa.pl 4329e3eee2



Uprzedzić cios

To, co teraz przeżywamy w relacjach polsko-żydowskich, to tylko przedsmak. Za kilka tygodni wpadniemy w wir, który może naprawdę walnąć nami o dno



PIOTR SKWIECIŃSKI

Ten wir to nieszczęśliwe w obecnej sytuacji zejście się kilku okrągłych rocznic: Marca '68, powstania w Getcie Warszawskim i utworzenia Państwa Izrael. Jeszcze kilka miesięcy temu uważalibyśmy, że to symbol kwitnących relacji między Warszawą a Jerozolimą i, szerzej, Żydami. Dziś możemy być pewni, że ten rocznicowy czas posłuży do pogłębienia paroksyzmu, który na razie wydaje się ograniczać do wzajemnych żalów, ale niepowstrzymany może osiągnąć poziom nienawiści.

W kwietniu w Warszawie ma odbyć uroczystą konferencję zarząd Światowego Kongresu Żydów. Ta zapowiadana od dawna impreza, gdyby świat wyglądał tak jak pół roku temu, byłaby okazją dla podkreślenia pojednania. Dziś trzeba ją postrzegać raczej jako okoliczność stwarzającą (tym po obu stronach, którzy chcą dalszego zaostrzenia sytuacji) okazję do wszelkiego rodzaju prowokacji.

Do pogłębienia paroksyzmu z całą pewnością dążyć będą rozmaite siły. To już zresztą widać gołym okiem, bo to, co stało się zapłonem spirali konfliktu zapoczątkowanej w Monachium, doprawdy trudno uznać za spontaniczne.

ZOBACZCIE, Z KIM ONI SIĘ KUMAJĄ…

Przypomnijmy, jak zaczęła się pierwsza tura kryzysu, ta bezpośrednio związana z nowelizacją ustawy o IPN. Zapoczątkował ją nie rząd Izraela, tylko Yair Lapid, polityk lewicowo-liberalny, opozycyjny, uznawany tam przez wielu za pierwszą od dawna nadzieję na odebranie władzy prawicy. Zapoczątkował słynną deklaracją „o babci" i „polskich obozach śmierci". Netanjahu poczuł się zagrożony, postanowił nie dać odebrać prawicy sztandaru patriotyzmu i brutalnie wszedł w sytuację. Stąd słynne oświęcimskie wystąpienie ambasador Izraela i wszystko, co potem nastąpiło.

Jeśli teraz spojrzymy na obecną turę kryzysu, to jest ona po prostu bliźniacza. Ronen Bergman, który na monachijskiej konferencji wystąpił z prowokacyjnym pytaniem do polskiego premiera, przedstawił się jako piszący dla „New York Timesa". Ale jest przede wszystkim jednym z najważniejszych publicystów i komentatorów największego izraelskiego dziennika „Yedioth Ahronoth". To pismo niechętne Netanjahu, sympatyzujące natomiast z lewicowo-liberalną opozycją. Sam Bergman zaś jest nie tylko publicystą, lecz także znanym dziennikarzem śledczym, niejednokrotnie ujawniającym rozmaite rewelacje i tajne dokumenty związane ze światem specsłużb. To wewnątrz izraelskiej przestrzeni informacyjnej dodatkowo zwiększało ciężar sprawy.

Mimo to na „skandaliczną", według Netanjahu, wypowiedź szefa polskiego rządu premier izraelski zareagował nie od razu. Dopiero po kilku godzinach. A więc nie spontanicznie. A więc uznanie jej za aż tak „skandaliczną" niekoniecznie było oczywiste.

Wszystko to razem pozwala postawić hipotezę – siły, które stały za rozpętaniem pierwszej spirali konfliktu, czyli wroga Netanjahu liberalno-lewicowa opozycja, zachęcone dotychczasowym przebiegiem starcia zdecydowały zaaplikować i Polsce, i Netanjahu repetę. Po co zmieniać stare procedury, jeśli dobrze działają?

Sam szef izraelskiego rządu, rad nierad, zareagował podobnie jak dwa tygodnie temu. Bo w sensie politycznym musiał. Ale uczynił to bardzo, jak na niego, łagodnie – sama zapowiedź rozmowy z Morawieckim była natychmiastowym elementem tonującym.

eprasa.pl 4329e3eee2

A wszystko to ma szerszy kontekst, w którym nie chodzi tylko o Polskę. Lewicowo-liberalne środowiska i w Izraelu, i w diasporze od dawna oskarżają Netanjahu o prowadzenie niemoralnej oraz długofalowo szkodliwej polityki przymykania oczu na nacjonalistyczne i antysemickie tendencje w środkowo- i wschodnioeuropejskich krajach, z którymi to krajami obecny rząd w Tel Awiwie prowadzi, w państwowym interesie Izraela, swego rodzaju flirt. A w każdym razie nie przyłącza się do kampanii atakowania ich za odejście od „wartości europejskich".

Rząd Izraela nie broni np. George'a Sorosa, który ze wszystkich sił zwalcza rządzącego na jego rodzimych Węgrzech Viktora Orbána. Liberalno-lewicowe środowiska żydowskie uważają, że skierowana przeciw Sorosowi kampania władz węgierskich jest podszyta antysemityzmem. I krytykują Netanjahu za to, że podobno nie chce tego dostrzec – bo dobrze mu się z Orbánem współpracuje. A także dlatego, że sam nienawidzi Sorosa za jego konsekwentnie antyizraelską postawę (fundator Open Society Foundations Izraela bowiem nie cierpi i finansował ostatnio – a to tylko jedno z wielu tego rodzaju działań – demonstracje przeciw realizowanej przez Tel Awiw kampanii deportowania afrykańskich migrantów).

Rozpętując więc akcję przeciw Polsce, izraelska i diasporyczna liberalna lewica chciały zapędzić Netanjahu do narożnika. Pokazać, że prowadził politykę złą i głupią, która nie mogła się udać. Odwrotnie – rozbestwiła tylko wschodnioeuropejskich antysemitów, których Tel Awiw przyzwyczaił do bezkarności.

A Netanjahu, broniąc się, próbuje minimalizować straty.

MASA KRYTYCZNA

Co bynajmniej nie znaczy, żeby przyczyny zaostrzenia leżały wyłącznie po tamtej stronie. Bo premier Morawiecki popełnił oczywiste błędy. W liczbie mnogiej.

Odpowiadając na pytanie Bergmana i mówiąc o żydowskich kolaborantach, użył angielskiego słowa „perpetrators". Słownikowo tłumaczy się ono na „sprawcy", ale w całej sferze badań i refleksji związanej z Holokaustem jest ono zarezerwowane dla Niemców czy, nieco szerzej, dla tych, którzy mordowali Żydów. Co uzasadnia wzburzenie tych ostatnich.

Nie idzie zresztą wyłącznie o to konkretne słowo. Skandal wybuchłby w każdym wypadku, gdyby Morawiecki użył w odniesieniu do odgrywających złowrogą rolę w machinie Holokaustu Żydów i przedstawicieli wszystkich innych narodowości jakiegokolwiek tego samego słowa. Gdyby Żydów i nie-Żydów określił jakimkolwiek wspólnym terminem. Byłoby to podobnym błędem, w podobny sposób muszącym wywołać wzburzenie. Wzburzenie zrozumiałe. Bo też sytuacja Żydów i wszystkich innych była w kontekście Shoah drastycznie różna. Wśród wszystkich tych, którzy zachowali się wówczas źle, tylko oni działali bowiem w sytuacji zagrożenia natychmiastową śmiercią – nie tylko własną, lecz i rodzin – w wypadku odmowy uczestnictwa w tej machinie. Inni mieli – nie zawsze, ale najczęściej – niesamobójcze drogi wyjścia z tej sytuacji, Żydzi nie mieli ich nigdy.

I to jest pierwszy powód, dla którego należy unikać bodaj pozoru zrównywania postępowania jakichkolwiek Żydów w czasie Holokaustu z postępowaniem w tym czasie jakichkolwiek nie-Żydów. A drugi powód – to cała potęga żydowskiego aparatu kreowania opinii, kształtowania podzielanego również przez nie-Żydów obrazu świata, z którą lepiej się nie konfrontować. Czasem oczywiście trzeba iść na taką konfrontację – żeby bronić prawdy. Ale żeby bronić sformułowań co najmniej wątpliwych...?

Na domiar złego polski premier nie ograniczył się do sławetnych „sprawców". W czasie tej samej wizyty w Niemczech złożył wieniec na grobach NSZ-owców, czyli partyzantów wyznających antysemityzm, z których część miała na sumieniu mordy na ukrywających się Żydach. I powiedział, że Polska nie ponosi odpowiedzialności za Marzec '68, bo nie była wówczas niepodległa. To akurat prawda, tylko że dla strony żydowskiej kontrowersyjna, więc nie było rzeczą rozsądną przypominać ją akurat w oku kryzysu. Zeszło się to z dwoma innymi lapsusami i razem stworzyło masę krytyczną, która eksplodowała.

LICZBY MAJĄ ZNACZENIE

Sytuację zaostrzy z pewnością mająca się ukazać w marcu bardzo obszerna książka Jana Grabowskiego i Barbary Engelking, poświęcona zjawisku łapania i wydawania Niemcom lub samodzielnego mordowania Żydów przez Polaków na głębokiej prowincji Generalnego Gubernatorstwa. Bo ten fenomen, a nie znane raczej z wielkich miast szmalcownictwo, jest w centrum obecnego polsko-żydowskiego konfliktu o pamięć.

Istnienie tego zjawiska jest niestety oczywiste, podobnie jak to, że występowało ono w całym GG aż do przejścia frontu. Kluczowe jest jednak pytanie o jego skalę.

Na ok. 200 tys. szacuje się (i tej akurat liczby raczej nikt nie podważa) liczbę Żydów, którzy choć na moment uciekli z gett (prowincjonalnych, często niestrzeżonych) lub z transportu. W tej liczbie mieści się, w niewiadomych proporcjach, kilka kategorii: ci, którzy przeżyli; ci schwytani i zamordowani przez Niemców bez udziału Polaków; ci, którzy zostali wydani Niemcom przez Polaków; ci złapani przez Polaków i przez nich zamordowani; ci zmarli w lesie z głodu i zimna; wreszcie ci, którzy sami, z poczucia beznadziei, powrócili do gett lub oddali się w ręce Niemców.

Jak napisałem, proporcje między tymi grupami są przedmiotem sporów. Niemniej jasne jest, że i chwytanie, i zabijanie Żydów przez Polaków nie było na głębokiej prowincji czymś marginalnym. I o ile samo łapanie da się jakoś usprawiedliwić niemieckim przymusem (z pewną dozą wysiłku, bo wielu zobowiązanych do uczestnictwa w takich łowach chłopów nie traktowało tego obowiązku niedbale, nie „szwejkowało", tylko realizowało go efektywnie), o tyle samodzielnego mordowania nie sposób już w ten sposób wytłumaczyć. Bo samodzielnie zabijać Niemcy jednak nie kazali.

A była jeszcze przecież polska granatowa policja. Która przy realizacji Zagłady nie tylko wykonywała niemieckie rozkazy, lecz często, zwłaszcza na głębokiej prowincji, gdzie Niemców było mało, a ich nadzór nie był ścisły, sama

eprasa.pl 4329e3eee2



Premier Morawiecki powinien powołać zespół historyków mający zbadać to, co w czasie okupacji działo się z Żydami na polskiej wsi

Fot. Julita Szewczyk

przejawiała inicjatywę w kwestii tropienia i zabijania ukrywających się Żydów.

Kluczowa jest jednak skala zjawiska. Wielu twierdzi, że wobec okropieństwa zbrodni kwestia tej skali, czyli spór o liczby, jest sam w sobie obrzydliwy i bez sensu. To nieprawda, liczby mają znaczenie. Bo co innego mówiłoby nam o etnicznych Polakach, gdyby wyrżnęli 200 tys. Żydów (to musiałaby być masowa rzeź, angażująca duży odsetek naszych rodaków), a co innego, jeśli „tylko" 30 tys. W pierwszym wypadku trzeba by przyjąć, że morderczy proceder był w latach 1941–1944 na polskiej prowincji nie tylko powszedni, lecz i powszechny, w drugim – że tylko powszedni. Czyli że wprawdzie dział się wszędzie i przez cały czas, ale zaangażowani weń byli na szczęście nieliczni.

Oczekiwana publikacja pod redakcją Grabowskiego i Engelking to efekt badania dziewięciu powiatów – liczba dająca już możliwość (jeśli oczywiście te powiaty były typowe) ekstrapolowania wyników na całe Gubernatorstwo. Sam prof. Grabowski sugeruje, że będą to liczby wielkie, że zostanie wykazane, iż ludność polska uczestniczyła w wykonywaniu Zagłady w stopniu dotąd niepodejrzewanym.

Ba, ale cóż począć, kiedy tenże Grabowski każdym gestem i grymasem daje asumpt do podejrzeń, że emocjonalnie bardzo zależy mu na tym, aby wyszło, iż jak największy odsetek Polaków był umoczony w zbrodnię? Kiedy zapytany: „Czy Niemcy przeprowadzali eksterminację na naszym terenie, licząc na to, że Polacy, Ukraińcy czy Litwini im pomogą?" replikuje pytyjsko: „Dokumenty nie udzielają jednoznacznej odpowiedzi", nie dostrzegając, iż ta zbitka pytania i riposty może być zrozumiana nie jako dotycząca wyłącznie tego, na co taktycznie mieli nadzieję architekci Endlösung, tylko szerzej: jako sugestia, że gdyby nie wschodnioeuropejski antysemityzm, Niemcy nie zdecydowaliby się na wymordowanie wschodnioeuropejskich Żydów. A może nawet nie ulokowaliby w Polsce ośrodków zagłady?

Nie, w takich okolicznościach ustalenia firmowane przez Grabowskiego trudno darzyć automatycznym zaufaniem.

Polski rząd powinien więc moim zdaniem jak najszybciej, najpóźniej w momencie, w którym dzieło Grabowskiego i Engelking trafi do księgarń, ogłosić powołanie programu badawczego mającego zbadać tę kwestię, i to na skalę zauważalnie większą od tej publikacji. Na czele zespołu, któremu powierzone zostanie to zadanie, powinni stanąć znani w środowisku historycznym naukowcy, których dorobek i brak ideologicznego przegięcia nie pozwoliłyby przynajmniej na to, żeby druga strona zdezawuowała tę ekipę już na starcie jako „nacjonalistyczny twór, powołany w celu wybielenia Polaków". Do udziału w badaniach należałoby, sądzę, zaprosić również jakichś historyków spoza Polski.

WYTRZYMAĆ TĘ AGRESJĘ

Nie sposób niestety nie zauważyć, że w całej tej sprawie kierownictwo polskiego państwa ewidentnie od pewnego momentu się pogubiło. Bo uchwalenie ustawy zawierającej elementy prawnego bubla i pozwalające na interpretowanie jej treści w sposób paniczny, było oczywistym błędem. Wywołanym masą czynników, których wyliczenie tutaj jest, ze względu na szczupłość miejsca, niemożliwe.

Tylko tytułem przykładu warto wymienić dominujące w partii rządzącej przekonanie, że wszystko, co robili poprzednicy, cały ich dorobek i filozofia działania, jest nic niewarte, więcej – jest szkodliwe. Że jeśli oni czegoś unikali (np. czegoś takiego jak feralna ustawa o IPN), to albo ze względu na osobistą słabość i tchórzostwo, albo gorzej – bo Polska ich nie obchodziła. Że w związku z tym nie warto słuchać ostrzeżeń tych, którzy różnymi tematami zajmują się nie od wczoraj.

Trzeba wymienić ideologiczną wiarę w Trumpa, który wszak w głębi ducha jest naszym przyjacielem, bo przecież tak jak my nienawidzi lewicy i liberałów, więc na pewno nie da nas skrzywdzić...

A tak w ogóle to część rządzących zdaje się głęboko przekonana, że to wszystko przecież jedynie chwilowe kłopoty. Już za chwileczkę, już za momencik, jeszcze jeden niewielki wysiłek i świat wreszcie uzna, że Polska jest wielka. Bo przecież jest, tylko świat złośliwie udaje, że tego nie widzi, ale długo tak wbrew oczywistym faktom udawać nie może...

Cóż, te rekryminacje należy zostawić na później. Sytuację przede wszystkim określa bowiem to, że wszyscy, jako Polacy, staliśmy się obiektem bezprecedensowej agresji, którą musimy wytrzymać, bo inaczej nikt nie będzie się z nami liczył.

Dlatego maksymą obecnego czasu jest angielskie „wrong or right – my country". Niezależnie od popełnionych przez polską stronę błędów trzeba bronić kraju. Po prostu.

36/0218/F
eprasa.pl 4329e3eee2

Wspieramy rozwój

GRUPA CEDROB®

Prowadzisz działalność społecznie użyteczną?
Masz pomysł na to, jak zmienić swoje otoczenie?
Nie czekaj!

Zgłoś swój projekt w konkursie grantowym Grupy Cedrob



Największy polski producent mięsa zaprasza
do udziału w II edycji konkursu „Wspieramy rozwój"

Do zdobycia aż **75 grantów w 5 kategoriach:**

+ Nauka i rozwój
+ Edukacja i sport
+ Kultura
+ Inicjatywa społeczna
+ 100-lecie odzyskania niepodległości

Łączna pula grantów to aż

1 000 000 zł

Kiedy? 26.02–26.03.2018 r.
Gdzie? **www.wspieramyrozwoj.com.pl**

eprasa.pl 4329e3eee2



Yair Lapid twierdzi, że jest synem ocalonego z Holokaustu, a jego babka została zamordowana przez „Niemców i Polaków" na terytorium Polski. Krótkie śledztwo dziennikarskie ujawniło jednak, że izraelski polityk mija się z prawdą

Fot. Shutterstock

Kłopoty z pamięcią

Benjamin Netanjahu, Yair Lapid, Ronen Bergman i wiele innych osobistości izraelskiego oraz żydowskiego życia publicznego stało się ostatnio ofiarami dziwnej epidemii. Gdy przychodzi do wspominania wojennych losów ich rodzin, zdarza się im mylić fakty, postaci, okoliczności lub popadać w krzywdzące uogólnienia. Można byłoby to uznać za przypadek, zbyć milczeniem, gdyby nie to, że tych wypadków jest zbyt wiele



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W swojej słynnej książce „Siódmy milion" Tom Segev przypomina postać Menachema Begina, izraelskiego polityka, premiera i imigranta z Polski. W latach 50. XX w. Begin, zarzucając Dawidowi Ben Gurionowi ustępliwość wobec wrogów Izraela, opowiadał publicznie, że jego ojciec został wraz z kilkoma setkami innych Żydów utopiony przez Niemców w Bugu i że stało się to na jego oczach. Tymczasem siostra Begina Rachel Halperin wiele lat później przyznała, że historia opowiadana

eprasa.pl 4329e3eee2

przez jej brata to wymysł. Ich ojciec został bowiem zastrzelony przez niemieckiego żołnierza, a sam Begin nie mógł tego widzieć, bo w chwili śmierci ojca uciekł z miasta. Nie przeszkodziło mu to jednak posługiwać się – nieco zmodyfikowaną – historią swojej rodziny w politycznej rozgrywce, aby podkreślić w ten sposób swoją niewzruszoną postawę obrońcy kraju i wzbudzić nacjonalistyczne nastroje wśród wyborców. Jak się okazuje, wykorzystywanie rodzinnych historii w politycznych sporach ma w Izraelu długą tradycję.

OPOWIEŚĆ NETANJAHU

Po słynnej już konferencji prasowej w Monachium, gdy premier Mateusz Morawiecki odpowiadał na pytanie izraelskiego dziennikarza Ronena Bergmana i – wymieniając kolaborantów współpracujących z Niemcami podczas wojny – użył sformułowania „żydowscy sprawcy", rozpętała się burza. Do Morawieckiego zadzwonił oburzony premier Izraela Benjamin Netanjahu. Podczas rozmowy Netanjahu miał opowiedzieć Morawieckiemu historię rodziny swojej żony Sary. Jaka to historia, dowiadujemy się z relacji zamieszczonej na łamach „Haaretz". Otóż dziadek żony izraelskiego premiera, Mojżesz Hahn, wraz z dwoma krewnymi był ukrywany przez Polaków nagrodzonych potem tytułem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Jednak tuż przed nadejściem Rosjan Hahn został wydany przez innych Polaków, którzy mieli zatrzymać wycofujących się Niemców i wskazać im kryjówkę jego, krzycząc, że „tutaj ukryło się jeszcze trzech Żydów".

To okoliczność szczególnie obciążająca, bo denuncjatorzy – jak wynika z relacji Netanjahu – zrobili to z czystej nienawiści, tylko po to, aby pozbyć się rękami Niemców ukrywającego się Żyda, zanim wkroczą Rosjanie i będzie na to za późno.

POLAK CZY POLACY?

Opowieść premiera Netanjahu jest jednak – jak to się mawia w języku filmowców – inspirowana prawdziwymi wydarzeniami. Nieco inne światło na wydarzenia w Biłgoraju, bo właśnie tam rozegrał się dramat, rzucają bowiem świadectwa spisane przez ojca Sary Netanjahu (i syna zamordowanego Mojżesza Hahna) Shmuela Ben-Artzi, urodzonego jako Samuel Hahn.

Ben-Artzi, nieżyjący już pisarz i wykładowca, opisał w 1999 r. okoliczności śmierci swojego ojca, matki oraz siostry i złożył je w instytucie Yad Vashem. Jak można z nich wyczytać, jego ojciec Mojżesz Hahn wraz z kolegami ukrywał się w Biłgoraju (gdzie mieszkał przed wojną i był doskonale znany miejscowym) w jednym z chłopskich gospodarstw w piwnicy. Z jakichś powodów, które nie zostały opisane, ukrywający się zostali zdekonspirowani i wydani Niemcom. W świadectwie nie ma mowy o krzyczących denuncjatorach, mówi się o Polaku, który wydał Hahna i jego kolegów.

> W publikacji Datnera z 1970 r., do której odwołuje się Jan Grabowski, nie ma literalnie ani słowa o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków

Oczywiście nie musi to oznaczać, że nie znalazła się grupa miejscowych, którzy asystowali Niemcom, ale – co należy powtórzyć – w świadectwie nie ma o tym mowy. Mamy więc na razie do czynienia – jeżeli nie pojawią się nowe dane na ten temat – jedynie z opowieścią rodzinną, która ma różne wersje: jedną, którą miał przedstawić Morawieckiemu Netanjahu, i drugą, spisaną przez ojca jego żony w Yad Vashem. Ważne jest też, że świadectwo zostało spisane dopiero w 1999 r., a zatem 55 lat po wydarzeniach, przez człowieka, który nie był ich świadkiem. Shmuel Ben-Artzi wyjechał bowiem z Polski w 1933 r. do Palestyny.

Niejasne są również okoliczności śmierci matki i siostry Ben-Artziego. Jak czytamy w dokumentach z Yad Vashem, miały one zginąć w obozie w Bełżcu lub podczas pożaru w Biłgoraju, wywołanego bombardowaniem.

Można oczywiście przejść do porządku nad tymi rozbieżnościami, w końcu faktem jest, że Mojżesz Hahn zginął, bo został wydany przez Polaka. Jednak izraelski premier, opowiadając jego historię, miał użyć sformułowania Polacy, co należy odczytać jako przeniesienie indywidualnej zdrady na całą społeczność. Nie może zatem dziwić ujawniony przez wPolityce.pl fakt, że Netanjahu jest – zdaniem informatora portalu – przekonany o udziale Polaków w Holokauście. Pytanie tylko, czy to przekonanie wynika z niedostępnej – jak dotąd – w innych źródłach informacji, że w wydaniu na śmierć dziadka jego żony brali udział liczni Polacy, czy – przeciwnie – sam, pod wpływem emocji, stworzył nieco zmienioną wersję jego śmierci, przypisując całej polskiej społeczności winę za jednostkową zbrodnię.

ZABLOKOWANE PYTANIA

Również współsprawca zamieszania na konferencji premiera Morawieckiego w Monachium, znany izraelski dziennikarz Ronen Bergman, nie ustrzegł się nieścisłości. W przytoczonej przez niego Morawieckiemu historii rodzinnej opowiada on o swojej matce Miriam (znanej też pod angielską wersją imienia Mary). Otrzymała ona w wieku pięciu lat – jak twierdzi Bergman – nagrodę od polskiego ministra edukacji narodowej za „piękną polszczyznę". Później zaczęła się wojna i część rodziny zginęła. Jak opowiada Bergman: „Ich polscy sąsiedzi wydali ich gestapowcom, a moja matka uratowała niektórych, bo podsłuchała nocną rozmowę, podczas której Polacy donosili na Żydów do gestapo. Po wojnie moja matka przyrzekła, że nigdy nie wypowie ani słowa po polsku".

I na tym tę tragiczną historię można byłoby zakończyć, gdyby nie to, że dzień później tenże sam Bergman na portalu Ynetnews.com zapewniał z kolei, że jego matka w wieku pięciu lat „musiała pogrzebać ojca na śniegu, cicho, żeby hitlerowcy ich nie znaleźli".

eprasa.pl 4329e3eee2



Również współsprawca zamieszania na konferencji premiera Morawieckiego w Monachium, izraelski dziennikarz Ronen Bergman, w opowieści o tragicznych losach swojej rodziny nie ustrzegł się nieścisłości

Fot. Polsat News

Pojawia się zatem pytanie, jak to możliwe, że matka Ronena Bergmana miała pięć lat zarówno w chwili, gdy otrzymała nagrodę od polskiego ministra, jak i wówczas, gdy w ukryciu chowała swojego ojca. Tę rozbieżność dostrzegli internauci i natychmiast zasypali Bergmana pytaniami. Ten jednak – zamiast odpowiedzieć – blokował osoby zadające mu pytania o wiek matki.

W tej sytuacji należało poszukać samemu odpowiedzi. I wydaje się, że udało się ją znaleźć na cmentarzu w Kiryat Bialik w Izraelu. Z danych, które można uzyskać na stronie internetowej cmentarza, wynika, że w 1993 r. została na nim pochowana Miriam Bergman, córka Miny i Jakoba. Zmarła w wieku 57 lat, a zatem urodziła się w 1936 lub w 1935 r. Naturalnie stuprocentowej pewności nie ma, że grób Miriam Bergman należy do matki Ronena, bo on sam nie chce udzielić odpowiedzi na zadane mu pytanie. Ale wszystkie dostępne dane zgadzają się: data śmierci pani Bergman, a także miejsce pochówku: Ronen Bergman dorastał – jak można wyczytać w jego licznych biogramach – właśnie w Kiryat Bialik. I wspominał w swoim artykule na Ynetnews, że jego matka zmarła przedwcześnie na raka, właśnie w 1993 r. Imię Jakob nosił również jej ojczym.

Jeśli zatem to grób matki Bergmana – a wszystko na to wskazuje – to jasne jest, że jego matka nie mogła w wieku pięciu lat otrzymać żadnej nagrody za „piękną polszczyznę", bo oznaczałoby to, że została nagrodzona w 1941 r.

Oczywiście nie unieważnia to dramatycznej historii jego matki, która wraz ze swoją matką (babcią Ronena) przetrwała wojnę w lesie pod opieką – jak pisze dziennikarz – oddziału partyzanckiego (prawdopodobnie sowieckiego). Wskazuje to jednak, z jak wielką ostrożnością należy się odnosić do opowieści rodzinnych, zwłaszcza że naznaczone były ogromną traumą.

Zwrócił na to uwagę w rozmowie z portalem wPolityce.pl prof. Norman Finkelstein, który wspominając swoich rodziców, zauważył, że zachowali oni w sobie niechęć do Polaków. Jego matka prowadzona do getta zapamiętała twarze – jak wspominała – „rozradowanych Polaków". Nie należy lekceważyć tego wspomnienia, ale jednocześnie nie można przeceniać jego wartości historycznej. Sam Finkelstein przyznał, że mogło to być wyłącznie subiektywne wrażenie jego przerażonej matki. „Trudno mi określić, jak wielu Polaków mogło żywić podobne uczucia. Mogła to być mniejszość" – powiedział. Problem w tym, że w obecnym sporze te wrażenia – na pewno realne, ale jednak pozostające tylko wrażeniami – traktowane są jako obiektywne fakty niepodlegające żadnej historycznej weryfikacji.

BABCIA LAPIDA

Przypisywanie ex cathedra wszystkim Polakom zbiorowej winy za nikczemności i zbrodnie popełnione wobec Żydów podczas Holokaustu jest w Izraelu – jak się zdaje – dość powszechne. Świadczy o tym również opisywany już na tych łamach przypadek Yaira Lapida, głównego rywala Benjamina Netanjahu do urzędu premiera. Przypomnijmy, że Lapid w swoim wpisie na Twitterze stwierdził, że jest synem ocalonego z Holokaustu. Napisał też, że jego babka została zamordowana przez „Niemców i Polaków" na terytorium Polski.

Krótkie śledztwo dziennikarskie ujawniło jednak, że izraelski polityk mija się z prawdą. Żadna z jego babć nie została zamordowana, obie przeżyły wojnę, w tym jedna – od strony matki – podczas Holokaustu mieszkała bezpiecznie na terytorium brytyjskiej Palestyny (czyli w dzisiejszym Izraelu). Spośród przodków Lapida w Holokauście zginęli jego dziadek od strony ojca, którego wywieziono z getta w Budapeszcie do Mauthausen, czyli do Austrii, oraz matka dziadka (czyli prababcia Yaira), którą zamordowano w Auschwitz. Yair nie mógł jej znać ani pamiętać, bo urodził się 18 lat po zakończeniu wojny. I – co ważne – nikt z jego znanych przodków nie miał żadnych związków z Polską, większość rodziny wywodzi się bowiem z węgierskich Żydów.

Lapid nie wycofał się jednak z zarzutu, że jego prababka została zamordowana przez Polaków. Zamiast tego dokonał – mówiąc eufemistycznie – przewrotnej interpretacji faktów. Na łamach „The Times Of Israel" napisał, że w Auschwitz było zaledwie 30 niemieckich strażników, a za zbrodnie odpowiadali Ukraińcy. Zaraz jednak podkreślił, że choć – owszem – Niemcy zbudowali obozy zagłady, zrobili to przy polskim współudziale. Oznacza to, że w jego opinii były one jednak przynajmniej w jakimś stopniu polskie, co siłą rzeczy prowadzi nas do zupełnie ahistorycznej konkluzji, że podczas wojny na terytorium Polski działały polskie struktury państwowe. Konkluzja ahistoryczna, ale pozwalająca obciążać państwo polskie odpowiedzialnością za Holokaust. Nic zatem dziwnego, że Lapid uważa, iż każdy Żyd (w tym jego prababka), który trafił do obozu zagłady na terytorium Polski, został zamordowany przez Polaków, nawet jeżeli – w sensie fizycznym – uczynili to Niemcy lub Ukraińcy.

NIEISTNIEJĄCA LICZBA

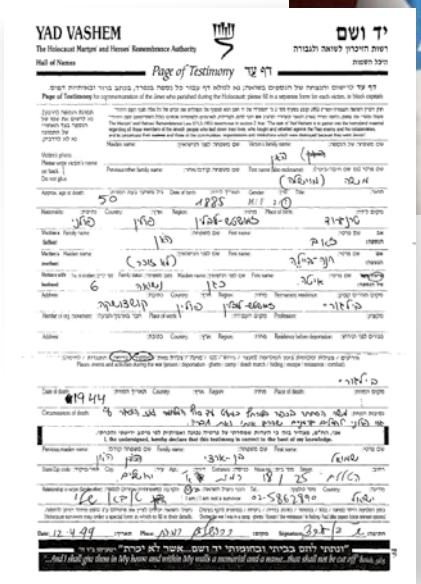
Nie zaskakuje więc, że w obliczu takiej interpretacji faktów zaczynają się pojawiać filmiki o „polskim Holokauście", a Yair Lapid opowiada w rozmowie z Polsat News o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków podczas ostatniej wojny. Problem w tym, że liczba 200 tys. wzięła się znikąd. Choć nie do końca znikąd. Rozpowszechniła ją dziennikarka izraelska Amanda Borschel-Dan na ła-

79/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Shutterstock


YAD VASHEM
The Holocaust Martyrs' and Heroes' Remembrance Authority
Hall of Names
יד ושם
רשות הזיכרון לשואה ולגבורה
מיכל השמות
Page of Testimony
דף עד

mach „The Times of Israel". Zapytana przez Jakuba Kumocha, ambasadora RP w Szwajcarii, a z zawodu specjalistę od badań ilościowych, skąd wzięła liczbę 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków, odpowiedziała, że otrzymała ją od znawcy Holokaustu prof. Jana Grabowskiego, który z kolei miał się powołać na prace nieżyjącego badacza Zagłady Szymona Datnera. Problem w tym, że w publikacji Datnera z 1970 r., do której odwołuje się Jan Grabowski, nie ma literalnie ani słowa o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków.

Grabowski na pytania Kumocha zareagował agresją, ale przyparty do muru przyznał w końcu, że Datner nigdy nie napisał o 200 tys. zamordowanych Żydów, a liczba ta wynika z szacunku wszystkich uciekinierów z gett i transportów, których losy były potem różne. Cóż z tego, skoro informacja poszła już w świat i jest powtarzana w wielu publikacjach.

Trudno więc oczekiwać, że zapowiadana przez Grabowskiego na marzec kolejna publikacja na temat Holokaustu będzie w pełni wiarygodna, skoro – jak się okazało – popełnia on tak rażące błędy metodologiczne.

* * *

Dotychczasowy przebieg sporu izraelsko-polskiego wskazuje, że wkrótce możemy się spodziewać kolejnych przekłamań. Zapewne doskonałą okazją będzie ku temu zbliżająca się 50. rocznica Marca '68. Obecny konflikt znacząco różni się od większości tych, które były udziałem Polski w przeszłości. Wygrywa w nim ten, kto ma dostęp do światowych mediów i może w nich przedstawić własną wersję wydarzeń, nawet jeśli nie odpowiada ona w pełni dostępnym faktom.

Warto wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. A dziś docierać do historycznej prawdy.

Izraelski premier, opowiadając historię dziadka swojej żony, obciążył winą za jego śmierć całą lokalną społeczność Polaków, choć zachowane świadectwo złożone w instytucie Yad Vashem tego nie potwierdza

REKLAMA



WOLNOŚĆ
PAMIĘĆ
TROPEMWILCZYM.PL
BIEG PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

4 MARCA w Twoim mieście!
NAJWIĘKSZY BIEG PAMIĘCI NA ŚWIECIE

PATRONAT NARODOWY
Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości
1918-2018
ORGANIZATOR
WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA
WSPÓŁORGANIZATOR
wolne dźwięki.pl
MECENAS PLATYNOWY
PZU PGNiG
MECENAS ZŁOTY
ORLEN KGHM
PARTNER EDUKACYJNY
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PARTNER FINANSOWY
FUNDACJA KGHM
PARTNER BIEGOWY
ORLEN WARSAW MARATHON
PARTNER
Bank Polski Fundacja PGNiG
PGNiG Obrót Detaliczny sp. z o.o.
PATRON MEDIALNY
TVP POLSKIE RADIO WP SIECI GAZETA POLSKA pap
PARTNER MEDIALNY
SUPER EXPRESS Gazeta Polska codziennie SIECI HISTORII wPolityce.pl koncept niezależna

eprasa.pl 4329e3eee2



Towarzysz Włodzi

Włodzimierz Cimoszewicz już w 1996 r. jako premier przepraszał za nasz antysemityzm, a o Polsce mówił, że bywała dla Żydów złą macochą. Komunistyczny karierowicz, który romansował z SB, a w III RP betonował pozycję postkomuny, jest ostatnim, który w sprawach polskiej historii powinien występować z pozycji moralisty



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Potwierdza się, że trzeba być przezornym, trzeba być zapobiegliwym, trzeba się ubezpieczać, a ta prawda ciągle jest mało powszechna" – te niepozorne słowa jak dotychczas kosztowały go najwięcej. Był 8 lipca 1997 r. Włodzimierz Cimoszewicz jako szef rządu właśnie tak skomentował tragiczną sytuację Polaków po powodzi tysiąclecia. W naszym kraju zginęło 56 osób, straty szły w miliardy. Reakcja na klęskę żywiołową była jedną z przyczyn porażki postkomunistów w wyborach. Do władzy doszła koalicja AWS-UW. Wydawało się, że to koniec Cimoszewicza. Nic bardziej mylnego. Pozostał w polityce jako poseł, a później senator, szef MSZ, marszałek Sejmu i kandydat lewicy na prezydenta.

Dziś żyje sobie wygodnie w leśniczówce na Podlasiu, z której z dużą regularnością wyjeżdża do studia TVN, by z pozycji autorytetu komentować bieżące wydarzenia.

W ubiegłym tygodniu Monika Olejnik bez słowa sprzeciwu pozwalała mu

eprasa.pl 4329e3eee2



Włodzimierz Cimoszewicz z synem Tomaszem

Fot. Andrzej Hulimka/REPORTER

mierz

mówić o Polakach m.in. takie rzeczy: „Brali udział w masowym zabijaniu Żydów, to było istotą Holokaustu […] Na ogromną skalę"; „Do tej pory sądzi się, że prawdopodobnie około 80 proc. z co najmniej 200-250 tys. Żydów, którzy się ukrywali w okresie okupacji, zostali zamordowani przez Niemców, bo ich Polacy zadenuncjowali, albo zostali zamordowani przez Polaków". To tylko dopełnienie wywiadu sprzed dwóch tygodni dla „Rzeczpospolitej", gdy zapytany, czy Polacy brali udział w Holokauście, wypalił: „Oczywiście, że brali. Mówić trzeba o tym otwarcie i uczciwie. […] Dzisiejsze pokolenie nie jest za to odpowiedzialne. Jeśli jednak milczy lub kłamie, to stwarza swoją własną odpowiedzialność i podważa swoją wartość moralną. Antysemityzm był i pozostaje w naszym kraju endemiczny".

Tyle że sam Cimoszewicz nie ma najmniejszej wartości moralnej. Dowodził tego na wielu etapach swojej kariery. A ta w polskiej polityce była jedną z największych. Aby poznać jej źródła, zrozumieć mechanizmy, jakie wyniosły go do władzy, trzeba się cofnąć do początków jego życiorysu, przypomnieć sobie, z jakiego środowiska się wywodzi, jak wszedł w dorosłość, jak funkcjonował w PRL i romansował z SB.

Pozwala to też pojąć, dlaczego dziś Cimoszewicz jest skłonny uciekać się do kłamstw i przypisywać Polakom najgorsze zbrodnie.

OBROŃCA SWEGO OJCA

Włodzimierz Cimoszewicz urodził się w 1950 r. W tym czasie jego ojciec Marian pracował w Głównym Zarządzie Informacji Wojska Polskiego. Kilka lat wcześniej jako oficer tej zbrodniczej formacji kierował grupą żołnierzy, która „likwiduje bandę »Bohuna« na terenie województwa poznańskiego" (wiemy to z dokumentów Wojskowej Służby Wewnętrznej). Po szczegóły odsyłamy do tekstu Piotra Gontarczyka na kolejnych stronach. Dość powiedzieć, że Cimoszewicz ma pełne podstawy, by wstydzić się za działalność ojca.

Gdy jednak dziś się o niej przypomina, odpowiada pluciem: „Hołota zawyła. W przeciwieństwie do tych ludzi, ja uważam, że patriotyzm nie może być oparty w łgarstwie. Znacznie lepsza jest trudna prawda, która pozwala zamykać pewne rozdziały z historii" – mówił ten „obrońca prawdy" w TVN24. I dodawał: „To są wszystko łgarstwa. One są powtarzane od ćwierć wieku. Nie mam w tej chwili ani możliwości, ani chęci dyskutować na ten temat. Na początku lat 90. jeden z posłów sejmu kontraktowego również to oświadczył i przegrał sprawę w sądzie. Z tego typu ludźmi nie chcę w ogóle rozmawiać. Jedyna rzecz, którą powiem, niezależnie od tego, co się działo w historii – a twierdzę, że zarzuty wobec mojego ojca są bezpodstawne – jest absolutną podłością, niezwykłą niegodziwością przypisywanie komukolwiek z potomków odpowiedzialności za to, co się działo przed ich urodzeniem".

Warto przypomnieć sobie, jak udało mu się ten proces wygrać. Jak opisują autorzy książki „Resortowe dzieci. Politycy", oskarżenie wobec Mariana Cimoszewicza wygłosił w październiku 1991 r. z trybuny sejmowej Jan Beszta-Borowski. „Szef Informacji Wojskowej w WAT o nazwisku Cimoszewicz miał zwyczaj rozmawiania z ludźmi, trzymając w ręku pistolet i obracając nim na palcu. Znany jest fakt śmierci jednego z podwładnych w wyniku takich rozmów" – mówił poseł OKP. Następnego dnia Cimoszewicz nazwał go w wywiadzie prasowym „załganym łobuzem". Beszta-Borowski wytoczył więc Cimoszewiczowi proces, w którym przedstawił relacje świadków obciążających Cimoszewicza seniora. Sąd nie dał im wiary, oddalił pozew i nakazał powodowi zapłacenie ówczesnych 5 mln zł. Warto dodać, że w trakcie procesu zmienił się przewodniczący składu orzekającego. Pozwany Cimoszewicz był wówczas... ministrem sprawiedliwości nadzorującym prokuraturę i sądy.

MŁODY, ZDOLNY, ZAANGAŻOWANY

W teczce kontaktu operacyjnego „Carex" znajdujemy życiorys napisany przez Włodzimierza w grudniu 1983 r. Opisuje w nim szczegółowo działalność polityczną już w czasie studiów. „Brałem udział w ruchu młodzieżowym. M.in. byłem przewodniczącym ZMS [Związek Młodzieży Socjalistycznej – przyp. red.], a następnie SZSP [Socjalistyczny Związek Studentów Polskich – przyp. red.] w Uniwersytecie Warszawskim. Przez kilka lat byłem również członkiem Zarządu Głównego SZSP. W 1971 r. wstąpiłem do PZPR. W latach 1972–1980 byłem członkiem Plenum i Egzekutywy Komitetu Uczelnianego UW. W okresie 1977–79 byłem sekretarzem tego Komitetu. W tym czasie należałem też do Plenum KD [Komitetu Dzielnicy – przyp. red.] Warszawa-Śródmieście i byłem etatowym pracownikiem Komitetu Warszawskiego PZPR. W 1973 i 1977–79 byłem członkiem Kolegium Rektorskiego UW. W 1978 obroniłem pracę doktorską z zakresu prawa międzynarodowego publicznego". Imponująca i wzorowa kariera.

eprasa.pl 4329e3eee2

Zapewne dlatego 13 września 1980 r. kpt. Janusz Zieliński napisał „raport o zezwolenie na pozyskanie w charakterze KO [kontakt operacyjny – przyp. red.] ob. PRL Włodzimierza Cimoszewicza, dalej »Carex«". Powodem zainteresowania była możliwość jego wyjazdu do USA po tym, jak otrzymał stypendium polsko-amerykańskiej Fundacji Fulbrighta. Służby przewidywały, że Cimoszewicz może podczas wyjazdu spotykać osoby „z dostępem do informacji wywiadowczych". Innym zyskiem miałoby być rozpoznanie i inwigilacja środowisk polonijnych.

Na potrzeby werbunku powstała obszerna charakterystyka młodego prawnika. „»Carex« jest osobą o dużym zaangażowaniu ideowo-politycznym. Reprezentuje typ zdolnego i ambitnego naukowca, posiadającego perspektywy awansu zawodowego. W bezpośrednich kontaktach robi wrażenie pewnego siebie z elementami zarozumiałości. [...] Jako podstawę pozyskania proponuję przekonania ideowo-polityczne. »C« jest od lat zaangażowanym członkiem PZPR. Był też aktywnym działaczem organizacji młodzieżowych. Cechuje go dobrze pojęty patriotyzm. [...] Biorąc pod uwagę dotychczasowy przebieg rozmów sondażowych, w tym sposób podejścia do propozycji kontaktów z MSW, uważam, że »Carex« wyrazi zgodę na współpracę z naszą służbą w charakterze KO" – pisał kpt. Zieliński. Nie pomylił się.

W teczce „Careksa" w IPN znajduje się też dokładny plan werbunku Cimoszewicza. Zawiera nawet – do późniejszego kontaktu z nim w terenie – hasło: „Czy w czasie pracy na uczelni miał pan zajęcia z Erwinem Kowalskim?" i odzew: „Chyba tak, jeśli był to chłopak z Białegostoku".

Zieliński spotyka się z Cimoszewiczem dwa razy: 15 i 17 września w warszawskich restauracjach. W meldunkach z zadowoleniem stwierdza, że „charakterystyka »C« okazała się całkowicie trafna", co więcej kandydat „bez wahania wyraził zgodę na współpracę". Kłopot pojawił się, gdy poproszono go o podpisanie zobowiązania, wtedy stwierdził, że „wolałby uniknąć tego rodzaju obowiązku". Argumentował, że „między członkami partii istnieje chyba pełne zaufanie". Z tym akurat bywało różnie, nawet werbujący go kpt. Zieliński przyznał w raporcie, że „wobec »C« występuje pod nazwiskiem Stępiński". Niemniej szczegóły współpracy ustalono, Cimoszewicz ponoć „bardzo poważnie podszedł do poruszonych kwestii".

NIEDOŚWIADCZONY AGENT

Podczas dziesięciomiesięcznego pobytu w USA Włodzimierz Cimoszewicz regularnie spotyka się z wyznaczonymi przez służby PRL osobami i chętnie opowiada o tym, co się wydarzyło w jego otoczeniu. Natychmiast raportuje wszelkie nieprzewidziane okoliczności, np. wizytę dwóch agentów FBI, którzy w styczniu 1981 r. mieli go sondować pod kątem ewentualnego werbunku.

Kierownictwo resortu dochodzi jednak do wniosku, że informacje od „Careksa" nie są tak użyteczne, jak by tego oczekiwano. Gdy zakomunikowano mu niezadowolenie, zobowiązuje się uzupełnić notatki o osobach ze swojego otoczenia, które „mogą być w operacyjnym zainteresowaniu służby PRL". Skąd to rozczarowanie, skoro wcześniej tak ochoczo deklarował chęć współpracy? W raportach wskazywane jest, że „»C« priorytetowo traktuje rozwój swojej kariery zawodowej i temu celowi podporządkowuje wszelkie inne działania". Cimoszewicz był w stanie nawet zgodzić się na współpracę z bezpieką, byle tylko wyjechać za granicę.

I, jak się okazuje, nawet po powrocie do kraju nie zamierzał tych relacji zrywać. Kpt. Zieliński z entuzjazmem raportuje, że przeszedł z KO „Carex" na ty, gdyż współpraca miała być kontynuowana, a to – według oficera prowadzącego – „może okazać się ciekawe ze względu na jego zainteresowanie otrzymaniem pracy w MSW". Aby wykorzystać niewątpliwy potencjał, jaki SB widziała w Cimoszewiczu, zanotowano, że konieczna jest „systemowa praca wychowawcza ze źródłem". „Ocenę tę opieram m.in. na głębokim zaangażowaniu ideowym »C«" – napisał Zieliński, a niepełne wykorzystanie możliwości Włodzimierza w USA zrzucił na karb jego niedoświadczenia.

Kolejne rozmowy odbywają się w znanej ze spotkań ze zwerbowanymi szpiclami kawiarni Na Rozdrożu. Każde z nich trwa ok. dwóch godzin i polega głównie na „relacjonowaniu nastrojów w środowisku naukowym na Uniwersytecie Warszawskim", gdzie „Carex" był adiunktem w Instytucie Prawa Międzynarodowego na Wydziale Prawa i Administracji. W kwietniu 1983 r. Cimoszewicz komunikuje, że koniecznie chce zmienić pracę i przenieść się z uczelni na etat do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W sprawie zatrudnienia dociera nawet osobiście do towarzysza gen. Władysława Pożogi, ówczesnego wiceministra, szefa Służby Wywiadu i Kontrwywiadu MSW. Jest to możliwe – co odnotowano w teczce „Careksa" – „ze względu na osobistą znajomość jego ojca z tow. gen. Kiszczakiem". Spotkanie jednak nic nie daje, więc Włodzimierz szuka dalej. W grudniu 1983 r. składa wniosek o zatrudnienie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wstępnie nawet coś mu zaproponowano, ale ostateczna decyzja była odmowna „ze względu na sytuację rodzinną". Chodzi o rodzinę żony za granicą, a dokładnie dziadków żony, u których mieszkał podczas pobytu w USA. W aktach SB znajduje się notatka, w której czytamy, że ich syn „Jan Pełszyński jest etatowym pracownikiem amerykańskiego ośrodka wywiadowczego we Frankfurcie nad Menem". W innym miejscu chęć zmiany pracy przez „Careksa" jest opisana jako naturalna, ale „nie można wykluczyć ew. powiązań figuranta z ASS [amerykańskie służby specjalne – przyp. red.]".

Wtedy obraził się na swoich towarzyszy i wyjechał do Hajnówki, gdzie zaszył się w gospodarstwie swoich teściów. Mylił się jednak ten, kto uważał, że to koniec jego kariery. Partia zbyt wiele w niego zainwestowała, by ten talent marniał w białowieskiej głuszy. Wystarczy spojrzeć na listę wyjazdów zagranicznych w latach, gdy – warto to przypomnieć – posiadanie paszportu wcale nie było takie oczywiste. 1974 – stypendium naukowe we Włoszech i RFN, 1975 – Hiszpania, 1976 – turystyczny pobyt w USA, 1977 – staż naukowy w Szwajcarii, 1980 – pomoc sezonowa w Konsulacie Generalnym PRL w szwedzkim Malmö, 1980–1981 – stypendium Fundacji Fulbrighta na Columbia University, USA.

eprasa.pl 4329e3eee2

SOCJALDEMOKRATA, A NIE KOMUNISTA

W 1989 r. Cimoszewicz, podobnie jak wszyscy jego towarzysze, przemalował się z komunisty na socjaldemokratę. Zrobił jedną z większych karier w III RP. Początkowo próbował udawać polityka niezależnego, bezpartyjnego (w PZPR był od 1971 r. do jej rozwiązania). Nie wstąpił do Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, co nie przeszkodziło mu pełnić funkcji szefa parlamentarnego klubu lewicy. Po wyborach w 1991 r. odmówił tego stanowiska w proteście przeciw wejściu do Sejmu Leszka Millera, za którym ciągnęła się sprawa „pożyczki moskiewskiej". Tyle że pięć lat później, gdy Cimoszewicz został premierem, szefem Urzędu Rady Ministrów i MSWiA mianował właśnie Millera. Panowie zamienili się miejscami w 2001 r. Miller został wówczas szefem rządu, a Cimoszewicz objął tekę ministra spraw zagranicznych.

Na każdym etapie kariery mógł liczyć na osłonę ze strony mediów III RP. Dlatego przez wiele afer udało mu się przejść suchą stopą. Zwłaszcza tych z lat 90., o których mało kto już dziś pamięta. W 1990 r. z jego inicjatywy powołano komisję nadzwyczajną do zbadania tzw. afery alkoholowej. Na jej czele stanął właśnie Cimoszewicz. Nikomu nie przeszkadzało, że jego żona prowadziła wówczas spółkę zajmującą się hurtowym handlem alkoholem.

Choć Cimoszewicz oficjalnie potępiał przyjęcie przez Millera i towarzyszy ponad miliona dolarów od KGB na tworzenie SdRP i nowej „Trybuny", a prokuratura prowadziła w tej sprawie śledztwo w początku lat 90., jesienią 1993 r. została ona umorzona, po tym jak postkomuniści wrócili do władzy, a wicepremierem i nadzorującym prokuraturę ministrem sprawiedliwości został... Cimoszewicz.

W 1996 r. jako premier przemawiał w Kielcach w 50. rocznicę pogromu. Już wtedy był skłonny w imię pojednania polsko-żydowskiego przedstawiać nasz naród jako antysemitów, a Polskę – jako złą macochę. Choć, jak widzimy w poniższym cytacie, zdawał sobie sprawę, że masakra z 1946 r. nie jest tak jednoznaczna, a kwestia inspiracji i udziału w niej najtwardszych stalinowców (z których się wywodził) była kluczowa.

„Polska przez wieki bywała dla Żydów matką. Dzisiejsza tragiczna rocznica przypomina, że Polska bywała dla Żydów również i macochą. [...] Pogrom kielecki – niezależnie od tego, kto go inspirował – jest także cząstką naszej pamięci. Nie możemy jej nigdy wymazać ze świadomości pokoleń. [...] Zbrodnia, której 50. rocznicę obchodzimy, pokazuje, że hitlerowski faszyzm zapuścił korzenie rasowej i religijnej nienawiści, antysemityzmu i ksenofobii również wśród swoich przyszłych ofiar. Wyzuł wielu spośród tych, którzy przeżyli, z uniwersalnych zasad moralnych. Skłaniać to musi do pokutniczej zadumy" – mówił premier Cimoszewicz.

> Na każdym etapie kariery Cimoszewicz mógł liczyć na osłonę ze strony mediów III RP. Dlatego przez wiele afer udało mu się przejść suchą stopą

Sprzyjające Izraelowi, a antypolskie media na całym świecie były zachwycone jego przemówieniem, czego ślady do dziś można odnaleźć w internetowych archiwach „New York Timesa", „Libération", „De Volkskrant" czy „El Pais".

Kilka dni później ks. bp Adam Lepa trafnie podsumował taką postawę polskich władz, z Cimoszewiczem na czele: „Za zamieszki w Kielcach przeprasza się ze strony wszystkich Polaków, a nie ówczesnych ciemiężycieli Narodu. Niedługo doczekamy się przeprosin ze strony wszystkich Polaków za zamordowanie księdza Popiełuszki".

TRZECI W KLANIE

Na politycznej barykadzie rozsiadł się ostatnio także syn Włodzimierza Tomasz Cimoszewicz, poseł Platformy Obywatelskiej. Przed wyborami w 2015 r. mało kto o nim słyszał. W 2005 r., gdy ojciec planował start w wyborach prezydenckich, związane z lewicą gazety prześcigały się w lukrowaniu postaci kandydata. W tygodniku „Przegląd" ukazała się korespondencja z Chicago, gdzie właśnie żenił syna. Opowieść o rodzinnej sielance opleciona jest wokół Tomasza Cimoszewicza. Cytowani przez dziennikarzy „przypadkowi sąsiedzi" nie mogli się go nachwalić: „Startuje na swoim, w construction, budowlance. Ma małą firmę, paru ludzi. Roboty mu nie brakuje, z czego widać, że jest solidny. Na pewno da sobie radę na tym rynku" – czytamy. Nie zabrakło także głosów z Polski, od „kolegów z klasy": „Myślę, że Tomek zrobił bardzo dobrze, wyjeżdżając. Tu byłby skazany na bycie »synem Cimoszewicza«. Tam robi coś na swój rachunek i dla siebie. Może sprawdzić, co jest rzeczywiście wart".

Od łatki „syna" nie uciekł, wręcz przeciwnie. To, że znalazł się na listach wyborczych PO, było odczytywane jako rewanż partii wobec Włodzimierza, który konsekwentnie wspierał kandydata Platformy Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich i nigdy nie szczędził gorzkich słów Prawu i Sprawiedliwości. Co do zdolności biznesowych Tomasza też można mieć wątpliwości. Chyba jednak nie zawojował amerykańskiego rynku budowlanego, milionerem nie został. Aż trudno uwierzyć, że w 2015 r. miał tylko 10 tys. zł oszczędności, 1,2 tys. zł walutowego kontraktu terminowego i ponad 10-letniego nissana titan. Nieruchomości – żadnych. Wiemy to, bo musiał ujawnić swój majątek po dostaniu się do parlamentu.

Ostatnio poskarżył się, że CBA kontroluje jego oświadczenia majątkowe z lat 2015–2017. Co prawda dodał, że „mają prawo oczywiście", ale sprawę konsekwentnie przedstawia jako polityczne szykany. „Ja nie mam nic do ukrycia. Ale mam świadomość, że przeze mnie będą próbować naciskać na mojego ojca, żeby zamilkł" – przekonuje i zapowiada procesy w obronie „dobrego imienia" trzech pokoleń Cimoszewiczów. Innego pomysłu na karierę widocznie nie ma.

eprasa.pl 4329e3eee2

Od brukarza do pułkownika Informacji Wojskowej

Dlaczego Włodzimierz Cimoszewicz tak chętnie atakuje Polaków i przypisuje im straszne czyny? Ta prosta sztuczka nazywa się przenoszeniem winy: im więcej można Polakom zarzucić – choćby udział w Holokauście – tym lepiej. Zrzucając odpowiedzialność za zbrodnie totalitaryzmów XX w. na Polaków, Cimoszewicz zdejmuje ją nieco z reprezentowanego przez siebie systemu opresji. I ze swojego ojca, który był pierwszym komunistą w rodzinie



PIOTR GONTARCZYK

Marian Mikołaj Cimoszewicz urodził się 7 stycznia 1917 r. w Symbirsku w głębi Rosji, gdzie jego rodzinę ewakuowano w związku z trwającą I wojną światową. Po jej zakończeniu cała rodzina powróciła do wsi Endrychowce powiatu wołkowyskiego. Wieś była raczej biedna, w połowie polska, w połowie białoruska, a sam Marian Cimoszewicz po ukończeniu 16. roku życia pracował w okolicy jako brukarz. Kiedy wybuchła wojna, miał rzekomo walczyć z Niemcami w 4. pułku artylerii konnej z Suwałk, choć po latach o kampanii wrześniowej nie potrafił nic powiedzieć.

Jego los prowincjonalnego robotnika drogowego zmieniło wkroczenie wojsk sowieckich we wrześniu 1939 r. Najpierw był szybki awans na poborcę podatkowego. Zajmował się głównie ściąganiem „obowiązkowych dostaw" polskich rolników pod Wołkowyskiem. Służba to u Sowietów niezbyt zacna i chwalebna, ale niezbędna na zajętym terenie. A ponieważ początek okupacji sowieckiej „wymiótł" tradycyjne elity i nawet niższy aparat urzędniczy, nowa władza chętnie awansowała różnych ledwo piśmiennych kolaborantów.

Nową fuchą Cimoszewicz nie cieszył się długo, bo w 1940 r. został powołany do Armii Czerwonej. Trafił do 138. pułku artylerii w Rostowie nad Donem, gdzie przeszedł kurs łącznościowca (obsługa radiostacji) i otrzymał stopień sierżanta. Najbardziej interesujący fragment jego służby miał miejsce po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. Sam bohater napisał: „Z wybuchem wojny przydzielony zostałem do jednostki spec.[jalnej] przy sztabie wojsk Inż.[ynieryjnych] późniejszego Zachodniego i tam przebywałem w różnych pododdziałach do 1943 r.". Informacja ta jest potwierdzona w innych dokumentach w teczce, można zatem ją uznać za wiarygodną.



Do jakich oddziałów specjalnych został przydzielony? Na podstawie kontekstu całej sprawy można postawić hipotezę, że chodzi tu o grupy dywersyjno-zwiadowcze sowieckiego kontrwywiadu wojskowego SMIERSZ. A to zawsze była dobra rekomendacja dla pozycji w wojsku PRL. Warto pamiętać, że po zakończeniu służby w oddziałach specjalnych Cimoszewicz został wysłany do formowanego w Związku Sowieckim, podległego komunistom, Wojska Polskiego. Było ono potrzebne Stalinowi, który szykował się już do „rozwiązania spraw polskich" metodą faktów dokonanych.

Polscy oficerowie z armii wrześniowej na kolaborantów generalnie się nie nadawali, toteż zostali wymordowani w Katyniu.

eprasa.pl 4329e3eee2

Nową kadrę oficerską dla ludowego wojska trzeba było dopiero wychować. To była zbieranina ludzi z awansu społecznego, oficerów sowieckich, agentów i komunistycznych kolaborantów. Zaufanych działaczy komunistycznych starczyło ledwie na obsadzenie aparatu polityczno-wychowawczego, który prowadził indoktrynację szeregowych żołnierzy. Nadzorem nad żołnierzami z ramienia służb specjalnych zajmowali się przebrani w polskie mundury wojskowe funkcjonariusze SMIERSZ-u.

Ostatecznie Cimoszewicz trafił do 1. Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte na stanowisko oficera politycznego. Przed wojną nie był związany z ruchem komunistycznym, więc jest to dowód dużego zaufania, jakim musieli go darzyć Sowieci. Można się domyślać, że wynikało ono z jego wcześniejszej służby w oddziałach specjalnych. Z 1. Brygadą Cimoszewicz doszedł do Warszawy, potem służył w innych jednostkach ludowego WP. Wojnę zakończył latem 1945 r. pod Berlinem.

MROCZNA FORMACJA

W lipcu 1945 r. Cimoszewicz był zastępcą dowódcy ds. politycznych 11. pułku piechoty 4. dywizji. Tam przeszedł do pracy w Informacji Wojskowej. Rzecz to znamienna, gdyż kadra tej wojskowej bezpieki składała się wówczas niemal wyłącznie z przebranych w polskie mundury oficerów sowieckich, a podstawowe jej dokumenty były sporządzane w języku rosyjskim. Byle kto z ulicy tam nie trafiał. Cała formacja to miejsce wyjątkowo mroczne: w latach 50. preparowano w niej fałszywe oskarżenia, po których zapadały wyroki śmierci, a jej brutalność, zdaniem prof. Pawła Wieczorkiewicza, o niebo przewyższała metody gestapo. Opisując ówczesną działalność Mariana Cimoszewicza, prof. Jerzy Robert Nowak wyliczał na podstawie zebranych przez siebie artykułów: „Sam się chwalił podczas spotkania z oficerami akademii, że w 1944 r. zlikwidował oddział AK. Według innych źródeł w 1946 r. jako oficer IW kierował grupą likwidującą »bandę Bohuna«".

Rzeczywiście w jego teczce w uzasadnieniu nadania mu w 1968 r. odznaczenia można przeczytać: „W 1946 r. jako oficer Informacji, kierując grupą żołnierzy, likwiduje bandę »Bohuna« na terenie województwa poznańskiego. W uznaniu zasług położonych w walce z hitlerowskim najeźdźcą i wrogim podziemiem, mając na uwadze 28-letnią nienaganną służbę wojskową oraz całkowite oddanie władzy ludowej i Partii – wnoszę o odznaczenie płk. Cimoszewicza Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari – na co w pełni zasługuje. [podpisano:] szef Wojskowej Służby Wewnętrznej generał brygady Teodor Kufel".

W latach 1946–1948 Cimoszewicz służył w Zarządzie Informacji Wojsk Lotniczych, potem awansował do centrali (Główny Zarząd Informacji WP). Służył tu pod zacnym kierownictwem płk. Anatola Fejgina. Trzy lata później był już oficerem Informacji Wojskowej Akademii Technicznej.

Prof. Jerzy Robert Nowak, opierając się na licznych źródłach, napisał: „Cimoszewiczowie zamieszkali w domu na Boernerowie (Bemowo) odebranym prawowitym właścicielom, których przymusowo wysiedlono z Boernerowa na początku lat 50. jako »element politycznie niepewny«. Żona majora M. Cimoszewicza zaczęła pracę w bibliotece WAT na miejscu poprzedniej pracowniczki tej biblioteki Ewy Cecetki-Cymerman, zwolnionej nagle bez uzasadnienia w sposób bardzo ordynarny przez M. Cimoszewicza. Robert Mazurek, autor interesująco naszkicowanej sylwetki Włodzimierza Cimoszewicza »Metamorfozy pana C.« („Życie Warszawy" z 31 marca 1997 r.), pisał, »że ojciec Cimoszewicza [...] w 1951 r. trafia do Wojskowej Akademii Technicznej. Tam aresztuje komendanta uczelni gen. Floriana Grabczyńskiego. Z jego rozkazu aresztowano też kilkunastu oficerów WAT, którzy wcześniej byli w AK«".

Wystarczy tylko, że mała część danych zebranych na temat działalności ppłk. Cimoszewicza w WAT przez naukowców i dziennikarzy jest prawdziwa, to mamy do czynienia z postacią mało ciekawą.

Jako ponury żart można tu tylko dodać, że już po upadku systemu stalinowskiego, w 1957 r., tow. płk Cimoszewicz uzyskał maturę. Ponieważ w jego teczce oficera IW nie przybyło wtedy zbyt wiele sporządzonych przez niego własnoręcznie dokumentów, trudno orzec, czy ten fakt pozytywnie wpłynął na jego marne umiejętności posługiwania się poprawną polszczyzną i podstawowymi regułami ortografii. Być może stan ten uległ poprawie w latach 60., kiedy Marian Cimoszewicz pobierał nauki w Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego.

Z OJCA NA SYNA

Stare polskie przysłowie mówi o jabłku niedaleko padającym od jabłoni, co znakomicie ilustruje karierę syna towarzysza płk. Mariana Mikołaja Cimoszewicza. Urodzony w 1950 r. Włodzimierz w 1968 r. rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W miejscu, gdzie kilka miesięcy wcześniej pacyfikowano protesty młodzieży, Włodzimierz został pryncypialnym działaczem uczelnianej organizacji Związku Młodzieży Socjalistycznej. W 1971 r. wstąpił do PZPR, a w 1972 r. został przewodniczącym ZMS na Uniwersytecie Warszawskim. Szczytem jego partyjnej kariery było objęcie funkcji sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR UW.

W 1980 r. Cimoszewicz wyjechał na stypendium Fulbrighta do USA. Pozostał wierny PZPR w czasach „Solidarności" i po ogłoszeniu stanu wojennego. W czasie pobytu w USA przeniósł swoją przynależność partyjną do konsulatu w Nowym Jorku. W tym czasie pozostawał w kontakcie z Departamentem I MSW PRL jako kontakt operacyjny „Carex". Ale od zarzutu agenturalnych kontaktów z komunistyczną bezpieką oczyścił Cimoszewicza sąd lustracyjny. Wartość tego wyroku jest niewielka, jak innych podobnych wyroków, choćby w sprawie Lecha Wałęsy czy Józefa Oleksego. Mówiąc krótko: tłumaczenia Cimoszewicza w tej sprawie („Byłem zaskoczony, ponieważ okazało się, że kontakt, jaki w 1980 r. nawiązał ze mną przed wyjazdem [...] przedstawiciel MSZ, został w dokumentach przedstawiony jako kontakt z wywiadem") nie są warte funta kłaków.

W 1982 r. Cimoszewicz powrócił do PRL, jednak po trzech latach wycofał się z działalności politycznej i po raz pierwszy zaszył się w lesie pod Białymstokiem. Na łono „matki partii" wrócił w 1989 r., by zostać posłem na Sejm kontraktowy z ramienia PZPR. Potem pełnił też funkcję ministra spraw zagranicznych,

eprasa.pl 4329e3eee2

a nawet premiera. Na tym stanowisku „zatopiła" go charakterystyczna dla jego buty i arogancji wypowiedź w czasie powodzi z 1997 r. („Trzeba się było ubezpieczać").

HISTORYCZNE ROZLICZENIA

Historia kariery Mariana Cimoszewicza to dobra lekcja o tym, jak wysoką cenę płaci się za utraconą niepodległość. Zwłaszcza wtedy, kiedy któryś ze zbrodniczych totalitaryzmów morduje jego najcenniejszy element w Katyniu czy Palmirach. Miejsce wychowanych w latach niepodległości zajmują wtedy ludzie PZPR, UB i Informacji Wojskowej, często pułkownicy bez matury. Byliby nikim, gdyby machiny zbrodni – hitlerowska i sowiecka – nie dobrały się do polskiego społeczeństwa.

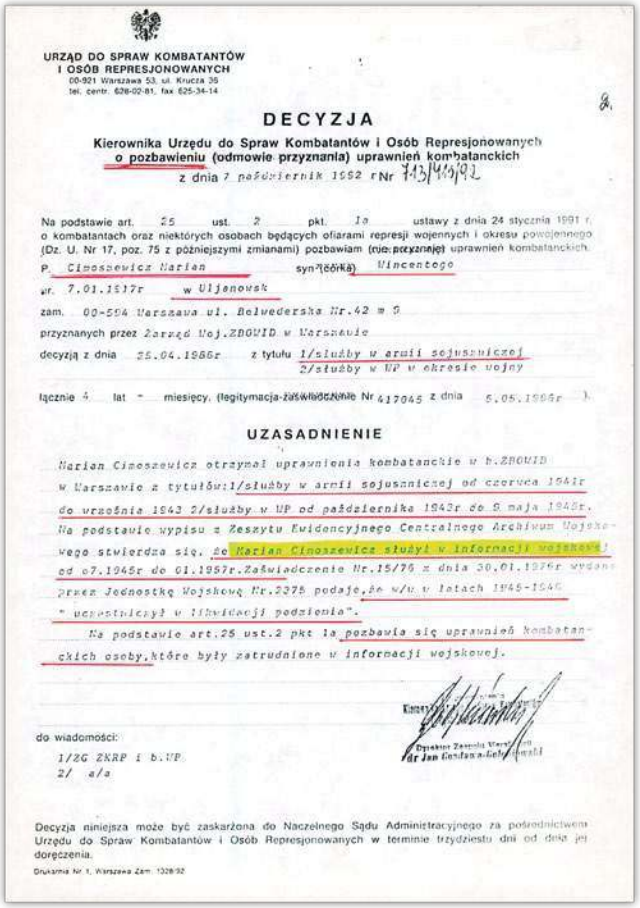
Włodzimierz Cimoszewicz też nigdy nie przestał być wiernym synem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W 1991 r. przeszłość jego ojca ujawnił poseł Jan Beszta-Borowski, wspominając o prześladowaniach w WAT. W odpowiedzi Cimoszewicz miał wyłożyć swoje historyczne i rodzinne credo: „Rozumiem, że dla Borowskiego, jego szefów i was, nierozumnych dziennikarzy, babrzących się w takich prowokacjach, wybawcami byli naziści, skoro ci, którzy z nimi walczyli, zasługują na miano oprawców. Po wojnie mój ojciec przez 30 lat służył w Wojsku Polskim, w tym w kontrwywiadzie, instytucji, jaka jest zawsze i w każdej armii. Wy, którzy opluwacie Go dzisiaj, możecie powołać się tylko na fakt służby w tej formacji. Nie przytaczacie, bo nie możecie przytoczyć, żadnych prawdziwych zarzutów, dotyczących Jego postępowania. »Dowody« Borowskiego są łgarstwem" (za: Piotr Jakucki „Pułkownik Cimoszewicz", „Gazeta Polska" z 4 listopada 1993 r.).

Informacja Wojskowa ma tyle wspólnego z klasycznym kontrwywiadem, co demokracja ludowa z demokracją. Zapewne dlatego ta formacja składająca się „z morderców przez duże M i sadystów przez wielkie S" (prof. Paweł Wieczorkiewicz) jest dziś powszechnie uważana za zbrodniczą. Bardzo charakterystyczne są tu jednak słowa Cimoszewicza. Za argument wybielający jego ojca, „utrwalacza władzy ludowej", najwyraźniej uznał to, że miał on „walczyć z nazistami". Ciekawe, kto miałby być tym „nazistą": wykładowcy Wojskowej Akademii Technicznej? Żołnierze powojennego podziemia?

Wystąpienie posła Beszty-Borowskiego nie było jedyną przykrością, która na początku lat 90. zmąciła humor towarzysza Włodzimierza Cimoszewicza. O tych czasach, w których próbowano w Polsce przywrócić nieco prawa i sprawiedliwości, napisał on wówczas książkę pod mrożącym krew w żyłach tytułem „Czas odwetu". Trudno mu się dziwić. To wtedy, w 1992 r., jego ojcu, tow. płk. Marianowi Mikołajowi Cimoszewiczowi, za służbę w Informacji Wojskowej odebrano uprawnienia polskiego kombatanta.

PRZENOSZENIE WINY

Zamiast rzetelnie zważyć historyczne zasługi ojca, a także rolę, jaką odegrała w historii Polski jego własna formacja polityczna, Włodzimierz Cimoszewicz chętnie zajmuje się Polakami, którym ma sporo do zarzucenia. Gromi zwłasz-



URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH
00-921 Warszawa 53, ul. Krucza 35
tel. centr. 626-02-01, fax 625-34-14

DECYZJA

Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
o pozbawieniu (odmowie przyznania) uprawnień kombatanckich
z dnia 7 październik 1992 r Nr 113/1415/92

Na podstawie art. 25 ust. 2 pkt. 1a ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. Nr 17, poz. 75 z późniejszymi zmianami) pozbawiam (nie przyznaję) uprawnień kombatanckich.

P. Cimoszewicz Marian syn (córka) Vincentego

ur. 7.01.1917r w Uljanowsk

zam. 00-594 Warszawa ul. Belwederska Nr.42 m 9

przyznanych przez Zarząd Woj.ZBOWID w Warszawie

decyzją z dnia 25.04.1986r z tytułu 1/służby w armii sojuszniczej
2/służby w WP w okresie wojny

łącznie 4 lat - miesięcy. (legitymacja zaświadczenie Nr 417045 z dnia 5.05.1986r).

UZASADNIENIE

Marian Cimoszewicz otrzymał uprawnienia kombatanckie w b.ZBOWID w Warszawie z tytułów:1/służby w armii sojuszniczej od czerwca 1941r do września 1943 2/służby w WP od października 1943r do 9 maja 1945r. Na podstawie wypisu z Zeszytu Ewidencyjnego Centralnego Archiwum Wojskowego stwierdza się, że Marian Cimoszewicz służył w informacji wojskowej od 07.1945r do 01.1957r.Zaświadczenie Nr.15/76 z dnia 30.01.1976r wydane przez Jednostkę Wojskową Nr.2375 podaje,że w/w w latach 1945-1946 "uczestniczył w likwidacji podziemia".

Na podstawie art.25 ust.2 pkt 1a pozbawia się uprawnień kombatanckich osoby,które były zatrudnione w informacji wojskowej.

do wiadomości:
1/ZG ZKRP i b.WP
2/ a/a

Dyrektor Zespołu Orzekania
dr Jan Gadana-Gelyan

Decyzja niniejsza może być zaskarżona do Naczelnego Sądu Administracyjnego za pośrednictwem Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w terminie trzydziestu dni od dnia jej doręczenia.

Drukarnia Nr 1, Warszawa Zam. 1328/92

cza „polską ksenofobię" oraz „narodową tromtadrację" idącą w parze z „zoologicznym antykomunizmem". Ostatnio stał się wybitnym badaczem dziejów Polski i mówi np., że większość Żydów, których nie wymordowali Niemcy, zabili Polacy. Opowiada też inne pospolite brednie, za którymi nie stoją żadne badania naukowe. Ale nie ma co wchodzić w szczegóły – zaznacza były pan premier – bo Polacy brali udział w Holokauście, czego dowodem jest przecież Jedwabne.

Dopatrywanie się więzi tow. Cimoszewicza z polską racją stanu byłoby równie niecelowe jak poszukiwanie patriotów w Informacji Wojskowej. Ale zastanawia, skąd ten radykalizm ocen i chętne szafowanie (akurat w tym wypadku) odpowiedzialnością oraz winą.

Warto zauważyć, że takie zachowanie postkomunistów nie jest niczym nowym, wcześniej analogicznie w sprawie Jedwabnego postępował Aleksander Kwaśniewski. Ta prosta sztuczka nazywa się przenoszeniem winy: im więcej możemy Polakom przypisać – choćby udział w Holokauście – tym lepiej. Bo tak naprawdę za zbrodnię w Jedwabnem odpowiedzialne są przede wszystkim dwa totalitarne systemy: hitleryzm i komunizm. Gdyby nie one, żydowska ludność miasteczka żyłaby tam spokojnie do dzisiaj. Przenosząc odpowiedzialność za zbrodnie totalitaryzmów XX w. na Polaków, tow. Cimoszewicz zdejmuje ją nieco z reprezentowanego przez siebie i Mariana Cimoszewicza systemu. Winni stają się „oni". Oczywiście nie mam nic przeciwko rozliczeniom postaw haniebnych, opisywaniu wszystkich marnych czynów i wstydliwych postaci, ale w tym powinna obowiązywać generalna zasada: każdy zaczyna od lustra i rodzinnych fotografii.

Przy pisaniu tekstu autor korzystał z ustaleń Jana Beszty-Borowskiego i prac prof. Jerzego Roberta Nowaka

29/1017/F

eprasa.pl 4329e3eee2

PGE
Zapewniamy energię



Prąd, jak wszystko w życiu,
może być lepszy z dodatkami.
Wybierz energię od PGE w stałej
cenie i dowolną usługę dodatkową.

JEST LEPSZY Z DODATKAMI

Świeć przykładem
i wybierz nawet
10 żarówek LED
firmy Philips.

Poznaj receptę
na brak zdrowia
i energii.

Wykonaj dobry ruch
i ubezpiecz własność
ruchomą z Link4.

Jeśli nie lubisz zmian,
wybierz niezmienną
cenę gazu.

Koniec napięcia
z powodu przepięcia,
wybierz pomoc
fachowców.

Zadzwoń
422 222 222
lub wejdź na
www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 4329e3eee2

Artystyczna pułapka na bogatych



Timeless Gallery w Warszawie, jeden z trzech showroomów pokazujących oferowaną inwestorom sztukę. Galeria mieści się w budynku Giełdy Papierów Wartościowych

Pejzaż z przerażonym inwestorem

eprasa.pl/4329e3eee2

Miały być wielkie zyski, a jest wielki skandal. Polscy biznesmeni i celebryci zainwestowali setki milionów w dzieła sztuki i nie mogą ich odzyskać. Jak wynika z moich ustaleń, właścicielce szwedzkiej galerii udała się rzecz niebywała: ściągnęła z naszego rynku więcej pieniędzy niż wszystkie domy aukcyjne razem wzięte. Schemat działania był arcydziełem socjotechniki – oferta inwestowania rozchodziła się pocztą pantoflową, a klienci czuli się zaszczyceni, że trafili do elitarnego grona



MAJA NARBUTT

Pierwsi opisaliśmy kilka tygodni temu kulisy działalności szwedzkiej Galleri New Form, działającej w Polsce też jako Timeless Gallery. Sprawę bada Prokuratura Regionalna w Białymstoku z doniesienia Komisji Nadzoru Finansowego. Agenci ABW dokonali przeszukania oddziałów galerii oraz domów osób z nią związanych i zabezpieczyli 5 mln zł oraz znaczną liczbę sztab złota i monet kolekcjonerskich.

Coraz bardziej staje się jasne, że skala przedsięwzięcia była olbrzymia: pośrednicy docierali nawet do niewielkich miejscowości, zapraszając lokalne elity do inwestowania.

– Prokuratura i KNF działały w tej sprawie zbyt niemrawo. Gdyby energicznie wkroczyły do akcji znacznie wcześniej, sytuacja klientów byłaby zupełnie inna. Jeśli będzie więc można udowodnić zaniedbania, to odpowiedzialność za straty finansowe powinna spoczywać na skarbie państwa – uważa mecenas Aleksander Kowzan. Jego klienci, wśród których są celebryci, zainwestowali 80 mln zł.

Jednak inni prawnicy nie podzielają tej opinii, argumentując, że klienci całkiem świadomie i na własną odpowiedzialność wchodzili w bardzo ryzykowny biznes. – Trzeba być wariatem, by wpłacać olbrzymie sumy pieniędzy, sięgające nawet 20 mln, a w zamian dostawać kartkę, że jest się właścicielem dzieła sztuki. Przecież niektórzy widzieli wyłącznie jego zdjęcie i nie wiedzieli nawet, gdzie się ono fizycznie znajduje – mówi inny adwokat, do którego też zgłosili się pokrzywdzeni.

Klientom gwarantowano w umowie, że właścicielka galerii Joanna Segelstrom po kilku miesiącach odkupi dzieło sztuki za znacznie wyższą cenę. Zysk miał wynosić nawet 30 proc. rocznie. – Wiara w Joannę była olbrzymia, to przypominało sektę lub kościół scjentologiczny. Wątpliwości tłumiono. Wszystko wydawało się wiarygodne, działały przecież galerie Joanny w Szwecji, hiszpańskiej Marbelli i w Miami – przyznaje jeden z klientów.

Dzisiaj niewielu inwestorów chce się wypowiadać publicznie. Dla ludzi związanych ze światem finansów i doradzającym innym, co robić z pieniędzmi, to wstydliwa klęska wizerunkowa. Nie chcą się też wypowiadać celebryci, którzy chętnie inwestowali w to przedsięwzięcie. Komentarza odmawia Grażyna Wolszczak, która wraz ze swym partnerem scenarzystą Cezarym Harasimowiczem od dawna lokowała tak pieniądze. Bardziej szczera jest inna znana aktorka, Jolanta Fraszyńska.

– Z utęsknieniem czekam na zwrot pieniędzy, włożyłam w to wszystkie oszczędności. Były przeznaczone na mieszkanie dla córki. Jestem pokrzywdzoną klientką, tak jak kilku innych aktorów i celebrytów – ujawnia Fraszyńska.

W innej sytuacji jest jej partner Tomasz Zieliński, który miał podpisaną umowę z Timeless Gallery jako pośrednik. Twierdzi, że nie działał jak inni agenci, którzy drapieżnie ściągali pieniądze z rynku. Miał niewielu klientów z kręgu przyjaciół. Desperacko walczy, by odzyskać dla nich pieniądze. Nieoczekiwanie okazało się, że choć szwedzki komornik uznał ich prawa do windykacji, to w Szwecji majątek Joanny Segelstrom został już latem ubiegłego roku poddany egzekucji komorniczej.

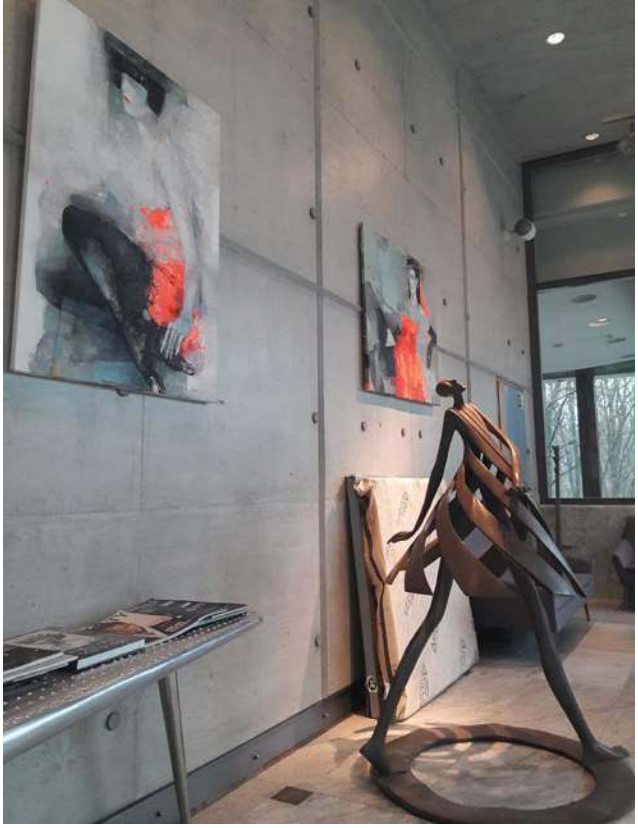
Klienci i pośrednicy galerii od wielu miesięcy znajdują się na huśtawce emocjonalnej. Wielokrotnie zapewniano ich, że już za chwilę zostaną spłaceni. Dostają wciąż nowe listy, z kolejnymi terminami spłaty.

Wielu klientów nie wierzy już w żadne obietnice. Jak przyznaje jeden z reprezentujących ich prawników, „w skali od jednego do dziesięciu wiarygodność Joanny Segelstrom w tej chwili kształtuje się na poziomie minus jeden".

Jednym z najbardziej niesamowitych aspektów tej historii jest to, że właścicielce Galleri New Form, Polce ze szwedzkim obywatelstwem, udało się dokonać czegoś, co wydawało się niemożliwie. Z ostatniego raportu branżowego portalu Artinfo.pl wynika, że w zeszłym roku, absolutnie rekordowym, obroty rynku dzieł sztuki wyniosły w Polsce 204 mln zł. Tymczasem jej samej udało się ściągnąć z rynku w tym samym roku sumę prawdopodobnie co najmniej dwukrotnie większą, a sporo klientów powierzało jej wiele milionów złotych.

Kiedy rozmawiam z ekspertami rynku dzieł sztuki, wręcz trudno im w to uwierzyć. Są zaszokowani też z innego powodu. – Inwestując podobne sumy, można zgromadzić niezwykle cenne kolekcje, zawierające obrazy największych polskich artystów klasy Wyspiańskiego, Malczewskiego albo uznanych artystów światowych – mówi jeden z marszandów. Tymczasem klienci otrzymywali najczęściej rzeźby – a czasem tylko ich certyfikaty – mało znanych artystów zachodnich. Wartość dzieł sztucznie zawyżano. Nie wyceniał ich żaden ekspert, a kiedy po wybuchu afery spanikowani klienci zaczęli weryfikować wartość posiadanych dzieł sztuki, okazywało się niekiedy, że wynosi ona ułamek ceny, którą zapłacili.

eprasa.pl 4329e3eee2



ZAGADKA MILIONÓW

– Gdzie się podziały miliony zainwestowane przez klientów Galleri New Form? To bardzo dobre pytanie. Wedle mojej wiedzy żaden z agentów, którzy przez lata pozyskiwali klientów, nie zna precyzyjnej odpowiedzi. Nawet na spowiedzi czy przesłuchiwany w ABW nic sobie nie przypomni, bo po prostu nie wie, na czym naprawdę polegał model inwestowania stworzony przez Joannę Segelstrom – mówi Rafał Aleksandrowicz, radca prawny reprezentujący grupę pokrzywdzonych klientów i agentów.

Od kilku miesięcy inwestorzy, a także ich prawnicy zastanawiają się, czy pieniądze wkładano w piramidę finansową. Jak twierdzi specjalista od spraw finansowych, teoretycznie możliwe jest zaprojektowanie niemal idealnej piramidy. Zachęceni ogromnym zyskiem przyłączają się kolejni klienci, większość z nich nie wypłaca pieniędzy, ale wkłada je w następne inwestycje. Ale wystarcza impuls, by wszystko runęło.

W tym wypadku mogłoby być nim wpisanie Galleri New Form w styczniu ubiegłego roku na listę ostrzeżeń Komisji Nadzoru Finansowego. To z pewnością ostudziło zapał niektórych klientów. Więcej osób zaczęło wycofywać pieniądze, a mniej niż zwykle inwestować. I to był przepis na katastrofę.

Niektórzy klienci, duzi gracze na rynku finansowym, od początku uważali, że cały biznes jest przekrętem, ale warto w niego wejść, bo zyski są ogromne, a oni tak sprytni, że w porę wyciągną pieniądze. Większość klientów jednak święcie wierzyła, że los im sprzyja i udało im się wejść do grona szczęśliwców, którzy przez lata będą stale i dyskretnie pomnażać swój majątek. „To przecież działało!" – napisał mi jeden z celebrytów, którego spytałam, czy nie miał żadnych obaw.

> Z utęsknieniem czekam na zwrot pieniędzy, włożyłam w to wszystkie oszczędności. Były przeznaczone na mieszkanie dla córki. Jestem pokrzywdzoną klientką, tak jak kilku innych aktorów i celebrytów – ujawnia znana aktorka Jolanta Fraszyńska

– Tysiące inteligentnych ludzi zajmujących wyższą niż przeciętnie pozycję społeczną. Niektórzy wpłacający wielomilionowe kwoty i na pewno korzystający z doradztwa prawnego i księgowo-podatkowego. Oni wszyscy, łącznie z agentami, uwierzyli, że można zagwarantować sięgające kilkudziesięciu procent rocznie zyski z handlu sztuką nowoczesną i nie ma w tym ryzyka – dziwi się jeden z adwokatów.

Jest jeszcze inna teoria tłumacząca, co się właściwie stało. Odpowiada na pytanie: gdzie się podziały miliony zainwestowane w sztukę, które zadałam w artykule opublikowanym w „Sieci" kilka tygodni temu. Zgodnie z tą teorią pieniądze przygotowane na wypłaty dla klientów w pogoni za jeszcze większym zyskiem zostały przez właścicielkę galerii zainwestowane w nieruchomości w hiszpańskiej Marbelli. I nie udaje się ich wyciągnąć.

– To prawdziwa zagadka, intelektualne wyzwanie, które intryguje wiele osób. Co się właściwie kryje za całą sprawą? Dużo elementów nie pasuje do układanki. Także to, że Joanna Segelstrom utrzymuje jakiś kontakt z klientami. A przecież mając miliony, mogłaby bez trudu zmienić tożsamość i rozpłynąć się bez śladu – mówi jeden z prawników, z którymi rozmawiam.

Twierdzi, że w najbliższym czasie powinno się wszystko wyjaśnić: albo prokuratura podejmie drastyczne kroki, albo pieniądze popłyną w końcu do inwestorów.

Niezależnie od finału sprawa działalności Galleri New Form powinna wejść do podręczników marketingu. Kilkudziesięciu doradców finansowych, agentów ubezpieczeniowych, prawników działających w kancelariach, w wielkich firmach, a nawet bankowców doradzających VIP-om w komercyjnych bankach, dało z siebie naprawdę wszystko. Udało im się wcisnąć tysiącom Polaków dziwny produkt inwestycyjny, w dodatku w atmosferze snobistycznego wtajemniczenia. A metody, do których czasem sięgali, są niezwykłe.

OD BAŁTYKU PO TATRY

Mężczyźni siedzący przy sąsiednim stoliku z ożywieniem rozmawiali o znakomitym interesie, jaki udało im się zrobić. Nie mieli wątpliwości, że znaleźli fantastyczny sposób inwestowania, pewny i przynoszący duże zyski. W końcu

eprasa.pl 4329e3eee2

pan X nie wytrzymał. Podszedł, przedstawił się i zostawił wizytówkę. O jednej rzeczy nie miał pojęcia. Rozmowa przy sąsiednim stoliku była zaaranżowana, a mężczyźni zjawili się w restauracji specjalnie dla niego.

– To idealna sytuacja, gdy klient sam przynosi pieniądze i prosi, by je wziąć. Pośrednicy mieli doskonałe rozeznanie, kto w lokalnym środowisku ma pieniądze i jak do niego dotrzeć. Czasem wiedzieli też, że niektórzy klienci nie będą się awanturować, gdyby coś się nie udało. Raczej pogodzą się ze stratą, niż ujawnią niekoniecznie zdobyty w legalny sposób kapitał – mówi jeden z moich informatorów.

W miarę jak docieram do kolejnych osób związanych ze sprawą Galleri New Form, tym bardziej staje się jasne, że inwestowanie w sztukę objęło nie tylko wielkie miasta. Jak Polska długa i szeroka, od Bałtyku po Tatry zdeterminowani pośrednicy docierali do klientów, opowiadając im o znakomitym pomyśle na pomnożenie pieniędzy. Organizowali pokazy – odbywały się nawet w niewielkich miejscowościach. Otwierali laptopy, na PowerPoincie pokazywali, jak słupki zysków pną się w górę. Potem zapraszali chętnych do odwiedzenia galerii w Szwecji. A tam pałeczkę przejmowała Joanna Segelstrom.

Ona nie mówiła już o pieniądzach. Opowiadała o sztuce, wspaniałych artystach, którzy w natchnieniu tworzą swoje dzieła. Opisywała, skąd czerpią inspiracje, zachwycała się ich warsztatem. Od niechcenia wspominała, że rzeźby kupił od niej Barack Obama, powoływała się na znajomości z innymi wybitnymi osobistościami.

Klienci też byli zachwyceni i olśnieni. Niektórzy płakali. Nagle, nieoczekiwanie dla nich samych, znaleźli się w świecie, którego istnienie mogli tylko przeczuwać. Wzniosłym świecie piękna i wartości, tak odległym od brutalnego świata interesów, z którym do tej pory mieli do czynienia. Czuli się dowartościowani, że ktoś docenia ich życie duchowe, uważa że są właściwymi odbiorcami takich opowieści.

To było genialne i uzależniające połączenie: obietnica dużych zysków i kontaktu z wielką sztuką. A wszystko w snobistycznej otoczce przynależności do elity, bycia wybranym. Bo przecież oferta adresowana była do wyselekcjonowanych klientów, nikt nie znalazł się w tym gronie przypadkowo.

Mogli uczestniczyć w wydarzeniach zorganizowanych przez galerie należące do Joanny Segelstrom. Kiedy właściciel warsztatu samochodowego lub przedsiębiorca z małego miasteczka znalazł się na evencie, gdzie brylowała znana mu z telewizji egzotyczna pogodynka i aktorzy, których do tej pory widział tylko na ekranie, był pod wrażeniem. W końcu znalazł się w wielkim świecie, do którego do tej pory mógł tylko aspirować.

Jeszcze bardziej działało to na kobiety. To właściwie one najdłużej pozostają pod urokiem Joanny Segelstrom. Bronią jej, nawet gdy wściekli mężowie myślą już tylko o tym, jak odzyskać zainwestowane pieniądze. Grono klientów, którzy wierzą, że Joanna Segelstrom ma dobre intencje i w najbliższym czasie ureguluje zobowiązania, jest nadal spore, choć z każdym tygodniem się kurczy.

– Nigdy, w całym swoim życiu zawodowym, nie spotkałem wierzycieli, którzy wykazują taką empatię w stosunku do dłużnika. Zwykle sprawa jest prosta: chcą ścigać dłużnika jak wściekłego psa, wydusić pieniądze. A jak się nie da, to chociaż wsadzić go do więzienia i tak się zemścić – mówi mi windykator długów, od ponad 20 lat działający na tym rynku.

PIRAMIDA ZAUFANIA

Pieniądze lubią ciszę. Bardzo długo aferę Galleri New Form udawało się utrzymać w tajemnicy. Pojawiały się niewielkie wzmianki o wpisaniu firmy na listę ostrzeżeń KNF, wpisy na blogach. Po materiale w tygodniku „Sieci" o sprawie poinformowała w końcu PAP. Nadal jednak sprawa nie ma tak dużego rezonansu, na jaki zasługuje. Na dyskrecji zależy przede wszystkim właścicielce Galleri New Form, która w listach do klientów apeluje, by „nie napuszczać na nią mediów".

Z różnych powodów nie chce też zabierać głosu większość klientów. Niektórych z nich poznałam na początku roku, gdy pracowałam nad pierwszym tekstem o tej sprawie. Gdy po paru tygodniach znów nawiązałam kontakt, byli już innymi ludźmi. Pewni siebie przedsiębiorcy, przekonani, że zawsze kontrolują sytuację, muszą się zmierzyć ze świadomością, że tak jednak nie jest i wpływa to na nich druzgocąco. Pieniądze, których nie zdołali odzyskać, miały popłynąć do innych projektów. Nie popłynęły, straty biznesowe są trudne do odrobienia.

Jednak w znacznie gorszej sytuacji są ci, którzy wpakowali w inwestycje w rzeźby nie tylko te pieniądze, które mieli, lecz także te, których nie mieli. Wzięli kredyty, wierząc, że robią



Wyrazy głębokiego współczucia

dla naszej koleżanki

DANUTY DUNIN–HOLECKIEJ

z powodu śmierci

TATY

którą przyjęliśmy z ogromnym żalem.

Koleżanki, koledzy

z Telewizyjnej Agencji Informacyjnej

33/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

interes życia. Rekordowy przypadek, o którym słyszałam, dotyczy całej rodziny. Jej członkowie po kolei zadłużali się w bankach, w sumie na 8 mln zł. Są w rozpaczy, nie mogą funkcjonować bez leków psychotropowych.

– Strata pieniędzy, gdy chodzi o bardzo poważną sumę, przeżywana jest jak żałoba. To naukowo udowodnione. Ośrodek w mózgu, który odpowiada za odczuwanie żalu w wypadku straty finansowej, sąsiaduje z tym, który uruchamia się, gdy traci się kogoś bliskiego – mówi jeden z moich rozmówców.

Jest nieprzyjemnie zaskoczony, że do niego dotarłam. Zgadza się rozmawiać tylko anonimowo. Reklamuje się jako trener inwestycyjny, a przecież to, że klienci, których skłonił do zainwestowania, nie mogą odzyskać pieniędzy, nie jest dobrą reklamą. – Przykra sprawa, muszę powiedzieć ludziom, że szanse na zwrot pieniędzy są marne. Spotykamy się w moim biurze, mówię, że powinni patrzeć na to realistycznie. Znoszą to różnie, widzę reakcje na ich twarzy, drżenie ust. Czuję się głupio, wygląda to tak, jakbym opchnął trefną ofertę – opowiada.

Uważa, że niektórzy klienci sami są sobie winni. Zapomnieli o podstawowej zasadzie inwestowania – środki trzeba dywersyfikować i nie należy wkładać wszystkich pieniędzy do jednego koszyka. Jak podkreśla, każdą ofertę należy też starannie sprawdzać. A jak się tego nie zrobi, można mieć pretensje tylko do siebie.

Ale kiedy mówię, że ofertę powinien sprawdzić przede wszystkim on, a klienci zaufali, że to zrobił, jest mu trochę głupio. – Uwierzyłem komuś, kto stoi wyżej niż ja. Zapewniał, że wszystko jest w porządku. Tak samo weszli w ten biznes inni pośrednicy – przyznaje.

To była piramida zaufania. Na samym dole byli klienci, przekonani, że pośrednik przedstawia im doskonałą propozycję. Wyżej byli agenci, tak pewni, że to świetny sposób inwestowania, że wkładali w to własne pieniądze i prowizje. Jeszcze wyżej – ludzie, którzy zwerbowali agentów, koordynatorzy projektu. Oni z kolei uwierzyli Joannie Segelstrom, jedynej osobie, która naprawdę wie, o co w tym wszystkim chodzi.

> Klientom w umowie gwarantowano, że właścicielka galerii Joanna Segelstrom po kilku miesiącach odkupi dzieło sztuki za znacznie wyższą cenę. Zysk miał wynosić nawet 30 proc. rocznie

ELEMENT NIEPEWNOŚCI

Odkąd latem ubiegłego roku zaczął się kryzys, osoby oficjalnie związane z firmą Joanny Segelstrom zamilkły. Sama właścicielka wydaje komunikaty: zapewnia, że kłopoty są przejściowe, klienci zostaną spłaceni, a jej przedsięwzięcie nie ma nic wspólnego z piramidą finansową.

Na razie wszystkie trzy Timeless Gallery w Polsce działają, choć nic nie przypomina okresu świetności. Przychodzą tam zdenerwowani klienci i pośrednicy, żądając zwrotu pieniędzy. Jak mówi Mateusz Tabaczka, szef Timeless Gallery w Gdyni, do chwili wyjaśnienia sytuacji nie prowadzi się żadnej sprzedaży. I to jedyny komentarz, do którego udało mi się go skłonić.



Nie ulega wątpliwości, że gdyby galerie zamknięto, wśród klientów, którzy nadal nie odzyskali swoich pieniędzy, wybuchłaby panika.

Tymczasem z galerii znikają niektóre rzeźby i wcale nie dlatego, że należały do klientów, którzy za nie zapłacili. Swoje rzeźby zabrał Jerzy Kędziora, jedyny polski artysta, którego dzieła prezentowano klientom inwestującym w sztukę.

– Panowie z ABW chcieli wiedzieć, jakie są moje związki z Joanną Segelstrom. Opowiedziałem, że miały polegać na współpracy. Ta zadbana i elokwentna niewiasta obiecywała, że zadba o promocję moich rzeźb. Miała zbudować specjalne cokoły, by je zaprezentować, zastanawiała się też, gdzie je ulokować w przestrzeni miejskiej w Malmö. Nic z tego nie wyszło – opowiada mi Jerzy Kędziora.

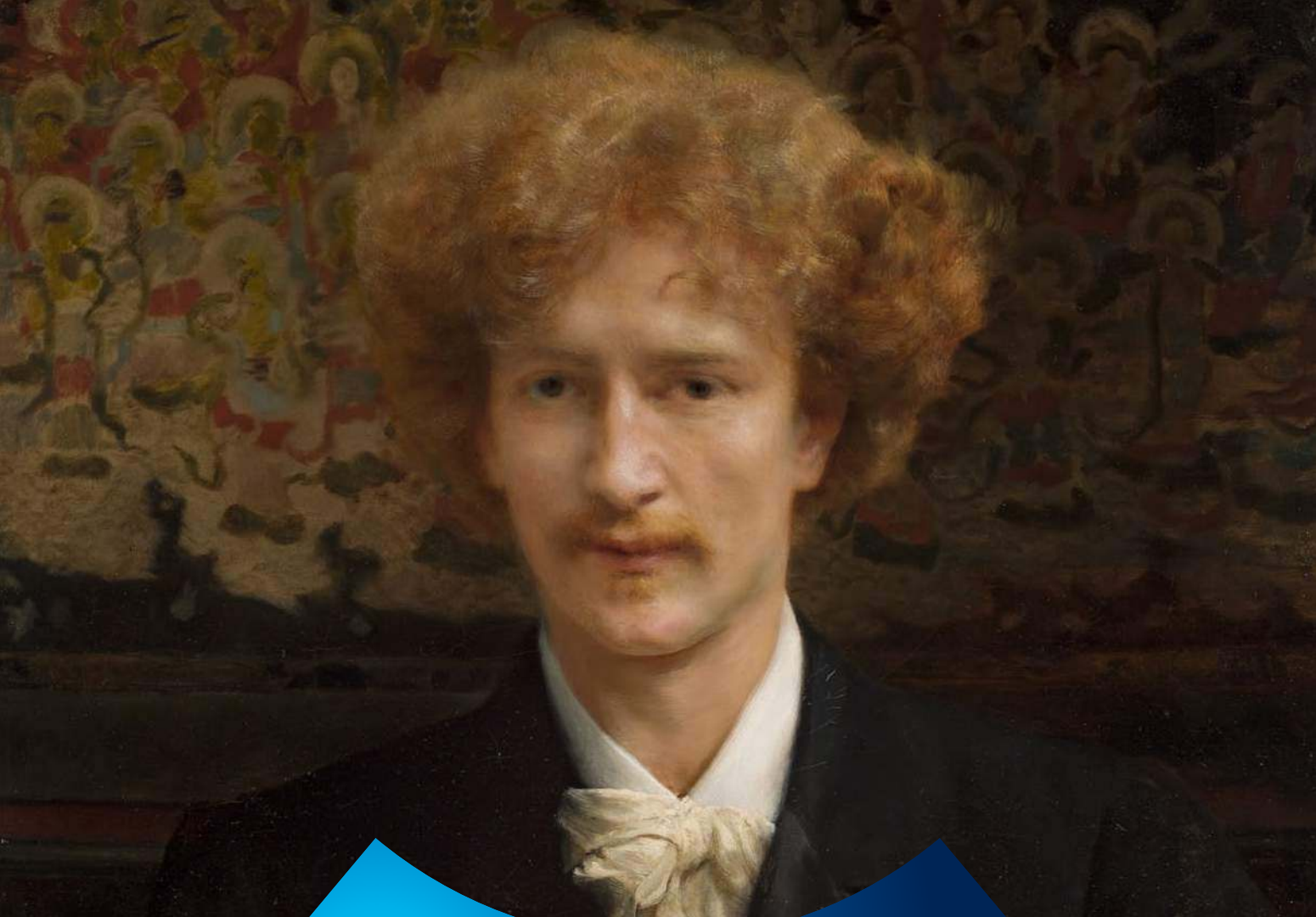
Trudno uznać, że Joanna Segelstrom go wypromowała. Wystawiał swe prace w Miami i Dubaju, ale nie miało to z nią nic wspólnego. Zjawiała się na jego wystawach przygotowanych przez innych marszandów. – Stracone złudzenia – mówi dziś Kędziora.

Jerzy Kędziora tworzy bardzo niezwykle rzeźby określane jako balansujące. Postaci z kompozytu zawieszone wysoko na stalowych linach zachowują równowagę jakby wbrew prawom fizyki. Jak mówi artysta, mają przypominać o elemencie niepewności towarzyszącym naszym działaniom.

Trudno nie zauważyć, że idealnie pasują do modelu inwestowania w sztukę zaproponowanego przez Joannę Segelstrom. Z pewną różnicą – rzeźby okazały się jednak bardziej stabilne.

58/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2



MATERIAŁ
MARKETINGOWY

PZU mecenasem wystawy „Paderewski” w Muzeum Narodowym w Warszawie

Z dumą zapraszamy na wystawę poświęconą Ignacemu Janowi Paderewskiemu, który na kartach naszej historii zapisał się jako wybitny pianista, kompozytor i jeden z najważniejszych polskich działaczy niepodległościowych.

Wystawę można oglądać do 20 maja 2018 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie.

pzu.pl

eprasa.pl 4329e3eee2

Oswajanie zabijania



Szeroki uśmiech, błyszczący brokat, dziewczęcy róż i radosna pochwała zabijania. W taki sposób „Gazeta Wyborcza" przekonuje, że „aborcja jest OK". Zza lukrowanej tandety boleśnie przebija jednak prawdziwa intencja feministek. Landrynkowa promocja aborcji to wstęp do społecznej demolki...



MARZENA NYKIEL

To kolejne podejście redakcji z Czerskiej do oswajania czytelników z najczarniejszym obliczem „cywilizacji śmierci". Lewicowo-liberalne środowiska pracują nad polskim społeczeństwem od lat, próbując „wyzwolić" je z chrześcijańskich wartości. Wszelkie podejmowane dotąd próby nie przyniosły rezultatu, choć świetnie sprawdzały się na Zachodzie. Większość Polaków wciąż jednak chce chronić życie poczęte. Lewica postanowiła więc podjąć ostateczne kroki i przedstawić zabijanie dzieci nienarodzonych jako naturalny element szczęśliwego życia. Okładka „Wysokich Obcasów", weekendowego dodatku do „GW", z roześmianymi dziewczynami przekonującymi, że „aborcja jest OK", okazała się jednak tak infantylną makabrą, że nie kupiła jej nawet część środowisk lewicowych. Feministki ujawniły w niej swoje prawdziwe oblicze.

LUKROWANA MAKABRA

„Często słyszymy: społeczeństwo nie jest gotowe, musi dojrzeć. Społeczeństwo to nie awokado, ktoś musi wykonać tę pracę, dać głos kobietom. I powiedzieć: aborcja jest normalna. Każdy kocha kogoś, kto miał aborcję. Do tego dużo różu, uśmiechu i brokatu. [...] Idzie nowe. A dokładnie to jedzie. Poznajcie Aborcyjny Dream Team on tour. Czyli Aborcyjny Zespół Marzeń w trasie. W skład zespołu wchodzą: Karolina Więckiewicz: prawo, Natalia Broniarczyk: ideolo, Justyna Wydrzyńska: doświadczenie, Kinga Jelińska: wsparcie instytucjonalne" – czytamy w „Wysokich Obcasach". Autorka artykułu przekonuje wspólnie z Aborcyjnym Dream Teamem, że jedna z trzech naszych znajomych miała aborcję, a zabijanie własnych dzieci jest zjawiskiem jak najbardziej normalnym. Co za postęp.

„Aborcja to zabieg medyczny. To również dobrodziejstwo, bo dzięki niej mamy możliwość decydowania o sobie" – stwierdza autorka artykułu Karolina Domagalska. Wyjaśnia, że Aborcyjny Zespół Marzeń ma zamiar promować tabelki poronne i zachęcać do aborcji na rozklejanych w całej Polsce bilbordach. Na razie zbiera na nie fundusze.

W gąszczu feministycznych deklaracji, przeglądu antykoncepcji farmakologicznej i szczegółów działań tabletek poronnych pojawiają się także przerażające opisy aborcji. To wyraźna próba przesunięcia granic i oswajania ze śmiercią. „Tabletkę poronną, zgodnie z zaleceniami, zażyła dobę wcześniej, skurcze zaczęły się, gdy wzięła drugi rodzaj tabletek. Krwawienie pojawiło się, gdy wypadł z niej płód, kulka wielkości małej mandarynki, jakby kawałek wątróbki". To jeden z makabrycznych opisów śmierci nienarodzonego dziecka.

„Dzięki Natalii nie spodziewałam się niczego traumatycznego, byłam spokojna. W zasadzie odbyło się to bezboleśnie. Tylko mocno leciała krew. W pewnym momencie poczułam, że chyba już jest po wszystkim, wypadł ze mnie półcentymetrowy skrzep. Wznieśliśmy toast" – tak kończy się kolejna historia opisana przez Aborcyjny Dream Team, przekonujący, że chce pomóc społeczeństwu w dojrzewaniu do aborcji.

26/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2



Różowo, cukierkowo i bezboleśnie. Tak ma wyglądać nowa era zabijania. Czy można upaść niżej?

FASADOWE OBURZENIE

Feministyczna nowomowa, zamiast przekonać, zbulwersowała opinię publiczną. Od infantylnej makabry odcięli się nie tylko przeciwnicy aborcji, lecz także ci, którzy deklarowali dotąd poparcie dla „czarnych parasolek".

„Aborcja nie jest OK! Odpłynęliście zupełnie @WysokieObcasypl takie tezy szkodzą dialogowi o liberalizacji prawa aborcyjnego, a właściwe zbliżają @pisorgpl do tego, aby ustawę aborcyjną zaostrzyć" – napisał Piotr Misiło z Nowoczesnej. Od przesłania odciął się też Cezary Tomczyk z PO: „Aborcja NIE jest OK. Mówię to z perspektywy ojca dwóch synów, ciąży, którą razem z moją żoną przeżywaliśmy, cudu narodzin i rodzicielstwa. Aborcja zawsze powinna być ostatecznym wyjątkiem, jak w przypadku gwałtu czy skrajnych wad rozwojowych". Co ciekawe, od „Wysokich Obcasów" odcięli się także niektórzy dziennikarze „Wyborczej". „Zakładając nawet taki cel perswazyjny, to różowa akcja »aborcyjny dream team« »aborcja OK« jest infantylna, w najgorszym guście i może osiągnąć przeciwny cel do zamierzonego" – napisał Paweł Wroński. „Wysokie Obcasy nie Gazeta Wyborcza. Ta okładka i tytuł jest głupi" – dodał. „Aborcja – moim zdaniem – nie jest OK" – podkreśliła na Twitterze Dominika Wielowieyska.

Redaktor naczelna „Wysokich Obcasów" zareagowała naiwnym zdziwieniem. „Nie planowaliśmy skandalu, wiedzieliśmy, że będzie duży oddźwięk, lecz nie zakładaliśmy, że aż tak wielki. Bierze się on stąd, że zdanie »aborcja jest OK« zostało źle zrozumiane. Pracujemy nad tym, żeby doprecyzować znaczenie słów" – powiedziała Ewa Wieczorek portalowi Wirtualnemedia.pl.

Obnażenie prawdziwych celów feministek zraziło nawet zwolenników aborcji. Problem w tym, że za paplaniną o „prawach kobiet" kryje się bezduszna promocja zabijania, wynaturzenie i odczłowieczenie.

Mimo że część dziennikarzy „Wyborczej" odcięła się od akcji, swoim profesorskim autorytetem przypieczętowała ją Magdalena Środa, dumnie podpisując się tytułem etyka. W swoim felietonie opublikowała kilkadziesiąt powodów, dla których „aborcja jest OK" w takim kraju jak Polska:

- „w kraju, w którym nikt nie wspiera samotnych matek, uważając, że same są sobie winne;
- w kraju, w którym dostęp do antykoncepcji jest utrudniony przez nagle rozbudzone i wybiórcze »sumienia« farmaceutów;
- w kraju, w którym kobiety zmusza się do rodzenia dzieci;
- w kraju, w którym fanatyczne organizacje parareligijne zamierzają przymus ten uczynić bezwzględnym;
- w kraju, w którym kobiety systematycznie pozbawiane są praw;

REKLAMA





– w kraju, w którym kobiety są ofiarami przemocy domowej;
– w kraju, w którym kobiety mają systematycznie ograniczaną możliwość wykonania badań prenatalnych;
– w kraju, w którym zamiast edukacji seksualnej młodzież dostaje sentymentalno-katolicką papkę pełną przesądów;
– w kraju, w którym rodzi się dla 500+;
– w kraju, w którym potępia się kobiety, które nie chcą swojego dziecka;
– w kraju, w którym nie ma dostatecznej ilości żłobków i przedszkoli;
– w kraju, w którym wmawia się kobietom »syndrom poaborcyjny«;
– w kraju, w którym obłudni politycy słyszą krzyk mordowanych embrionów...".

W wyliczance Środy nie zabrakło wątku fanatyzmu religijnego i zabobonów. Pada także kłamliwe stwierdzenie, że syndrom postaborcyjny nie istnieje, a środowiska katolickie wmawiają go naiwnym kobietom. Światła profesor etyki nie dostrzega, jak bardzo sama pogrążona jest w ideologicznej ciemnocie i jak uparcie powiela stęchłe tezy dawno pogrzebanych feministek, mające się nijak do stanu badań naukowych.

KNEBLOWANIE SYNDROMU POSTABORCYJNEGO

Feministki manipulują opinią publiczną i nie pozwalają mówić o skutkach aborcji. Przekonują, że to nic nieznaczący zabieg, że płód to nie dziecko. Zamykają przy tym oczy na fakty medyczne i statystyki. Zabicie własnego dziecka ma określone, bardzo dramatyczne konsekwencje, niezależnie od tego, jak bardzo próbuje się je wyprzeć ze świadomości.

Istnienie syndromu postaborcyjnego potwierdza Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatrów, które w 1987 r. dokonało rozróżnienia dwóch zespołów zaburzeń, jakie mogą wystąpić po aborcji. Z przeprowadzonych badań wynika, że PAS (syndrom postaborcyjny) nie zależy od światopoglądu, wyznania ani wrażliwości moralnej kobiety. U niektórych pojawia się od razu, u innych zaczyna się dopiero kilka lat po aborcji, najczęściej w okresie klimakterium. Czasem może go wywołać urodzenie następnego dziecka lub niezdolność do jego urodzenia. Jakie są objawy? Duży niepokój, którego przyczynę trudno sobie uświadomić, niezadowolenie z życia bez obiektywnych przyczyn, brak sensu życia, poczucie beznadziei, depresja. Syndromowi postaborcyjnemu towarzyszą też zaburzenia relacji z najbliższymi, niechęć do współżycia seksualnego, silne lęki, koszmary senne. Zespół ten może towarzyszyć kobiecie aż do śmierci. Ale te dramatyczne konsekwencje aborcji towarzyszą także mężczyznom.

Według badań opublikowanych w 1985 r. przez dr Speckhardt na Uniwersytecie Minnesota spośród kobiet, które przeszły aborcję, 100 proc. doświadczało smutku, poczucia utraty; 92 proc. przeżywało poczucie winy; 85 proc. było zaskoczonych intensywnością smutnych przeżyć postaborcyjnych; 81 proc. odczuwało obniżone poczucie własnej wartości; tyle samo procent miało świadomość doznania krzywdy i wciąż myśli o abortowanym dziecku; 73 proc. cierpiało na depresję, czuje się nieswojo w obecności niemowląt i małych dzieci oraz odczuwa niemożność rozmawiania o przeżytej aborcji; 69 proc. przeżywa niechęć do współżycia seksualnego; 65 proc. miało tendencje samobójcze; 61 proc. zaczęło nadużywać alkoholu; 31 proc. podejmowało próby samobójcze; 23 proc. przeżywało skrajnie ciężkie poczucie winy.

Podobne badania przeprowadzono w 1985 r. w prywatnej klinice Mount Sinai School of Medicine. Spośród badanych 46 proc. przyznało, że aborcja stała się przyczyną największego kryzysu w ich życiu; 48 proc. stwierdziło, że relacje z ojcem zabitego dziecka zmieniły się znacząco na niekorzyść lub wprost się załamały; u 33 proc. kobiet wystąpiły zaburzenia seksualne; 52 proc. odczuwa smutek, poczucie pustki, rozdrażnienie, całkowity brak radości z życia.

Czy można to wszystko bagatelizować? Czy prawem kobiet nie jest przypadkiem świadomość tych faktów? Dlaczego więc w imię postępu feministki i organizacje lewicowe cofają opinię publiczną do stanu sprzed kilkudziesięciu lat, kiedy nie mieliśmy pełnej wiedzy o aborcji i jej skutkach?

ODDECH ZAKŁAMANEJ WIEDŹMY

Już w 1949 r. Simone de Beauvoir (1908–1986) ogłosiła w swojej książce „Druga płeć" manifest, w którym nawoływała do „zerwania kajdan" i „wyzwolenia się z niewoli macierzyństwa". Zalecała oddanie się pracy zawodowej i korzystanie z „wolnego seksu". Buntowała się przeciwko biologicznym konsekwencjom zaspokajania popędów, dlatego domagała się dostępu do aborcji i antykoncepcji. Ciążą jawiła się jej jako okaleczenie, a poczęte dziecko jako pasożyt. W czasach, gdy

26/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

aborcja była nielegalna, otworzyła w swoim salonie w Paryżu „stację aborcyjną". Namawiając kobiety do zabijania swoich nienarodzonych dzieci, z dumą mówiła, że sama zrobiła to dwukrotnie. W ten sposób rozpoczęła aborcyjny coming out, w którym wzięły udział także inne znane kobiety, mające na celu zmianę francuskiego prawa. De Beauvoir przekonywała, że kobiecość nie ma żadnych podstaw genetycznych i jest konstruktem społecznym, zjawiskiem płynnym, dowolnie kształtowanym wytworem kulturowym. To od kobiety zależy, jaka się stanie. Jeżeli podda się tradycji i religii, jeśli będzie pasywna, utożsami się ze stereotypem społecznym, stając się żoną i matką. Jeżeli natomiast zdobędzie się na aktywność i odwagę, ma szansę doświadczyć „prawdziwego" wyzwolenia. Dopiero wtedy może się stać panią własnego losu i zmieniać swoje przeznaczenie.

Tak oto „dojrzał" program radykalnego feminizmu, który można sprowadzić do zakwestionowania seksualnych norm moralnych, zanegowania małżeństwa, macierzyństwa i rodziny, uznania aborcji za „prawo człowieka", bezkompromisowej walki z mężczyznami, nadaktywności zawodowej.

> Od infantylnej makabry odcięli się nie tylko przeciwnicy aborcji, lecz także ci, którzy deklarowali dotąd poparcie dla „czarnych parasolek"

Stare pojęcia wypełniono nową treścią. Stęchła propaganda posypana została brokatem i przewiązana różową wstążką. Dodano puste hasła o równości, równouprawnieniu, wzmocnieniu pozycji kobiet, światowym obywatelstwie, zrównoważonym rozwoju, partnerstwie, edukacji dla wszystkich, zdrowiu seksualnym i reprodukcyjnym, płci kulturowej i bezpiecznej aborcji. Zgnuśniały program firmują uśmiechnięte naiwnie dziewczątka nazywające same siebie Aborcyjnym Dream Teamem. I tylko szyderczy rechot Magdaleny Środy przebija się zza landrynkowej dekoracji, niczym klątwa baśniowej wiedźmy. Bo nie o szczęście, nie o marzenia, nie o spełnienie idzie w tej smutnej historii... Aborcyjny Dream Team ujawnił prawdziwe intencje organizacji feministycznych. Nie o prawa kobiet tu chodzi, lecz o wypełnienie lewicowego planu społecznej destrukcji, o złamanie moralnych kręgosłupów, zakopanie chrześcijańskich i narodowych wartości. Landrynkowa kampania „Aborcja jest OK" pokazuje, jak ma wyglądać wynaturzony świat bezmyślnych hedonistów.

REKLAMA



II Targi Wschodnie

13-14 marca 2018, Rzeszów

XI FORUM EUROPA – UKRAINA



Targi wystawców z kilku krajów Europy, ponad 2000 mkw. przestrzeni wystawienniczej



Ponad 70 firm reprezentujących kilkanaście branż gospodarki, przemysłu i usług



Otwarte dla szerokiej publiczności Targi są integralną częścią Forum Europa – Ukraina

- miejsce: G2A Arena Centrum Wystawienniczo-Kongresowe Województwa Podkarpackiego
- www.forum-ekonomiczne.pl
- kontakt: j.dubij@isw.org.pl

WSPÓŁORGANIZATOR

PODKARPACKIE
przestrzeń otwarta

eprasa.pl 4329e3eee2

Duże rodziny przecierają szlak cyfrowej rewolucji

Czy w ciągu najbliższych lat czeka nas cyfrowa rewolucja w dokumentach? Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych jest już technologicznie gotowa na to, by zamiast druków, kartonikowych legitymacji czy poliwęglanowych blankietów produkować dobrze zabezpieczone i wygodne w użyciu dokumenty cyfrowe. Pierwszym z nich jest wprowadzona przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej mobilna wersja Karty dużej rodziny (mKDR) dostępna dzięki aplikacji dla użytkowników smartfonów



Przez ostatnie dwa lata w PWPW nie próżnowano, tylko rozbudowywano intensywnie software house, czyli projekt tworzenia wrażliwych dokumentów w wersjach cyfrowych. Dziś państwowa spółka zatrudnia ok. 200 specjalistów IT, których praca zaowocowała tym, że PWPW jest gotowa podjąć wyzwania, jakie niesie cyfrowa rewolucja w świecie nowoczesnych dokumentów i zabezpieczeń.

– Warto podkreślić, że osobami, które zaczęły korzystać z pierwszego pełnoprawnego e-dokumentu, jakim jest mKDR, są członkowie dużych rodzin. Dokument ten jest honorowany przez wszystkie instytucje i partnerów programu KDR – wyjaśnia Bartosz Marczuk, podsekretarz stanu w MRPiPS.

Ministerstwo zwróciło się do PWPW z prośbą o stworzenie wersji elektronicznej Karty dużej rodziny w celu ułatwienia korzystania z niej rodzinom wielodzietnym.

– Dzięki mKDR rodzice nie muszą już pamiętać o tym, by w podróż z dziećmi pociągiem zabierać karty wszystkich pociech, mają je bowiem w telefonie. Dodatkowo mKDR dzięki geolokalizacji informuje o wszystkich punktach, które honorują Kartę i oferują zniżki dla dużych rodzin, co jest przydatne zwłaszcza na wakacjach. Dzięki wersji elektronicznej dostajemy też powiadomienia o każdym kolejnym partnerze, który przystąpił do programu – wylicza zalety nowego rozwiązania wiceminister Marczuk.

O wydanie dostępu do aplikacji i pozyskanie mKDR osoby uprawnione mogą wnioskować podczas składania podania o karty w swoich urzędach miejskich, dzielnicowych bądź gminnych. Osoby, które mają już poliwęglanową wersję KDR, nie muszą wychodzić z domu, by otrzymać mobilny e-dokument, a proces weryfikacji swojej tożsamości i przysługujących uprawnień przejdą za pośrednictwem portalu informacyjno-usługowego Emp@tia – empatia.mrpips.gov.pl.

Warto podkreślić, że pierwszy polski e-dokument powstał w rekordowo krótkim czasie, ok. dwóch miesięcy. Było to możliwe dzięki dostosowaniu możliwości PWPW do wyzwań, jakie stawia przed twórcami wrażliwych dokumentów współczesny świat. Architektem sukcesu i udanej modernizacji spółki jest Robert Malicki, obecnie pełniący obowiązki prezes zarządu PWPW, a jednocześnie dyrektor Pionu Dokumentów Identyfikacyjnych i Aktywów Cyfrowych.

– Dzięki wiedzy i intuicji osób zaangażowanych w proces informatyzacji PWPW jesteśmy dziś w stanie dostarczyć także inne dokumenty cyfrowe, jak choćby Kartę seniora. Proces wymiany tradycyjnych dokumentów tożsamości na nowe, cyfrowe odpowiedniki z pewnością będzie jednym z trendów administracyjnych w najbliższych latach. My jesteśmy w pełni gotowi na cyfrową rewolucję – zapewnia Michał Zborowski, dyrektor Sprzedaży Krajowej w PWPW.

Mobilna wersja Karty dużej rodziny cieszy się coraz większą popularnością. Ministerstwo Rodziny szacuje, że od początku roku w Polsce zarejestrowano już kilkadziesiąt tysięcy mKDR.

25/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Archiwum prywatne

Nie ma idealnych mam

Nikomu nie jest potrzebna przemęczona mama, której brakuje cierpliwości czy pogody ducha. Staram się dbać i o ciało, i o ducha – w miarę racjonalnie się odżywiać, chodzić na fitness, na spotkania formacyjne. Żeby dawać innym, trzeba też umieć zainwestować w siebie

Z Anną Wardak, współtwórczynią Akademii Familijnej, mamą dziesięciorga dzieci, rozmawia Dorota Łosiewicz

Srebrny Krzyż Zasługi za wychowanie dzieci z rąk prezydenta RP to chyba miłe wyróżnienie?

Anna Wardak: Bardzo miłe, zwłaszcza że otrzymałam je z rąk osób, które bardzo cenię i szanuję. Chociaż za taki wysiłek, jakim jest wychowanie dziesięciorga dzieci, spodziewałabym się raczej Virtuti Militari [śmiech]. Ale tak na poważnie, to cieszę się, że pan prezydent docenił rolę matek. Wygłosił z tej okazji piękne przemówienie. Szczególnie wzruszyły mnie słowa o tym, że Polska przetrwała 123 lata zaborów w sercach i duszach dzieci wychowywanych przez mężne matki. Muszę jednak podkreślić, że nie traktuję tego wyróżnienia w sposób osobisty. W Polsce jest bardzo wiele mam, które zasługują na najwyższe odznaczenia, i wcale nie są to osoby tak wielodzietne jak ja. Są przecież mamy, które z wychowaniem muszą się borykać samodzielnie, takie, które wychowują dzieci niepełnosprawne itd. Mam wrażenie, że jestem taką symboliczną mamą wielodzietną, bo na moim miejscu równie dobrze mo-

eprasa.pl 4329e3eee2

głoby się znaleźć wiele spośród znanych mi mam. To nagroda dla nich wszystkich.

Czy coś może konkurować z tą nagrodą?

Trudno porównywać odznaczenie od prezydenta z codzienną miłością dzieci i męża. Mogę jednak powiedzieć, że to wyróżnienie jest jak wspaniały tort, który podkreślił smak powszedniej strawy, jaką jest nasze zwyczajne życie.

Sypia pani w ogóle? Na wszystkich zdjęciach, jakie widziałam, pani dzieci są uśmiechnięte, mają uprasowane ubrania, czyste buty...

Panujemy jeszcze nad sytuacją na tyle, żeby być w stanie uprasować dzieciom do zdjęć ubrania czy wyczyścić buty [śmiech]. Na co dzień rzecz jasna też staram się dbać o moje pociechy. A dzieci przeważnie są uśmiechnięte, bo – jak mi się wydaje – są szczęśliwe. Tworzymy zgraną rodzinę. Jeśli zaś chodzi o sen, to staram się sypiać przynajmniej 6–7 godzin na dobę, bo nikomu nie jest potrzebna przemęczona mama, której brakuje cierpliwości czy pogody ducha. Raczej więc nie chodzę spać po północy, chyba że wydarzy się coś nieprzewidzianego. Staram się dbać i o ciało, i o ducha – w miarę racjonalnie się odżywiać, chodzić na fitness, na spotkania formacyjne. To taki zdrowy egoizm. Żeby dawać innym, trzeba umieć zainwestować w siebie. W sensie cielesnym i duchowym.

O której zaczyna się dzień, kiedy ma się dziesięcioro dzieci?

Przeważnie o godz. 6. Jeśli jednak wiem, że później w ciągu dnia nie będę miała możliwości, żeby pójść do kościoła (a robię to każdego dnia), wówczas idę na mszę o 6.30 i wstaję przed 6. Zaraz po wstaniu szykuję mundurki przedszkolakom. Starsze dzieci robią to już same. Czuwam, żeby każde dziecko zjadło śniadanie (zwłaszcza nastolatkom szkoda na to czasu, wolą dłużej pospać lub posiedzieć w łazience). Dbam, żeby wszyscy zabrali śniadanie do szkoły. Sama robię im kanapki tylko w awaryjnych sytuacjach, w większości przypadków robią to sami. Ja tylko koordynuję. Później starsze dzieci wychodzą, młodsze są podrzucane przez sąsiada (mamy taką dwustronną umowę o współpracy dobrosąsiedzkiej). I wtedy zostajemy same z Jadzią. Jestem aktualnie na urlopie wychowawczym. Gdy Jadzia śpi w dzień, ja pracuję. Przygotowuję warsztaty, konferencje. A gdy mała się obudzi, wtedy – z jej nieocenioną pomocą – gotuję obiad na kilkanaście osób. Jeśli któreś z dzieci jest akurat w domu, zabiera siostrzyczkę „na dwolek", jeśli nie – wychodzę z nią ja.

Wszyscy jedzą w domu?

Przeważnie tak. Do wspólnych posiłków przywiązujemy ogromną wagę. Nasz dzień jest dość uporządkowany, mamy stałe godziny posiłków, nie ma chaosu. W tygodniu staramy się przynajmniej jeden posiłek zjadać wspólnie. Nie jest to proste, bo domownicy mają różne zajęcia, czasem zdarzają się wyjazdy. Ponieważ jednak godziny posiłków są stałe, to każdy, kto jest w domu, siada o tej porze do stołu. Mamy serce domu – długi stół – to przy nim jemy i rozmawiamy. W soboty śniadanie dzielimy na dwie tury. Ci, którzy na co dzień bardzo wcześnie wstają, bo jeżdżą na uczelnię lub do szkół położonych w centrum, mogą odespać do 9.30 i jedzą o 10. Młodsze dzieci, które do przedszkola trzeba zazwyczaj podnosić dźwigiem, w weekendy są na nogach już o 6 rano. One jedzą o 8. Drugie śniadanie mamy o 12, obiad – o 15, podwieczorek – o 17, a kolację – o 20. Po kolacji zbieramy się na wspólną modlitwę. Ona oczywiście nie jest obowiązkowa – nikogo nie zmuszamy, raczej zachęcamy. W niedzielę staramy się jeść wspólnie wszystkie posiłki. Po to, żeby dobrze funkcjonować, potrzebujemy zasad, porządku i przewidywalności. Stąd nasz rytm dnia. Wszyscy dobrze się w tym odnajdują.

Dzieci pomagają w codziennych obowiązkach?

Nie nazwałabym tego pomocą. Po prostu wszyscy wspólnie prowadzimy dom. Razem jesteśmy za niego odpowiedzialni. Dzieci nie są w domu gośćmi, lecz pełnoprawnymi domownikami. Dlatego mamy powieszony grafik dyżurów, który sprawdza się bardzo dobrze. Funkcjonujący w rytmie miesięcznym, obejmuje m.in. wkładanie i wyjmowanie naczyń ze zmywarki, nakrywanie do stołu, sprzątanie w różnych pomieszczeniach, wynoszenie i segregowanie śmieci, składanie prania itd. Przeważnie dzieci uważają, że dyżur, który w danym miesiącu wykonuje rodzeństwo, jest o niebo lepszy, i nie mogą się doczekać zmiany. A gdy już się doczekają, to mniej więcej po tygodniu im się przykrzy i chciałyby robić coś innego. Jednak muszą wytrwać. To jest wychowawcze, uczy, że jeśli za coś odpowiadamy, to nie możemy zabrać swoich zabawek i pójść do innej piaskownicy, bo się nam znudziło. Inni na nas liczą. Grafik miesięczny jest naszym zdaniem optymalny, bo pozwala dobrze opanować niektóre bardziej złożone czynności i utrwalić dobre nawyki. W weekendy mamy gruntowne sprzątanie i tu także każdy ma przypisane swoje zadania. Mamy też dyżury przy posiłkach. Działają tu dwuosobowe zespoły dyżurujące przez tydzień. Zadaniem każdego z nich jest pomoc w przygotowywaniu posiłków. Staramy się organizować tak, żeby mama, która w tygodniu gotuje dla całej rodziny, w weekendy nie musiała wchodzić do kuchni. Przeważnie jednak nie da się tego uniknąć. Zespół kulinarny, który kończy dyżur w niedzielę, stara się zabłysnąć jakimś efektownym deserem, żeby rodzina zapamiętała ten duet dobrze. Dzieci planujące menu muszą także sporządzić listę zakupów potrzebnych do realizacji ich pomysłu. To świetna nauka planowania, przewidywania, delegowania zadań – jednym słowem zarządzania niewielkim projektem. Takie małe, rodzinne MBA.

Rodzinne zakupy – to musi być niezłe wyzwanie.

Wbrew pozorom nie zwozimy do domu jedzenia ciężarówkami. Raz w tygodniu robimy duże zakupy w hipermarkecie. Kupujemy dwie zgrzewki mleka, kilka paczek makaronu, inne potrzebne produkty. Wędlinę i pieczywo kupujemy w lokalnym sklepie, warzywa i owoce – na

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Archiwum prywatne

targu. Miesięcznie idzie u nas ok. 10 kg mąki i nieco ponad 1 kg cukru. No chyba że jest sezon wypieków, np. święta – wtedy więcej. Być może to kwestia przyzwyczajenia, ale na mnie te ilości nie robią specjalnego wrażenia. Dla mnie normą jest gotowanie zupy w 11-litrowym garnku, obranie na obiad 3 kg ziemniaków albo gotowanie na drugie danie dwóch paczek makaronu i kotletów z 1,5 kg mięsa. Staramy się odżywiać zdrowo. Nie słodzimy nadmiernie, nie kupujemy słodkich płatków czy jogurtów. W sezonie sami robimy koktajle z maślanki, kefiru i owoców. Dzieci chętnie pieką ciasta czy robią serniki na zimno. Staramy się w miarę możliwości unikać konserwantów, barwników. Sami robimy przetwory. Co roku jest to kilkaset słoików. W ten sposób wiem, co jedzą moje dzieci i my sami.

Jak wygląda odrabianie lekcji?

Każdy odrabia je przy swoim biurku, jednak zawsze jesteśmy dostępni, gdy trzeba pomóc. Ja pomagam z języków i przedmiotów humanistycznych, mąż z przedmiotów ścisłych. Na pewno nad nikim nie ślęczymy, nie nadzorujemy. Ostatecznie to dzieci muszą być odpowiedzialne za swoją naukę. Czasem w pomoc młodszym angażują się również starsi. W ten sposób dzieci uczą się wzajemnej troski i współpracy. W czasie wakacji jedna z córek musiała poprawić stopnie z matematyki, więc przez dwa miesiące starsza siostra udzielała jej korepetycji.

I to jest moment, żeby zapytać o kieszonkowe. Dawać, nie dawać?

We wspomnianym przypadku starsza córka dostawała 10 zł za godzinę korepetycji. Wszyscy byli zadowoleni. Generalnie uważam, że warto dawać dzieciom kieszonkowe. One muszą się uczyć, jak gospodarować własnym budżetem. W naszej rodzinie momentem, od którego dzieci zaczynają dostawać kieszonkowe, jest I Komunia. Najmłodsze dzieci dostają po 5 zł, starsze klasy szkoły podstawowej – po 10 zł, a dzieci w gimnazjum i liceum – po 20 zł miesięcznie. Te, które są już na studiach i mogą same dorobić, przestają dostawać kieszonkowe. Co więcej – ci, którzy już zarabiają, dokładają do domowego budżetu 10 proc. swoich dochodów. Nie jest to dla nich jakaś znacząca kwota, lecz dzięki temu mają okazję poczuć odpowiedzialność za wspólne gospodarstwo.

Jak układają się relacje między dziećmi? Bywa, że się biją?

Oczywiście. Nie da się zacieśniać relacji braterskich bez porządnej bójki od czasu do czasu. Ale też chłopców łączy pasja do majsterkowania i budowania różnych urządzeń. Duża rodzina to wręcz niezastąpiony poligon relacji. Jedni przyjaźnią się bardziej, inni mniej, bywają konflikty, zdarza się rywalizacja, czasem komuś brakuje wyrozumiałości. Jedne dzieci są lepiej zorganizowane, inne fruwają z głową w obłokach. Jednych trzeba uczyć porządku i planowania, drugich elastyczności i wyrozumiałości dla innych. Każdy, łącznie z rodzicami, wciąż musi pracować nad swoim charakterem.

Czy ktoś taki, jak „mama idealna" istnieje?

Nie ma ludzi idealnych, więc nie ma też idealnych mam. Jak to mówią, każdy święty ma swoje wykręty. Choć oczywiście warto dążyć do ideału i wciąż się rozwijać. Nie mam ambicji, żeby być mamą idealną, wystarczy mi, że będę starała się być coraz lepsza. Nad wieloma rzeczami wciąż muszę pracować. Tu pomaga kierownictwo duchowe i mąż, który jest moim najlepszym przyjacielem. Wspólnie, w zaufaniu i miłości, wskazujemy sobie to, co trzeba poprawić, zmienić.

Skoro wywołała pani męża – jak się wam udaje wygospodarować czas na małżeństwo?

To absolutnie podstawa. Podczas uroczystości u pana prezydenta czułam leciutki niedosyt, że uhonorowano mamy, nie wspominając o mężach. A przecież żadna z nas nie byłaby tym, kim jest, gdyby nie wsparcie ze strony męża. Kiedyś będąc w kolejnej ciąży, usłyszałam od kogoś, że kobieta chce mieć dużo dzieci wtedy, gdy czuje się kochana. Zgadzam się z tym w 120 proc. Najlepsze, co my, rodzice, możemy przekazać naszym dzieciom jako posag na całe życie, to właśnie nasza wzajemna miłość. Gdy dzieci ją widzą, czują się kochane, bezpieczne, mają fundament, na którym mogą budować. Nic co dobre, nie przychodzi jednak samo. Nad małżeństwem i miłością trzeba pracować. Dlatego staramy się przede wszystkim budować naszą więź poprzez drobne, codzienne gesty, a oprócz tego świętować rocznice, chodzić na randki... Poświęcamy sobie czas podczas wyjazdów na wykłady i konferencje. Raz do roku staramy się choć na 2–3 dni wyjechać sami. Dzieci lubią, gdy razem wychodzimy wieczorem. Wiedzą, że tego potrzebujemy. Oni wtedy, kolejno po 30 minut każdy, zajmują się najmłodszym rodzeństwem. Dzieci są nam powierzone tylko na jakiś czas, wychowujemy je po to, by się usamodzielniły i odeszły, a miłość małżeńska musi trwać do końca życia. Gdyby tylko małżeństwa o tym pamiętały, nie byłoby syndromu opuszczonego gniazda.

Słucham tego i nie mogę się nadziwić, jak pani starcza na wszystko czasu.

Doświadczam tego, że czas tajemniczo się rozciąga. To taka łaska od Boga. Im więcej jest zadań, im więcej dzieci – tym więcej czasu. Czasem zastanawiam się nawet, co ja właściwie robiłam z czasem, mając dwa razy mniej lat i trzy razy mniej dzieci.

eprasa.pl 4329e3eee2

Odc. 2/12



Fot. NAC

Reduta Piłsudskiego

MECENAS DODATKU PARTNERZY DODATKU

PZU ALIOR BANK LOTOS

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość

eprasa.pl 4329e3eee2

My musimy, jak powstańcy, pójść do boju!

Mam do Fleszara „Satyra" jakiś szczególny sentyment. Może wynika on z tego, że „Satyr" pochodził z Podkarpacia, rejonu, który tak dobrze znam z dzieciństwa? Może z tego, że także w naszej rodzinie był młodzieniec, niejako przygarnięty przez pradziadków, który najpierw został „jednorocznym kadetem" w wojsku austriackim, a potem legionistą, całkiem jak młody Albin?

Tomasz Łysiak

Być może porusza mnie w tej postaci szczególny, dramatyczny ton przeżyć wojennych, jakaś gorzka nuta, żal z powodu przelewanej krwi i tylu ofiar, a jednocześnie bezprzykładny heroizm, ślepa wiara w wodza, umiłowanie Komendanta i bycie jego zawsze wiernym żołnierzem? Miał w sobie iście romantyczną, artystyczną duszę, przeżywał wszystko po dwakroć, po trzykroć. Być może z tego powodu tak dramatycznie zakończyło się jego życie, w listopadzie roku 1916, dosłownie tuż przed ogłoszeniem Aktu 5 listopada. W pewnej mierze w osobie Albina Fleszara zaklęty jest los I Brygady. Dlatego warto opowiedzieć jego historię...

Przyszły dowódca słynnego VI baonu I Brygady urodził się 1 marca 1888 r. w Kąkolówce, podkarpackiej wsi z okolic Rzeszowa. Najpierw chodził do szkoły powszechnej w rodzinnej Kąkolówce (jego ojciec był nauczycielem), a potem, gdy miał lat 10, został wysłany do gimnazjum w Rzeszowie. Chłopak mocno przeżył rozłąkę z rodziną i w szkolnych murach było mu bardzo ciężko. Ale wtedy, już w tak młodym wieku, wykazywał się pewnymi cechami charakteru, które potem przydały się, gdy był dowódcą w Legionach. Tak wspominała pewne wydarzenie z okresu gimnazjalnego jego siostra Janina z Fleszarów Wójcicka: „Pamiętam jesienne popołudnie, gdy matka wraz ze mną i młodszą siostrą wyszła na spacer w stronę Rzeszowa, gdzie był nasz najstarszy brat. Wtem, patrząc na drogę, wijącą się w dali, matka nagle krzyknęła. Zobaczyłam drobną postać, prędko dążącą w naszą stronę. Był to Albin, który na trzy dni Wszystkich Świętych, pieszo, prawie dwadzieścia kilometrów maszerował z Rzeszowa do swojej kochanej matki, aby podzielić się z Nią swymi zmartwieniami".

Trzeba więcej i więcej ochotników

Potem przyszły trudne lata nauki, problemów z nią związanych, choroba płuc. Fleszar miał dwie pasje – jedną z nich była geologia i zbieranie skamieniałości, drugą zaś... poezja. Sam pisał wiersze, a jednocześnie czytał, ile tylko się da. Rozumiał – wzorem promienistych, wzorem filaretów i filomatów – że przez samokształcenie może się sam udoskonalić i wyrosnąć na prawdziwego Polaka. Co ciekawe, w szkole kumpluje się z pewnym chłopakiem, z którym potem połączą go legionowe losy. Chodzi tu o Tadeusza „Wyrwę" Furgalskiego, późniejszego bohatera spod Kostiuchnówki. Obaj wspólnie spędzają czas – łażą na wycieczki geograficzne i geologiczne, a przede wszystkim dużo czytają i wymieniają się poglądami. Łączy ich ta sama myśl, to samo tętno bijące w piersi, to samo słowo budzące najszczersze uczucia – Polska.

Przełom w życiu chłopaków zaczyna się w roku 1908 – to wtedy mgliste do tej pory pomysły i nadzieje przybierają formę zorganizowanej działalności, przygotowań do mającego nadejść kolejnego powstania, do kolejnej wojny o Polskę. Oto rodzi się w Galicji polski ruch wojskowy. Najważniejszym wydarzeniem, które wpłynie na Fleszara i jego pokolenie, jest założenie w 1908 r. przez Kazimierza Sosnkowskiego, najbliższego współpracownika Józefa Piłsudskiego, Związku Walki Czynnej. Organizacja ta miała tylko jeden cel – zbrojne wywalczenie niepodległości. Albin staje się jednym z pierwszych członków ZWC i będzie potem jednym z najlepszych oficerów legionowych. Ale ważne jest nie tylko to, że 20-latek spod Rzeszowa szkoli się sam. Równie istotne – lub nawet jeszcze ważniejsze – jest to, że ma dać początek, ma być członkiem kadr. Trzeba więcej i więcej ochotników.

Fleszar rzuca się więc w wir pracy, działa wśród kółek młodzieżowych, prowadzi tajne spotkania, dyskusje, rozmowy, wszystko po to, by obudzić ducha w jak najszerszej rzeszy młodych ludzi, by do przyszłego wojska wstępowało jak najwięcej ochotników. Co się wówczas dzieje? Odpowiedź jasna – nadchodzą represje ze strony władz szkolnych, które jego działalność mają za „wywrotową". Zostaje zagrożony wyrzuceniem ze szkoły. A jednocześnie powraca choroba płuc. Wszystko to jednak nie załamuje twardego chłopaka, nawet wręcz przeciwnie – zaczyna go hartować, wzmacniać duchowo.

eprasa.pl/4329e3eee2



Fot. „Major Albin Fleszar »Satyr«" Tadeusz Biernacki, Jan Bratro, Warszawa 1937, nakładem Komendy Koła VI Baonu (zbiory Tomasza Łysiaka)

Albin Fleszar w roku 1915

eprasa.pl 4329e3eee2

Odrzuci precz kajdany

W tym początkowym okresie życia Albina Fleszara jest pewien rys, który zresztą charakteryzował nie tylko jego, lecz był immanentną cechą pokolenia młodych ówczesnych bojowników o Polskę – to troska o innych: nie wystarczy, bym sam zadbał o siebie, pogłębiał świadomość czy też uczył się sztuki wojennej, moim zadaniem jest zarażenie tą polską „pasją" innych, pobudzenie ich do działania. Innymi słowy: traktował on ideę wolnościową, którą żył, jako swego rodzaju dar, ale i zobowiązanie – trzeba było przekazywać go dalej, być „apostołem" myśli wyzwoleńczej, nieść obietnicę Dobrej Nowiny, zarażać entuzjazmem. A nie było to łatwe, gdyż większość polskiego społeczeństwa, po latach niewoli, była uśpiona. Zresztą mieli się o tym przecież boleśnie przekonać legioniści wchodzący na teren Królestwa Kongresowego w sierpniu 1914 r.

Fleszar nie tylko działał w ZWC, lecz w dodatku ukończył kurs oficerski Związku Strzeleckiego i został odznaczony przez Józefa Piłsudskiego znakiem oficerskiego „parasola". Jednocześnie znajdował czas, by pisać wiersze. Miał talent? Tak wpisał się w albumie siostry:

Motto: Człowiek jest czemś,
co należy pokonać.

Kto pewien sił z zapału żagwią w dłoni
Idzie nieść brzask
Wśród czasu mrocznej toni
Szczęśliwy tem, że się nadzieją płoni!

Szczęśliwy ten, kto w łzawych dniach rozpaczy
Przemoże ból i woli ster wyznaczy
Szczęśliwy tem,
Że przyszłość sobie znaczy.

Lecz stokroć ten szczęśliwszy
Kto spętany wytęży moc
Odrzuci precz kajdany
I wolny Hymn zanuci Wyczekany!

W tym samym albumie, przy jednym z aforyzmów zamieszczonych przez kogo innego – „Łatwiej na bohaterstwo zdobyć się w życiu, niźli codzień dopełniać cichych cnót w ukryciu" – dopisał: „My musimy, jak powstańcy, pójść do boju!". Całkiem tak, jakby wpisywał swój i innych strzelców program na najbliższy czas.

„Nad wieczorem gruchnęła wieść, że przyjechał »Satyr« z całym sztabem nowych oficerów. Podoficerowie, którzy znali »dzikiego męża« jeszcze w Związku Strzeleckim, zapowiadali, że teraz dopiero zaczną się prawdziwe ćwiczenia. Jakoż nazajutrz wyprowadzono nas na błonia za miasto, gdzie odbyły się ćwiczenia o tak galopującym tempie, że nawet tchu uchwycić nie było czasu. Rozwijanie się kolumny marszowej w linię tyralierską, przebieganie sekcjami, schodami i inne takie nowości, które męczyły co prawda bardzo prędko, ale też budziły ogromną ciekawość i nikt nie próbował się od ćwiczeń tych, trwających przez kilka dni następnych, »wykłamywać«".

L.J. Bazgier,
ochotnik z oddziału organizowanego przez „Satyra"



eprasa.pl/4329e3eee2

Legendarny dowódca „szóstki”

Zanim Fleszar ruszył w bój, znalazł się w wojsku austriackim, w którym służył od roku 1911 jako tzw. jednoroczny kadet. Potem poszedł na studia z geologii i geografii na Uniwersytecie Lwowskim, ciągle jednocześnie pracując dla sprawy w Związku Strzeleckim. To tu zdobywa coraz wyższą szarżę i dostaje pseudonim Satyr. Jest podporządkowany służbowo komendantowi Okręgu Lwowskiego obywatelowi Śmigłemu i bardzo szybko staje się jednym z najlepszych, najwyżej ocenianych oficerów. Czas spędza na ciągłych ćwiczeniach i manewrach. W końcu nadchodzi oczekiwany od dawna wybuch wojny. Nareszcie! Chłopcy mobilizowani rozkazem komendanta Piłsudskiego ściągają ze wszystkich stron do krakowskich Oleandrów, a on przebywa wtedy na ćwiczeniach armii austriackiej (do której został powołany). Piłsudski jednak o nim nie zapomina i występuje o przeniesienie go do polskich oddziałów. Władze austriackie wyrażają zgodę. I w ten sposób Fleszar zostaje inspektorem organizacji strzeleckich okręgu wschodniogalicyjskiego. Zajmuje się szkoleniem i organizowaniem nowych oddziałów. W Łodzi i w okolicach tworzy z ochotników dwa bataliony, które następnie zostają oddane pod komendę mjr. Ryszarda Trojanowskiego. W połowie listopada „Satyr” trafia z nimi do 1. Pułku Piechoty – tego, który był organizowany przez Piłsudskiego w trakcie kieleckiej wyprawy z sierpnia. Rozdziela swoich żołnierzy między bataliony V a VI. Sam staje na czele batalionu numer sześć. Od tej chwili jego losy będą złączone na dobre i na złe z chłopcami z „szóstki”. A sam Fleszar stanie się jej legendarnym dowódcą.

Krzywopłoty i Załęże

Listopadowy bój pod Krzywopłotami był nazywany „legionowymi Termopilami”. Opowieść o nim należy łączyć z kapitalnym wyczynem Piłsudskiego, który z jednej strony zostawia dwa bataliony do walki z nacierającą armią rosyjską (zgodnie z rozkazem austriackim), a z drugiej – pokazuje „cesarsko-królewskim” figę i z pozostałymi batalionami wymyka się z pozycji, by forsownym marszem przejść między liniami, samym frontem, aż do Krakowa. Ulina Mała (nazwa wsi, obok której biegła trasa marszu legionistów) to niesamowity czyn żołnierski, którego sukces wynikał ze śmiałego i z iście szalonego zamysłu (przerzucić prawie 2 tys. ludzi kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż rosyjskiego frontu, czasem między czujkami Moskali a ich głównymi oddziałami), łutu szczęścia i w wielkiej mierze twardego charakteru naszych chłopców. Bo trzeba było wielkiej wytrwałości, by w ornej ziemi, poprzez pola, w pełnym rynsztunku, cicho jak mysz przekradająca się obok śpiącego kota, uważając na każde stuknięcie sprzączki czy zamka od karabinu, przejść kilkadziesiąt kilometrów i dojść do Krakowa.



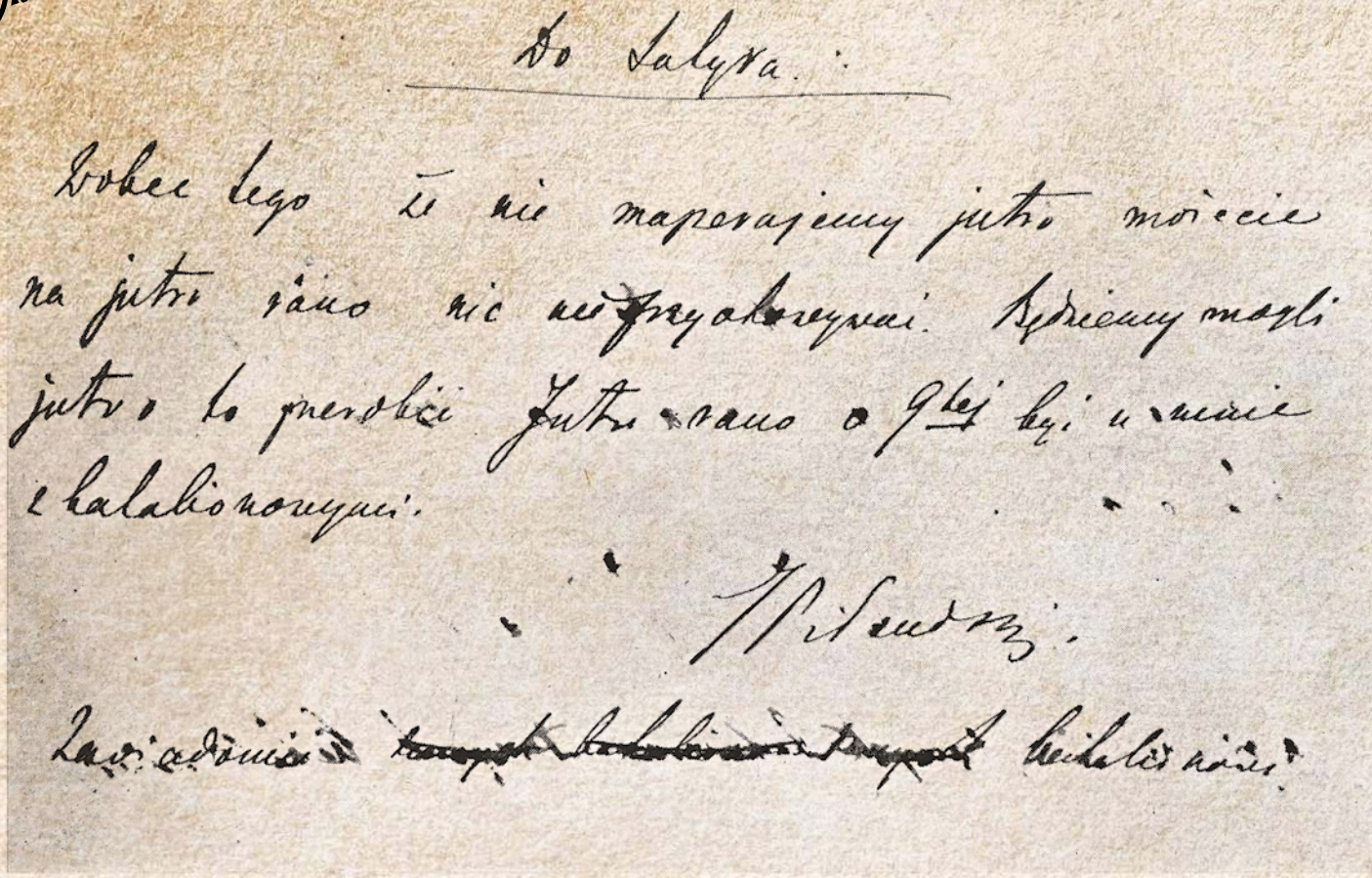
Żołnierze Legionów Polskich w Leśniewce

Fot. NAC

Bitwa pod Krzywopłotami

4. i 6. batalion 1. Pułku Piechoty Legionów, dowodzone przez kpt. Tadeusza Furgalskiego „Wyrwę” i kpt. Kazimierza Piątka „Herwina”, oraz artylerzyści pod dowództwem kpt. Ottokara Brzozy okopali się na wzgórzu Świętego Krzyża we wsiach Bydlinie i Krzywopłotach. Wojska rosyjskie zajęły pozycje w lasach Smolenia i Domaniewic. Bitwa trwała dwa dni, a legioniści powstrzymali rosyjskie natarcie. Miejsce bitwy Józef Piłsudski nazwał „krzywopłockimi legionowymi Termopilami”.

eprasa.pl/4329e3ade2



Fot. „Major Albin Fleszar-„Satyr”” Tadeusz Biernacki, Jan Bratro, Warszawa 1937, nakładem Komendy Koła VI Baonu (zbiory Tomasza Łysiaka)

Osobisty list Józefa Piłsudskiego do „Satyra”

Pod Krzywopłotami rozegrał się zaś jeden z pierwszych, mocnych bitewnych akordów tej jesieni. Już było po bitwach pod Anielinem i Laskami, gdzie śmiałe ataki na bagnety prowadzone przez Śmigłego dały popalić Rosjanom, ale tu miało dojść do heroicznej obrony wobec przeważających sił wroga. W dodatku z niewielkim wsparciem dopiero powstającej i archaicznej artylerii, którą dowodził mjr Brzoza, upamiętniony później przez Jana Lechonia w wierszu „Polonez artyleryjski”.

W bitwie pod Krzywopłotami baon dowodzony przez Fleszara poniósł największe straty. Zginęło 54 ludzi, a 130 zostało rannych. Trzeba pamiętać, że polscy żołnierze byli jeszcze młodzi i niedoświadczeni, nie zdążyli się nauczyć wojennego rzemiosła. W dodatku byli niedostatecznie wyekwipowani. Dość wspomnieć nasze archaiczne armaty strzelające dymnym prochem i wywracające się po każdym strzale... Właśnie ta, pierwsza dla Fleszara poważna bitwa odcisnęła na nim wyraźne piętno. Oto jako dowódca musiał się zmierzyć ze śmiercią podwładnych. Jedno z najtrudniejszych doświadczeń dla oficera. Jak pisali Tadeusz Biernacki oraz Jan Bratro w biografii „Satyra” z 1937 r.: „Przeżywał w swym wrażliwym sercu prawdziwy dramat na widok tylu rannych i zabitych swoich żołnierzy, których tak niedawno przecież uczył wojennego rzemiosła, a teraz wiódł na śmierć. […] Połowa VI baonu legła na polu bitwy, a pozostali przy życiu żołnierze padali sobie w ramiona i płakali z żalu, za poległymi kolegami”. Fleszar z jednej strony był dumny z odwagi i poświęcenia żołnierzy, ale z drugiej – z trudem znosił ciężar odpowiedzialności i zaczął się obwiniać.

Wiernie aż do końca

Dwa miesiące po bitwie, na obiedzie w Kobiernicy wydanym dla jego baonu, „Satyr” wstał i wygłosił taką mowę: „Pokazaliście w natarciu i w odwrocie, jak ginie, jak umiera żołnierz polski. Niestety ofiara nasza zbyt ciężką jest i bolesną... Ciężką jest dla nas, którzyśmy mieli wśród siebie tych, co pozostali tam na polach Załęża i Krzywopłotów. Ja ich już opłakałem... Dzisiejsza nasza uczta jest stypą pogrzebową, sprawowaną ku uczczeniu tych, co wiernie wypełnili rozkaz. Wiernie aż do końca! Ale jestem pewien, że nie byłoby tego, gdybyśmy wówczas mieli naszego Komendanta wśród siebie; wprawną jego kierowani dłonią zachowalibyśmy może w swych szeregach wielu z tych, co nie wrócą już nigdy. Ale stało się... Poległym cześć!... Niech żyje szósty batalion! Niech żyje pierwsza Brygada i Twórca jej Komendant Józef Piłsudski!”.

Ta przytoczona we wspomnieniach Bazgiera przemowa jest w pewnej mierze kluczowa dla zrozumienia ducha

eprasa.pl/4329e3eee2



POZNAJ JAKOŚĆ STACJI PALIW

LOTOS – TWÓJ PARTNER W PODRÓŻY

Dbamy o komfort Twojej podróży, nieustannie doskonaląc naszą ofertę. Zatrzymaj się na stacji LOTOS, napij się aromatycznej kawy i zjedz coś pysznego z oferty Cafe Punkt.
Troszczymy się o wszystkich pasażerów, dlatego na Twojego pupila czeka miska ze świeżą wodą.
Podróżujesz motocyklem? Mamy dla Ciebie liczne udogodnienia i rabaty na paliwo z kartą Navigator.

www.lotos.pl

LOTOS



i myśli Fleszara. Jest tam wezwanie do wierności do końca, jest umiłowanie ojczyzny, jest gorzki ton dotyczący ofiar, a jednocześnie bezbrzeżne uwielbienie i przywiązanie do komendanta Piłsudskiego. Tego przywiązania i wierności uczył Fleszar swoich żołnierzy na dalszej drodze – także wtedy, gdy już po połączeniu baonów IV oraz VI z oddziałami Piłsudskiego i przemianowaniu całości na I Brygadę Legionów dowodził całym 2. pułkiem. To właśnie wtedy wziął udział w niezwykłej, śnieżnej i krwawej bitwie pod Łowczówkiem (23–26 grudnia 1914 r.). I w tej bitwie po raz kolejny patrzył na ofiarę żołnierza polskiego, wierząc uparcie w to, że walka ma głęboki sens.

Baon szedł jak zegarek

Kolejny mocny akcent życia Fleszara to bitwa pod Kostiuchnówką (4–6 lipca 1916 r.). Bitwa, która pochłonęła najwięcej legionowych ofiar w trakcie zmagań I wojny światowej, a jednocześnie jedyna, w której wzięły udział wszystkie trzy brygady. Dopiero po dwóch latach leguni z I, II i III Brygady mieli stanąć obok siebie, ramię w ramię z karabinami w ręku. Zanim to się zdarzyło, nad Nidą, a później nad Styrem, dochodziło do licznych, większych i mniejszych, zwarć z armią rosyjską, a dowodzony przez Fleszara VI baon okrywał się coraz większą chwałą i zdobywał kolejne doświadczenia bitewne. Albin pisał w listach do żony o swoich żołnierzach: „[...] Maruderów nie było! Dyscyplina wielka i baon szedł jak zegarek we wszystkim... lada dzień spodziewam się powrotu do Brygady. Humor u nas jest dobry, ochota do walki wielka, spoistość i bitność baonu niespodziewana”.

Fleszar jest już wtedy majorem, nominację od Piłsudskiego dostał w marcu 1916 r. Wszystkie sukcesy, pochwały, nagrody, o których „Satyr” nie wspomina nawet w listach do domu (!), chwaląc jedynie podkomendnych, bledną przy final-

eprasa.pl/4329e3eee2



Sztab oficerów legionowych z komendantem Józefem Piłsudskim

Fot. NAC

Bitwa pod Kostiuchnówką

Był to największy bój Legionów Polskich. 5,5 tys. żołnierzy polskich przez trzy dni stawiało opór niemal trzy razy większym siłom rosyjskim. Polacy nie dopuścili do przerwania frontu, wytrzymując kilkakrotnie ponawiane ataki. Najcięższe walki stoczyła I Brygada Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, a zwłaszcza jej 5. Pułk Piechoty, którego straty bojowe przekroczyły 50 proc. 2 tys. żołnierzy poległo, zostało rannych lub przepadło bez wieści.

nym akcie bohaterstwa, słynnej obronie reduty Piłsudskiego w trakcie bitwy pod Kostiuchnówką.

Reduta Piłsudskiego

Wiosną 1916 r. VI baon zajął pozycje pod Garbachem. Najbardziej wysunięta w stronę linii rosyjskich pozycja została obsadzona przez dwie kompanie batalionu – redutę nazwano zaś imieniem samego Komendanta. Dlatego, a nie tylko z powodów strategicznych, nabrała dla dowódcy batalionu specjalnego znaczenia: wiedział bowiem, że jej upadek mógłby mieć fatalne przełożenie na morale reszty polskiej armii. Jeszcze zanim rozegrała się wielka bitwa, Rosjanie wielokrotnie próbowali zdobyć redutę Piłsudskiego, za każdym razem bezskutecznie. Moskale postanowili więc zrobić podkop i wysadzić Polaków w powietrze. Fleszar czynił wszystko, aby ów podkop zniszczyć, ale jednocześnie myślał o przemieszczeniu kwatery w jakieś bezpieczniejsze miejsce. W końcu, kierując kolejnymi śmiałymi akcjami, udało mu się zniszczyć rosyjski podkop i ocalić redutę. Gdy rozgorzała bitwa pod Kostiuchnówką, Fleszar po raz kolejny, tym razem jako dowódca 7. pułku piechoty, bronił tej samej reduty, dokonując cudów waleczności. Polacy bronili się przed wielokrotnymi atakami Rosjan, przed kolejnymi falami nadciągającej piechoty, potem szarżami kawalerii, pod huraganowym ogniem artylerii. Walczono też na bagnety, a po bezpośrednim odparciu wroga trwała nieustanna wymiana ognia. Strzelano tak długo, aż drewniane leża karabinów zaczynały dymić z gorąca, musiano je chłodzić kocami. Zamki od broni parzyły ręce, więc nauczono się otwierać je nogą, stawiając karabin kolbą na ziemi. Ta zażarta walka trwała przez dwa pełne dni. Trzeciego zarządzono odwrót. Polacy ostatni schodzili z placu boju (ta metoda często była stosowana przez Austriaków: samemu zwiać z pola bitwy, a Polaków zostawiać w osłonie), ciągle odgryzając się Rosjanom. Gdy V i VI batalion miały wziąć udział w odwrocie, Fleszar zorientował się, że na linie legionowe ruszyła potężna szarża rosyjskiej kawalerii. Natychmiast zawrócił oba bataliony. Znowu zajął pozycje. I przyjął

eprasa.pl 4329e3eee2

szarżę Moskali. Po chwili Rosjanie się załamali. Na polu bitwy panowało prawdziwe piekło: biegały oszalałe, poranione konie, wyli ranni, wszędzie jak okiem sięgnąć leżały trupy. Dopiero wtedy Fleszar zezwolił na odwrót... W specjalnym rozkazie po bitwie został wyróżniony przez Piłsudskiego, wraz z Berbeckim toczącym boje o Polską Górę.

Co było dalej? Dramatyczny koniec. Śmierć w pół drogi, śmierć tuż przed brzaskiem nadziei. Fleszar, członek tzw. Rady Pułkowników, uczestniczący w sporach z Komendą Legionową o dystynkcje i szarże, słuchający o konflikcie Piłsudskiego z legionowym dowództwem, zaczął widzieć, że „sojusznicy", przy których boku mieliśmy walczyć o niepodległość, cynicznie korzystają z naszej ofiary krwi, lecz nie chcą nic dać w zamian. Piłsudski zagroził, że rozwiąże Legiony. Podał się nawet do dymisji, by wymóc ustępstwa. Za nim zaczęli się podawać do dymisji inni oficerowie. Albin „Satyr" Fleszar myślał, że właśnie następuje koniec, że upada myśl o zbrojnym wywalczeniu Niepodległości. 3 listopada 1916 r., w szpitalu w Słonimie targnął się na swoje życie. W przedwojennych książkach nie znajdziemy informacji o prawdziwej przyczynie tej śmierci. Samobójstwo było ukrywane, z łatwych do zrozumienia powodów. Największym paradoksem tej – jakże smutnej – śmierci Fleszara było to, że dosłownie dwa dni potem cesarze niemiecki i austriacki ogłosili Akt 5 listopada – mglistą jeszcze, ale jednak już zarysowaną, obietnicę polskiej odrodzonej państwowości. Kilka dni później w Szwajcarii zmarł Henryk Sienkiewicz, autor wspaniałej opowieści o bohaterach, którzy bronili polskich twierdz i likwidowali wrogie „podkopy", tak jak to pod Kostiuchnówką uczynił piękny duchem, wierny do końca, mjr Albin Fleszar „Satyr". ●

W przedwojennych książkach nie znajdziemy informacji o prawdziwej przyczynie tej śmierci. Samobójstwo było ukrywane, z łatwych do zrozumienia powodów

Ottokar Wincenty Brzoza-Brzezina



Ur. 3 marca 1883 r. w Protivínie w Czechach, zm. 30 sierpnia 1968 r. w Zielonce pod Warszawą – pułkownik artylerii Wojska Polskiego, pośmiertnie awansowany na generała brygady. Był Czechem z pochodzenia. W 1911 r. wstąpił do Związku Walki Czynnej, a następnie do Związku Strzeleckiego. Po wybuchu I wojny światowej wstąpił do Legionów. W bitwie pod Krzywopłotami dowodził jedyną baterią artylerii, wsławiając się niezwykle skutecznym ogniem. Do marca 1917 r. Brzoza-Brzezina był organizatorem i dowódcą 1. Pułku Artylerii, a do lipca sprawował funkcję dowódcy baterii i dywizjonu w c. i k. 28. Pułku Artylerii Polowej. Po kryzysie przysięgowym został wcielony do armii austriackiej. W listopadzie 1918 r. wstąpił do odrodzonego Wojska Polskiego. Walczył w wojnie 1920 r. W stan spoczynku przeszedł siedem lat później. W 1939 r. zgłosił się do służby, walczył pod Kockiem. W czasie wojny w jego majątku w Zielonce powstała baza szkoleniowa dla AK. Ukrywał tam również Żydów. W 1944 r. został wywieziony do Oflagu IIC Woldenberg. Po wojnie wrócił do Polski.

Fot. Biblioteka Jagiellońska 259259II, „Ilustrowana kronika Legionów Polskich 1914-1918", 1936

Autopromocja

eprasa.pl/4329e3eee2

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

W numerze:

- **LEGENDA WYKLĘTYCH**
  1944–1963: chwalebna historia Żołnierzy Niezłomnych
- **POLSKIE SKRZYDŁA**
  Jak Żwirko i Wigura zmienili oblicze polskiego lotnictwa
- **HISTORIA MARCA '68**
  Jak demonstracje studenckie poruszyły cały naród



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII



Związek Strzelecki – ćwiczenia w Zakopanem. Na czele kolumny idą: Józef Piłsudski (z lewej) i Kazimierz Sosnkowski (z prawej), kompanię prowadzi Mieczysław Ryś-Trojanowski

„Znalazłem Wodza”

Na wielu zdjęciach legionowych widać tuż obok Komendanta smukłą sylwetkę oficera – pod daszkiem maciejówki błyszczy inteligentny wzrok, a wąs dodaje dojrzałości i powagi. To jeden z najbliższych współpracowników Piłsudskiego, jego prawa ręka, człowiek, do którego miał olbrzymie zaufanie i którego darzył przyjaźnią: Kazimierz Sosnkowski. Generał Sosnkowski miał później zostać ministrem spraw wojskowych, generalnym inspektorem sił zbrojnych, a w trakcie kolejnej wielkiej wojny najpierw komendantem głównym Związku Walki Zbrojnej, następnie zaś Wodzem Naczelnym Polskich Sił Zbrojnych. Jak jednak przedstawiała się jego droga przed rokiem 1918? O tym słów kilka...

Tomasz Łysiak

eprasa.pl/4329e3eee2



Fot. NAC

Urodzony w 1885 r. w Warszawie Sosnkowski pochodził z rodziny, która od dawna pielęgnowała tradycje narodowowyzwoleńcze. Jego stryjeczny dziad Ignacy był bohaterem wojen napoleońskich, a potem powstania listopadowego. Kazimierz, wychowywany w patriotycznym domu, podjął wyzwanie rzucone przez poprzednie pokolenia i zaczął konspirować w strukturach PPS. Wziął udział w słynnej manifestacji na pl. Grzybowskim w 1904 r., a już rok później prowadził działalność niepodległościową w PPS, przyjmując pseudonim Ryszard. Na jego dalszych losach zaważyło jednak przede wszystkim spotkanie Piłsudskiego.

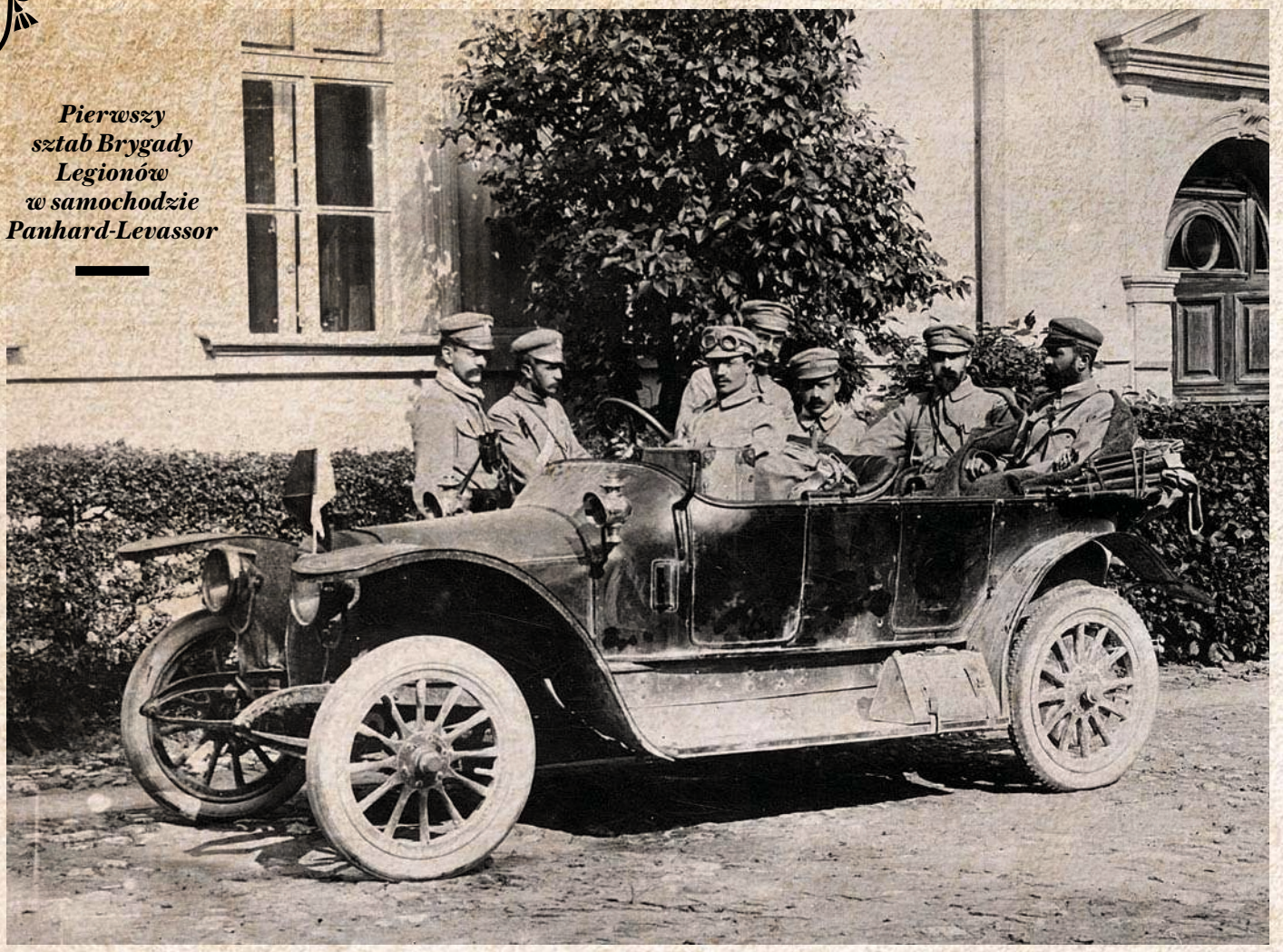
Organizacja Bojowa

Sosnkowski poznał go na zjeździe PPS-owskim w lutym 1906 r. To tam przyszły komendant Legionów kilkakrotnie zabierał głos, robiąc wielkie wrażenie na zebranych, w tym na Kazimierzu. Tak to wspominał Sosnkowski w wywiadzie udzielonym Konradowi Wrzosowi: „Duch jego przemówień porywał mnie. Ich urok polegał na niezwykłej sugestywności słowa; mowy jego były wspaniałą improwizacją, głośnem myśleniem. Lata późniejsze potwierdziły moje pierwsze wrażenia". Na owym lwowskim zjeździe Piłsudski mówił o konieczności walki zbrojnej o niepodległość Polski. Te idee, ten żar, ta wizja, ten duch żelaznej woli i jasność patriotycznego celu – dosłownie porwały Sosnkowskiego: „Słuchając słów Piłsudskiego, powziąłem postanowienie wstąpienia do Organizacji Bojowej. Po powrocie do Krakowa miałem pierwszą w mem życiu z Nim rozmowę. Piłsudski podkreślał, iż należy zdać sobie sprawę z tego, czem jest walka zbrojna w warunkach konspiracji; mówił, czem walka podobna grozi i jakich zalet charakteru wymaga. Już wówczas kładł On nacisk na to, co podnosił w pracy żołnierskiej: na wartości moralne, duchowe...". Ta rozmowa to był początek ich wieloletniej współpracy. Sosnkowski został przyjęty do Organizacji Bojowej, a potem wyjechał do Królestwa, gdzie został zastępcą komendanta okręgu warszawskiego. „Rozmowy z Piłsudskim i moja praca w organizacji utwierdziły mnie w przekonaniu, że zrobiłem dobrze, idąc za instynktem. Znalazłem Wodza". Potem Sosnkowski wyjechał na jakiś czas na studia zagraniczne do Włoch i Szwajcarii.

Związek Walki Czynnej

W końcu zaczęły się dziać rzeczy najważniejsze – w 1908 r. powstał Związek Walki Czynnej. Wrzos

eprasa.pl 4329e3eee2



Pierwszy sztab Brygady Legionów w samochodzie Panhard-Levassor

Fot. NAC

zapytał Sosnkowskiego, jak to właściwie było z jego założeniem, gdyż Piłsudski w swoich wspomnieniach napisał, że to właśnie „Ryszard" był jego twórcą. Sosnkowski opowiedział więc o znamiennej rozmowie, którą odbyli obaj, on i Komendant, w jednej z lwowskich kawiarni. To w jej trakcie Piłsudski przedstawił sytuację oraz dalsze możliwe plany i działania. Powiedział, że etap Organizacji Bojowej trzeba zamknąć, po czym rozpocząć coś nowego; coś, co jeszcze bardziej zbliżałoby do rozpoczęcia możliwej akcji zbrojnej. To, co przedstawił w zamyśle, jeszcze bliżej niesprecyzowane, postanowił przekuć na konkret Sosnkowski. I zabrał się do organizowania związku. Gdy Piłsudski wrócił z akcji w Bezdanach (gdzie bojowcy napadli na rosyjski pociąg, aby pozyskać pieniądze na działalność), zręby

Sosnkowski był nie tylko współzałożycielem Związku Walki Czynnej, lecz również Związku Strzeleckiego, zaczynu późniejszych Legionów

Związku Walki Czynnej były już gotowe. „Komendant nie tylko aprobował moją inicjatywę, lecz objął kierownictwo prac związku i obronił jego istnienie na forum PPS" – wspominał Sosnkowski.

Legiony

Sam Sosnkowski był nie tylko współzałożycielem ZWC, lecz również Związku Strzeleckiego, zaczynu późniejszych Legionów. Wszystkie działania miały na celu jedno: przygotowanie młodzieży do walki zbrojnej o niepodległość. Te plany miały się urzeczywistnić, gdy młodzi chłopcy ze Strzelca, Związku Strzeleckiego, Drużyn Strzeleckich, Sokoła czy Drużyn Bartoszowych, w związku z rozkazem mobilizacyjnym Piłsudskiego, zbierali się w Krakowie. Przed Sosnkowskim pojawiło się kolejne ważne zadanie: miał ich nie tylko poprowadzić do boju,

eprasa.pl/4329e3eee2

Jan Lechoń

Polonez artyleryjski

(fragmenty)

To major Brzoza kartaczami
w moskiewskie pułki wali.

Siew pada w ziemię szrapnelami,
I dym i grom i burza z nami,
Piekielny deszcz ze stali.

[…]

Od ognia czarni, dymem syci
I wiecznie czuwający.
Armaty — grom i ból i wici,
Baterja ryknie w głos, gdy chwyci
Wasz szept zmartwychwstający.

Miarowo dudni, zcicha, zcicha,
Bez przerwy, bez ustania!
Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania...

To major Brzoza kartaczami
w moskiewskie pułki wali.

Czy przeciw nam wy, czy też z nami?
Gadamy do was kartaczami;
Nie dusi dym i krew nie plami,
I jeno ogień pali.
Za nami będą mówić ciszą
I łzami i modlitwą...
Armatom ognia!! Niechaj dyszą!
Hej! Ognia! Ognia! Słyszą, słyszą,
Że w bitwie idziem bitwą.
Konnicy koniem, zbrojną ręką
Po swoje iść piechocie.
Jaką grał Bem pod Ostrołęką,
Taką nam zagrać dziś piosenką
I w pułk moskiewski rozwinięty
Chrzest słać, piekielny chrzest i święty
Kapłanom przy robocie.
[…]

Słyszycie! Zcicha, zcicha, zcicha,
Warkotem, bez ustania...
Na miły Bóg! — Czy ziemia wzdycha?
Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha.

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania.
Ani się pyta kto dziś z nami
Baterja wściekłej stali —

To major Brzoza kartaczami
w moskiewskie pułki wali.



Fot. NAC

Kazimierz Sosnkowski przyjmujący meldunek. Widoczny trzeci od lewej także Edward Rydz-Śmigły

lecz także wychowywać. To on odprawiał wychodzący na pierwszy zwiad patrol Beliny-Prażmowskiego (o Belinie będę pisał w odcinku o ułanach), on wysyłał I Kompanię Kadrową na wymarsz ku granicy rankiem 6 sierpnia 1914 r. i on jako szef sztabu przejmował dowodzenie, najpierw 1. pułkiem, a potem już I Brygadą, w chwilach gdy Piłsudskiego z nimi nie było. Jak 13 sierpnia w Kielcach, w trakcie starcia z Rosjanami, i jak podczas bitwy pod Łowczówkiem – twardego, krwawego zmagania z Rosjanami w trakcie śnieżnej zimy, i to w okresie Bożego Narodzenia. Legioniści śpiewali kolędy, dzielili się chlebem zamiast opłatkiem, a chwilę potem musieli walczyć na śmierć i życie. To za dowodzenie w tej bitwie Sosnkowski został odznaczony przez Austriaków Orderem Żelaznej Korony, a potem, już w wolnej Polsce, Orderem Virtuti Militari. Bił się dalej, w kampanii na Wołyniu, w bitwie pod Konarami, Makarowem, Kowalikami, Wysokiem Litewskiem i pod Czartoryskiem. W lutym 1916 r. wszedł w skład tzw. Rady Pułkowników, a w trakcie morderczej, największej legionowej bitwy pod Kostiuchnówką walczył z Rosjanami, zajmując pozycję tam, gdzie był VI batalion dowodzony wówczas przez kpt. Mariana Kukiela. I właśnie tam, gdzie bohaterskich czynów dokonywał Albin Fleszar „Satyr” – na reducie Piłsudskiego. Juliusz Kaden-Bandrowski swoje reportaże o Legionach „Piłsudczycy” zadedykował „Szefowi Sztabu I. Brygady Podpułkownikowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu”. Nie przez przypadek. I nie z racji zajmowanej przez Sosnkowskiego funkcji. Kaden-Bandrowski wiedział, że tak jak Legiony to Piłsudski i jego duch, tak nie da się wyjaśnić owego legionowego fenomenu bez odniesienia do prawej ręki Komendanta. Los ich obu po raz kolejny miał się spleść w roku 1917. Wtedy, gdy doszło do tzw. kryzysu przysięgowego, a olbrzymia większość żołnierzy I Brygady odmówiła złożenia przysięgi na wierność Niemcom. To właśnie wówczas Józef Piłsudski i Kazimierz Sosnkowski zostali aresztowani oraz wywiezieni do Magdeburga. Tam, w więzieniu, mieli doczekać do listopada roku 1918. I wracać po to, by wspólnie wydźwignąć Polskę z ponad wiekowej tiurmy w Niepodległość. •

Następne wydanie dodatku z cyklu „Bohaterowie Niepodległej” ukaże się 26 marca

eprasa.pl 4329e3eee2

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER



Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce**.

paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płacić za prowadzenie rachunku, wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych, także prowadzonych w innych bankach, oraz z powiązanego rachunku indywidualnego) LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie Rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców" objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl 4329e3eee2



Wielki sen

Już za chwilę, z 4 na 5 marca, oscarowa noc, zatem i wielkie wyczekiwanie na naszą wygraną. Polska animacja zawsze była jedną z najlepszych na świecie

Z Dorotą Kobielą, współreżyser nominowanego do Oscara „Twojego Vincenta", scenarzystką i producentką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. East News/Bartosz Krupa

eprasa.pl 4329e3eee2

Zdarza się pani po przebudzeniu nie wiedzieć, w jakim miejscu na świecie się pani znajduje?

Dorota Kobiela: Im bliżej do oscarowej nocy, tym częściej. Od czerwca, czyli czasu premiery „Twojego Vincenta", w Annecy (na 41. Międzynarodowym Festiwalu Filmów Animowanych), zaczął się tour po świecie. Jego zasięg, tempo, rozmach przerosły nasze oczekiwania. Chwilami naprawdę można się poczuć jak na rollercoasterze. Tyle że ten najwyższy poziom emocji osiągnięty, jak się wydawało, w związku z oscarową nominacją wciąż się podnosi.

Tuż przed naszą rozmową wróciła pani wraz z mężem, współreżyserem i współscenarzystą Hugh Welchmanem, z Londynu i gali brytyjskich Oscarów – nagród BAFTA. Ciśnienie jeszcze podskoczyło?

Zwłaszcza gdy w kuluarach się dowiedzieliśmy, jak niewiele dzieliło nas od zwycięzcy [w kategorii pełnometrażowa animacja – przyp. red.]. „Coco" w reżyserii Lee Unkricha jest megaprodukcją, za którą stoją połączone siły Disneya i Pixara. To film skierowany do szerokiej familijnej widowni i tak też z rozmachem promowany, by zwrócić ogromny, zwłaszcza z naszej perspektywy, budżet (175 mln dol.), a także niemałe nakłady na promocję. Tymczasem „Twój Vincent" kosztował 5 mln dol., od początku był adresowany do dorosłego widza, co mocno ogranicza jego zasięg, i nie mieliśmy przecież dodatkowych pieniędzy na reklamę.

A jednak trafił, i jeszcze dotrze za sprawą zakupionych praw, do imponującej rzeszy odbiorców. Przypomnijmy liczby.

Do tej pory zobaczyło go ponad 5 mln widzów. W Stanach Zjednoczonych ponad milion, w Polsce 400 tys. Liczby te na tle światowych rozliczeń i wyrwane z kontekstu nie wydają się tak spektakularne, jak w rzeczywistości są. Mówimy o animacji skierowanej do zawężonego kręgu dorosłych widzów. W najśmielszych snach nie oczekiwaliśmy podobnego wyniku. Zresztą przebijającego w globalnym box office'ie wszystkie dotychczasowe polskie produkcje.

Do ilu krajów film został sprzedany?

Nie zawsze są to kraje, czasem znacznie większe rejony świata. Tu liczby są również imponujące – 135 terytoriów. Przyznam, że nadal te zestawienia przyprawiają mnie o zawrót głowy. W czasie pracy nad filmem to film był najważniejszy. Starałam się dać z siebie maksimum. Zawodowe i artystyczne. A potem przyszła premiera – „Twój Vincent" trafił do ludzi, a my wraz z nim ruszyliśmy w zawrotną podróż. Na festiwale, prestiżowe filmowe ceremonie i spotkania ze zwykłymi widzami.

Wciąż jesteśmy oszołomieni tym, jak wiele osób pokochało nasz film, w ilu miejscach wzbudził gorące reakcje. Od pierwszego festiwalu w Annecy, z którego wyjechaliśmy z nagrodą publiczności, od ludzi, którzy przyszli zobaczyć ożywione obrazy van Gogha, słyszymy, że obejrzeli prawdziwy film. Dostali na ekranie nie tylko plastyczne wizje, lecz i bohaterów, ich historie, emocje. Niezwykłe są dla nas także doniesienia czy to z jednego z amerykańskich miasteczek, czy z kina w Katowicach, że od kilku miesięcy nieprzerwanie „Twój Vincent" przyciąga ludzi.

Wspomnijmy tutaj tych kilkanaście statuetek (w tym Europejską Nagrodę Filmową) i nominacji, m.in. do Złotego Globu, a teraz Oscara.

„Twój Vincent" jest szóstą animacją z udziałem Polaków, która walczy o najważniejszą nagrodę filmową. Na dodatek w pełnym metrażu, rywalizując z amerykańskimi gigantami. Mam także dodatkową satysfakcję – jestem szóstą kobietą nominowaną do Oscara wśród twórców filmów pełnometrażowych. Obiektywnie rzecz biorąc, to osiągnięcia, które – łącznie z ogromną, światową widownią – nie zdarzyły się w polskim kinie. Niezależnie więc od werdyktu Akademii już czujemy się wygrani. Nie rozumiem tonu relacji, choćby po brytyjskich nagrodach, i tytułów typu: „»Twój Vincent« znów niedoceniony". A my przecież osiągnęliśmy niebotycznie wiele.

Wasz film wędruje przebojem przez świat, ale nie od dziś wiadomo, że nawet najbardziej pionierskie i wyjątkowe dzieło trzeba członkom Amerykańskiej Akademii przedstawić. Jak to wyglądało?

Polski Instytut Sztuki Filmowej stanął na wysokości zadania, promując „Twojego Vincenta" w amerykańskiej prasie i mediach, my udzieliliśmy



Dorota Kobiela i Robert Gulaczyk (w roli Vincenta van Gogha) w czasie prac studyjnych nad filmem

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl 4329e3eee2

wielu wywiadów, przede wszystkim jednak wysłaliśmy film do akademików zajmujących się animacją. Niestety Amerykańska Akademia Sztuki i Wiedzy Filmowej liczy 6 tys. członków. Są podzieleni na sekcje i do tej pory głosowali w ich obrębie, mając obowiązek obejrzenia wszystkich kandydatów. Od tego roku mogą wskazać filmy z każdej sekcji bez znajomości wszystkich rywalizujących tytułów.

Co to dla „Twojego Vincenta" oznacza?

Bądźmy realistami, członkowie Akademii w przeważającej liczbie są związani z wielkimi amerykańskimi studiami. Pewnie wszyscy, choćby z własnymi dziećmi czy wnukami, zobaczyli „Coco", film, który na dodatek zgarnął statuetki na prognozujących oscarowe wyniki Złotych Globach i nagrodach BAFTA. Wynik wydaje się przesądzony, chociaż Oscary czasami potrafią zaskoczyć. I może to będzie nasz przypadek?

Oscary to także czerwony dywan. W jakiej kreacji wystąpi pani 4 marca?

Kiedy zaczęłyśmy z Gosią Baczyńską myśleć o sukni, szukałyśmy motywów zaczerpniętych z malarstwa van Gogha, ale Vincent to kolory, a na tegorocznej gali ma obowiązywać czerń, która pojawiła się już podczas Złotych Globów jako znak solidarności z ofiarami przemocy seksualnej w Hollywood.

Z tego, co pamiętam, przy czerni pojawiały się kolorowe akcenty...

No tak, zawsze można zrobić jakąś wariację na temat „Gwieździstej nocy" [jeden z obrazów van Gogha, który pojawia się w wizualizacjach w „Twoim Vincencie" – przyp. red.].

To pani ulubiony obraz?

To się zmienia. Jest wiele prac van Gogha, które uwielbiam. Za różne rzeczy. W zależności od tego, co się u mnie dzieje danego dnia. Bardzo lubię „Żniwiarza" z zielono-niebieskim dziwnym niebem. I „Nocną kawiarnię", w której ściany są czerwone i wszystko jest takie mroczne. Vincent napisał o tym wnętrzu: „To miejsce, w którym człowiek może popełnić zbrodnię i oszaleć". Pamiętam, że kiedy tę scenę malowaliśmy, trudno było nam znaleźć właściwy odcień czerwieni.



Dorota Kobiela wraz z mężem Hugh Welchmanem, współreżyserem i współscenarzystą

Fot. Copyright D. Bouchet_CITIA

Płomienny kolor podczas tegorocznej gali raczej nie przejdzie. A jak dopełni pani oscarową kreację strój współproducenta filmu, a prywatnie męża Hugh Welchmana?

Mężczyźni mają pod tym względem łatwiej, obowiązują smokingi, ale Hugh będzie miał muszkę z elementem kwitnących migdałów, które Vincent van Gogh namalował dla swojego bratanka.

Czy znają już państwo reguły oscarowego show, są jakieś – poza strojem – wymogi?

Z czysto praktycznych rzeczy wiemy, że trzeba przyjechać do Los Angeles wcześniej, bo sporo się dzieje wokół ceremonii. A w ten wieczór, nawet jeśli się mieszka o dwa kroki od miejsca gali, trzeba podjechać pod czerwony dywan limuzyną. I przy wychodzeniu z sali nie wolno zapomnieć zaproszenia, bo można mieć problem z powrotem.

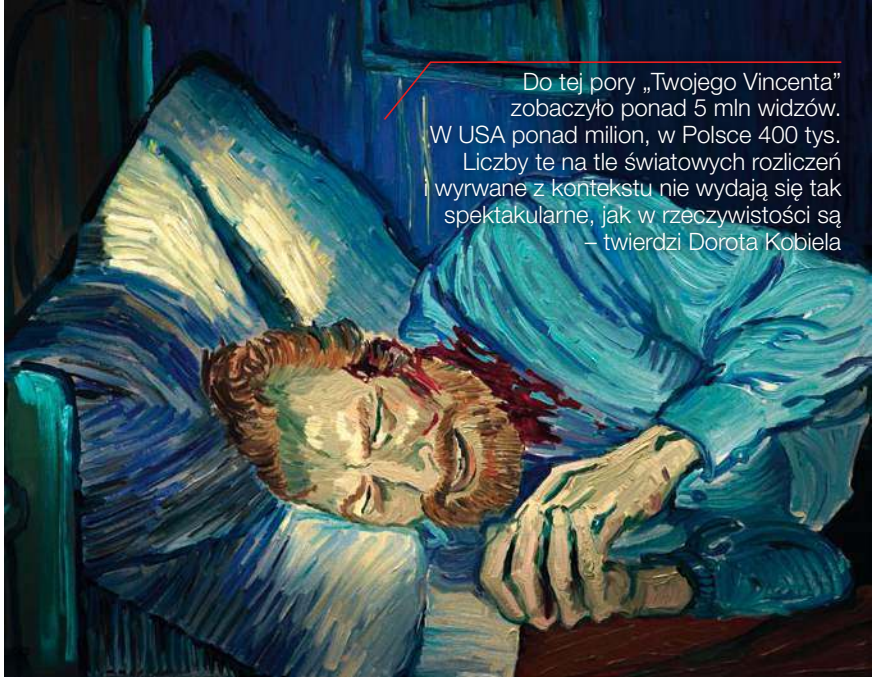
Nową nadwiślańską tradycją staje się oglądanie transmisji z oscarowej gali podczas nocnych spotkań, mniej lub bardziej oficjalnych. Wieczorowe suknie mają obowiązywać w Warszawskiej Szkole Filmowej Macieja Ślesickiego i Bogusława Lindy.

Od jakiegoś czasu szykuję się na spotkanie z Maciejem Ślesickim. Żeby mu podziękować. Za to, że parę lat temu we mnie uwierzył i umożliwił studiowanie w swojej szkole. To jeden z tych ważnych ludzi, którzy wpłynęli na moją życiową drogę.

Ale najdłużej był chyba z panią (i wciąż jest) Vincent van Gogh. Śni pani jego obrazami?

Na różnych etapach powstawania filmu malarskie kadry – pełne prace, ich fragmenty i parafrazy – towarzyszyły mi też w snach, ale przyznam, że w najgorętszym czasie, gdy byliśmy już bardzo zmęczeni, zapadałam w sen bez snów.

eprasa.pl 4329e3eee2



Do tej pory „Twojego Vincenta” zobaczyło ponad 5 mln widzów. W USA ponad milion, w Polsce 400 tys. Liczby te na tle światowych rozliczeń i wyrwane z kontekstu nie wydają się tak spektakularne, jak w rzeczywistości są – twierdzi Dorota Kobiela

Fot. Mat. prasowe

„Twój Vincent” wciąga widzów w świat wielkiego postimpresjonisty. Jak długo pani w nim przebywa?

Od czasów liceum plastycznego, oglądania jego obrazów także w różnych galeriach, potem studiów w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Van Gogh był jednym z bohaterów mojej pracy magisterskiej.

Przypomnijmy jej temat.

Pisałam o tym, jak choroba psychiczna wpływa na twórczość i jak twórczość wpływa na naszą psychikę. Wtedy również bardzo się zagłębiłam w listy pisane przez artystę do jego brata Theo. Zobaczyłam w nich człowieka zupełnie innego, niż pokazywały go książki i filmy, w tym przeniesiona na ekran „Pasja życia” (1956) z Kirkiem Douglasem w roli głównej czy nakręcony w 1990 r. przez Roberta Altmana „Vincent i Theo” (malarza zagrał Tim Roth).

Widziałam wrażliwego intelektualistę, lecz i człowieka głodnego artystycznych doznań, czerpiącego z różnych źródeł: z książek, wystaw, rozmów; wcale nie zagubionego. Od czasu gdy tuż przed trzydziestką na dobre się zajął malarstwem, świadomie idącego własną drogą. Zwłaszcza w ostatnich dwóch latach, gdy trafił do Arles, gdzie dopracował jedyny w swoim rodzaju styl. W tym czasie został też dostrzeżony przez krytykę, otwierały się przed nim nowe możliwości. Do takiej sytuacji nie przystaje teza o samobójstwie. W naszej realizacji rozważamy inne opcje.

Nawiązując do stylu kina noir, wprowadzili państwo do filmu wątek śledztwa, przede wszystkim jednak pozostając w malarskiej wizji van Gogha. Dosłownie w jego obrazach.

I od obrazów zaczął się ten film. Przeglądałam album, przywołując także prace, które znałam z innych źródeł, i zastanawiałam się, jak można by opowiedzieć historię ich twórcy jego własnymi oczami, wchodząc w przestrzeń i sytuacje, które zatrzymał w ramie; między ludzi, których pokazał. Cały proces tworzenia był bardzo z malarską wizją związany.

Obrazy były kluczem, portalem i celem w tym niezwykłym projekcie – pierwszego na świecie filmu stworzonego w technice animacji malarskiej. Czują się państwo pionierami?

Teraz już nie. Zostało to rozłożone na siedem lat, ale na początku proponowanie czegoś, czego do tej pory nie było, czego nie można było z niczym porównać, bardzo utrudniało nam zwłaszcza finansowe rozmowy. Generalnie odradzano nam wchodzenie w tak żmudny twórczy proces. Gdyby nie Hugh, który uwierzył w ten projekt, i w siedmiu minutach, które chciałam na początku zrealizować, dostrzegł potencjał pełnego metrażu [dziś film trwa 92 min – przyp. red.] i pomógł wprowadzić w ruch artystyczną machinę (w najgorętszym czasie stop-klatki malowało 125 malarzy z kilkunastu krajów), nie byłoby tego przedsięwzięcia.

„Twój Vincent” sporo w pani życiu zmienił?

Naprawdę sporo. Czekając na przyznane mi z PISF pieniądze na krótką animację o van Goghu, podjęłam pracę w wytwórni BreakThru Films. Tej, dzięki której powstał nagrodzony Oscarem „Piotruś i wilk” (2006) w reżyserii Suzie Templeton. Właśnie zaczynali w Łodzi film „Magic Piano” o Chopinie. Miałam tam zostać dwa miesiące, ale poznałam Hugh Welchmana, znakomitego producenta i fantastycznego mężczyznę. Teraz jest moim mężem. A także wciąż inspirującym i wspierającym zawodowym partnerem.

Udało się nam porozmawiać dosłownie w biegu. Na chwilę wpadli państwo do Polski, do domu. Gdzie on jest?

W Gdyni. Pierwszy był w Bytomiu, gdzie się urodziłam. Drugą część mojego życia spędziłam w Warszawie, przez chwilę mieszkaliśmy w Łodzi, tam się pobraliśmy. Od pięciu lat nasz dom jest na Wybrzeżu.

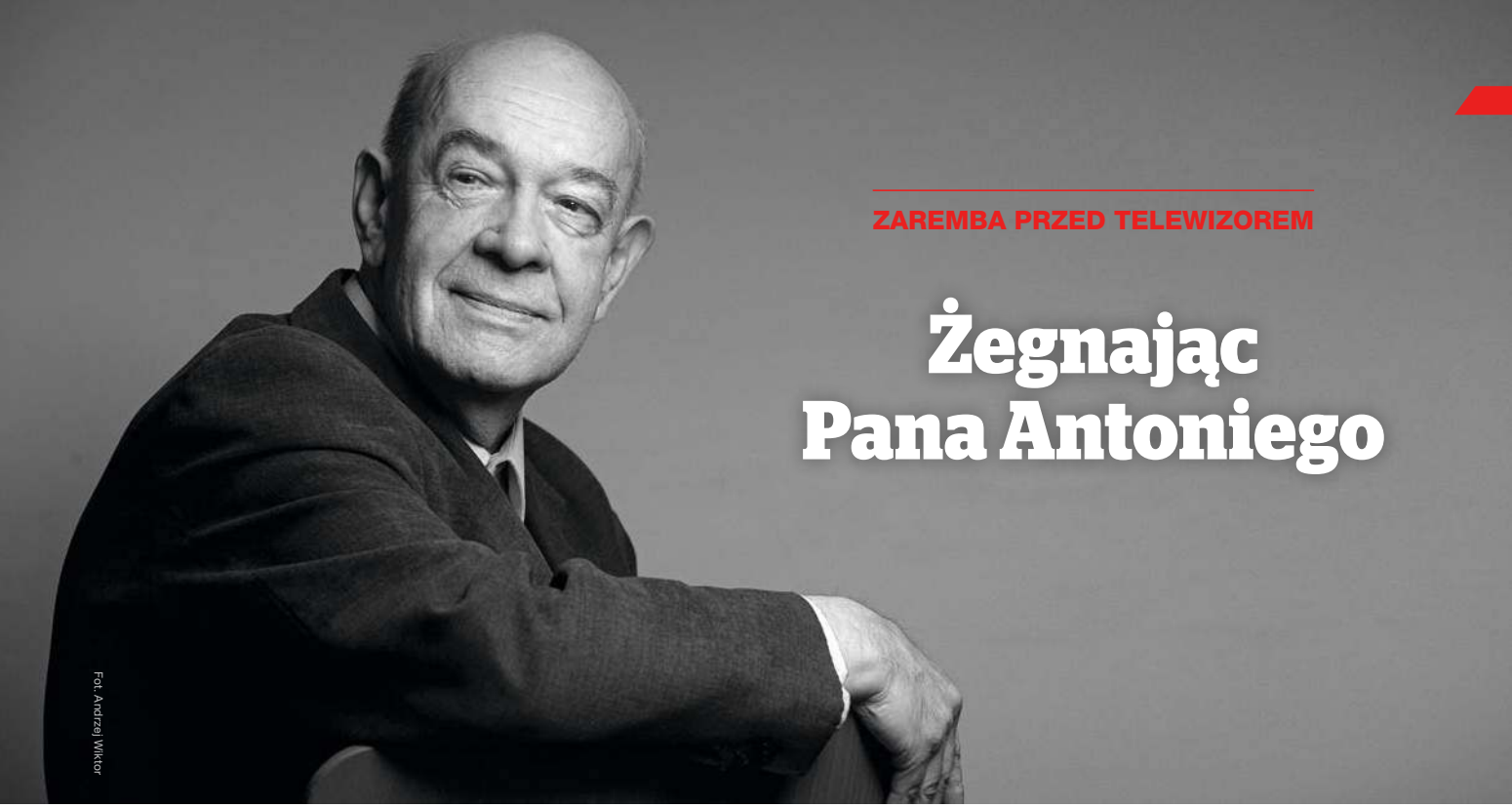
Otwarty czy raczej w stylu „my home is my castle”?

W ciągu ostatnich miesięcy to raczej miejsce, w którym zatrzymujemy się przejazdem, na moment, który naszemu kotu nie wystarcza na przeprosiny, bo potem znów go zostawiamy. Żeby zobrazować sytuację: dwa tygodnie temu weszłam do domu i zobaczyłam... choinkę, a właściwie to, co z niej zostało: bez połowy bombek, które spadły razem z igłami. Taki klimat. Ale przynajmniej jesteśmy u siebie.

Kiedy nasza rozmowa się ukaże, będą państwo już w Stanach, a potem...? Obudzi się pani po oscarowej gali i co dalej?

Czekają nowe projekty, realizowane w tej samej co „Twój Vincent” technice. I z tym samym zespołem. Zostałam nominowana nie tylko do Oscara, lecz i do roli dyrektora kreatywnego BreakThru Films. Niezależnie więc od tego, co się wydarzy, zakasuję rękawy i zabieram się do pracy.

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Andrzej Wiktor

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Żegnając Pana Antoniego



PIOTR ZAREMBA

Piszę w dzień pogrzebu Antoniego Krauzego. W przygotowanym na gorąco wspomnieniu przedstawiłem go jako człowieka, który nie godził się z ludzkim bólem, chciał wyrazić swój sprzeciw. Myślę, że to był motyw większości jego filmów. Także „Smoleńska".

TVP Kultura przypomniała „Czarny czwartek" sprzed siedmiu lat. Miałem wtedy pretensje do reżysera jako autora scenariusza, że jednym z głównych wątków uczynił opowieść o robotniku, który Grudzień '70 obserwuje z bezpiecznej odległości, bawiąc się z dzieckiem. A potem ginie przypadkiem, zastrzelony na stacji kolejki. Mnie ciekawili chłopcy, którzy biegali po gdańskich ulicach, rzucając kamieniami w milicję. Chciałem się więcej dowiedzieć – o ich motywach, charakterach.

Ale rozumiem, że Krauze chciał się pochylić nad każdym. Pokazać cierpienie, także takie całkiem już „niezasłużone" (choć żadne nie jest zasłużone) zwykłych ludzi.

Słuchał godzinami relacji uczestników zdarzeń, potem nie mógł nocami spać. Na plan jego filmu przychodzili tacy ludzie jak Wiesław Kasprzycki. Jako siedemnastoletni uczeń został zawleczony do ZOMO-wskiej katowni i pobity prawie na śmierć. W momencie powstawania filmu miał prawie sześćdziesiątkę i długo nie chciał opowiadać, co przeżył. Scena jego masakrowania jest jedną z najbardziej wstrząsających. Pamięta się ją zderzoną z na wpół obłąkanymi monologami Zenona Kliszki (Piotr Fronczewski) i Wiesława Gomułki (Wojciech Pszoniak). To ich szaleństwo uczyniło z Trójmiasta jakby strefę okupowaną.

Kino jest również po to, by dać świadectwo. Krauze to wiedział, czuł. Jakże niemodny w czasach Quentina Tarantino, kiedy ludzkie cierpienie stało się tworzywem do filmowych zabaw.

TVP1 przypomniała z kolei dwa odcinki serialu „Akwarium". W połowie lat 90. Krauze sięgnął po książkę Wiktora Suworowa pokazującego od kulis mechanizmy rządzące sowiecką GRU. Pisałem, że ten reżyser przemawiał na ogół jakby półgłosem. Rzadko krzyczał, wolał ascetyzm, nawet szarość. Tu groza machiny eksportu terroru jest przyćmiewana monotonią biurokratycznych procedur. Tylko czasem pojawiają się mocne akordy: np. kiedy głównemu bohaterowi pokazuje się film z paleniem autentycznego „zdrajcy".

Serial grany po części przez rosyjskich aktorów z ich charakterystycznymi fizjonomiami (choć także przez świetnego Janusza Gajosa) specjalnie nas wtedy nie poruszył. Dariusz Gawin i Dariusz Karłowicz domniemywali w „Trzecim punkcie widzenia", że nie sprzyjał duch tamtej epoki: zwycięstwo Kwaśniewskiego zwiastowało ucieczkę od historii, rozliczeń. Skromny Pan Antoni upierał się przy prawdzie, świadectwie.

I krzyku tu nie ma, ale jest historia, jak to główny bohater w ramach krajowych szkoleń pogrąża nieznanego sobie człowieka – „werbując go" i skazując w ten sposób na proces o szpiegostwo. Tamten znika nam z oczu – jak Ikar z opowiadania Iwaszkiewicza. Ale w dobie pozbywania się kłopotliwych wątków w filmach, gdy kamera porzuca pokonaną postać, bo odegrała już swoją rolę w fabule, a dalsze jej cierpienie to balast dla widzów, Krauze pozostawia nam ten epizod w pamięci – jak cierń. On zresztą rzuca mrok na bohatera narratora. Do końca drugiego odcinka nie znamy motywów Wiktora Suworowa, jawi się nam jako automat. I to budzi grozę największą.

Antoni Krauze miał między filmami długie przerwy, nie podobał się ani władzom stanu wojennego, ani producentom z III RP. A między tymi przerwami wstrząsał. Po prostu.

eprasa.pl 4329e3eee2

Stary Teatr na rozdrożu. Kto go zdobędzie?

„Gazecie Wyborczej" przedstawienie „Masara" powinno się właściwie podobać. Nie podoba się, bo powstało za następcy Jana Klaty



Fot. Magdy Hueckel/Stary Teatr



PIOTR ZAREMBA

Zgromadzeni w krakowskim Starym Teatrze na premierze „Masary" widzowie (sporo znanych twarzy) mieli świadomość, że to test. Uda się nowemu dyrektorowi Markowi Mikosowi, czy nie uda. Teatr nadal gra głównie spektakle z czasów Jana Klaty. Pierwsza premiera, „Dom Bernardy Alba" została obwołana przez recenzentów klęską. Mikos to wciąż negatywny bohater „Wyborczej" czy „Newsweeka". A Klata to symbol oporu przeciw władzy PiS, choć wcześniej, przed przegraną w konkursie, usilnie do tej władzy się umizgiwał.

KOMU SIĘ PODOBA?

„Masara" to współczesne dzieło litewskiego dramaturga Mariusza Iwaškeviciusa, w reżyserii przybysza z Ukrainy Stanisława Mojsiejewa. Teoretycznie i zagraniczni twórcy mieli gwarantować bezpieczny odbiór, i tematyka – inspiracją są dramatyczne zdarzenia w Donbasie, wokół których w Polsce panuje względny konsens. Jedno trzeba powiedzieć: trudno mówić, przynajmniej na premierze, o bojkocie. Sala była pełna.

Ale to koniec dobrych wiadomości. Konserwatystów stylistyka przedstawienia, pełnego drastyczności i wulgaryzmów, raczej nie pociągnie. Podobno na Ukrainie aktorzy nie chcieli tego grać z tych właśnie powodów. W Krakowie na premierze sprawdzianem była krytyczna reakcja nestorki krytyków teatralnych, związanej z prawicą Elżbiety Morawiec.

Z kolei pierwszy recenzent „Gazety Wyborczej", szef jej krakowskiego oddziału Michał Olszewski, postawił tezę, że „Masara" to kopia teatru Klaty. Ale kopia nieudana, przy czym dlaczego nieudana, z tekstu Olszewskiego nie bardzo wynika. Jego pasja polemiczna zaszła tak daleko, że znaczną część recenzji poświęcił mojemu przyjazdowi do Krakowa na premierę. I dowodzeniu, że się naciąłem, bo skoro zmiany nie ma, po co było się pozbywać Klaty.

Recenzent przypomniał moje zarzuty wobec Klaty o uprawianie kiepskiej publicystyki i sam stawia podobne temu przedstawieniu. Ale skoro publicystyka w teatrze jest dobra, dlaczego tu rażą go wygłaszane przez aktorkę bezpośrednio do widowni tyrady na temat konieczności obrony Ukrainy przed rosyjską agresją? Czym to się różni od połajanek na widowiskach Klaty? Albo hejterskich tyrad ze sceny na „Klątwie"? U Olszewskiego pojawiają się skojarzenia z „patriotyczną wieczornicą". Wiece w teatrze są dobre tylko wtedy, gdy treści są „nasze"?

ROZLICZANIE KLATY

Jeszcze parę uwag na temat mojego stosunku do Klaty, którego ministerstwo nie usuwało przed końcem kadencji, ale po prostu wymieniło przy okazji konkursu (Stary jako jedna z niewielu scen w Polsce jest „rządowy"). Olszewski sięgnął do moich tekstów w internecie. Odkrył recenzję z wrocławskiej „Sprawy Dantona" i artykuł poświęcony zmianie w Starym Teatrze. Przekleił kilka cytatów, ale bez zrozumienia.

Nie jestem, choć powtarza to inny recenzent z Czerskiej Witold Mrozek, wyznawcą jednego typu teatru, czy nazwać go mieszczańskim, czy staroświeckim. „Sprawa Dantona" Stanisławy Przybyszewskiej w wersji Klaty raziła mnie nie tyle z powodu nowoczesnych efektów dodanych do tekstu o francuskiej rewolucji z XVIII w., ile z powodu tego, że formalne sztuczki pokrywały tam intelektualną pustkę przesłania.

eprasa.pl 4329e3eee2

Ostatnio oglądałem w Teatrze Narodowym „Śmierć Dantona" Georga Büchnera w wersji wielce nowoczesnej Barbary Wysockiej i nie odrzuciłem jej śmiałych teatralnych trików, łącznie z jej własną muzyką, bo o coś w tym spektaklu chodziło. Klata w wielu swoich inscenizacjach przypominał mi coraz młodszego nastolatka. Czy miałkość intelektualna przesłań to dobra rekomendacja dla jednej z dwóch narodowych scen w Polsce?

Na dokładkę największe moje opory dotyczą igraszek z tekstami zmarłych autorów, którym zmienia się wszystko, łącznie z wymową podstawowych wątków czy postaci. Bo zabawa cudzymi zdaniami jest najłatwiejsza. Gdyby Klata pisał w poetyce swoich inscenizacji oryginalne teksty sztuk (jak Strzępka i Demirski), mógłbym się z nimi zgadzać lub nie, ale byłby to materiał do poważnej oceny.

Tu litewski autor napisał własną sztukę o swoich czasach. Można się zżymać, że, jak chce Olszewski, nie ma w niej wiele nowego. Ale nie dziwi mnie poetyka scenicznego okrucieństwa, bo tak się dziś często opowiada o świecie. Nie bulwersują takie zabiegi jak przemowy wprost do widzów czy obsadzanie jednego aktora w kilku rolach. Nie jest to teatr Klaty, bo nie tym wyróżniały się jego infantylne zabawy „Sprawą Dantona" czy „Królem Learem".

„MASARA" O CZYMŚ

Czy to znaczy, że jestem entuzjastą „Masary"? Chwilami byłem zaciekawiony, chwilami zmęczony banalnymi frazami. Ale, i tu będę się spierał, nie jest to sztuka nafaszerowana aż tak bardzo publicystyką. Zwłaszcza drugi akt próbuje operować metaforą wychodzącą ponad proste deklaracje. Momentami bardziej udaną, momentami mniej.

W pierwszym akcie mamy opowieść o zestrzeleniu holenderskiego samolotu nad Ukrainą, przełamaną w pewnym momencie ciekawym zabiegiem, którego nie zdradzę, bo nie chcę spojlerować. Akt drugi umieszczony jest w miejscu nazwanym Piekłem. Nadal mamy najwięcej nawiązań do okupacji Donbasu, ale też próbę zbudowania szerszej opowieści o wszystkich miejscach, w których współcześnie dzieje się przemoc. O świecie bez reguł, w którym jedna ze stron powtarza: „Przecież nas tu nie ma. Udowodnijcie, że tu jesteśmy".

Radosław Krzyżowski, jeden z liderów aktorskiego buntu przeciw Mikosowi, gra, bardzo dobrze, Masarę. Kto to taki? Przywódca najemników z Donbasu? Postać symbolizująca Rosję? A może jeszcze ktoś więcej, skoro w finale przyznaje się tyleż do komunizmu, ile do Buchenwaldu czy Auschwitz? Diabeł? Uosobienie nagiej siły?

Chwilami to postać groźna. A chwilami mnie kojarzył się z Neganem, tanio demonicznym bohaterem trzech ostatnich sezonów „Żywych trupów", serialu wciąż pokazywanego na Fox. Negan zabijający ludzi pałką w takt obłędnych tyrad bardziej męczy, niż przeraża. Krzyżowski jest do niego nawet fizycznie podobny. I tak jest z całą resztą. Momenty przejmujące przeplatają się z nieco nużącą rozprawą o przemocy. Były choćby tysiące filmów o tym.

Na drugą nogę mogę jednak powiedzieć, że w kilku momentach dotknięto pasjonujących debat, jak wtedy, gdy Krzyżowski, jeszcze w innej roli, broni pod koniec pierwszego aktu racji prawicy próbującej zmobilizować polskie społeczeństwo do obrony przed wrogami. Zdaje się, że w każdym kraju te rozmowy z widzami (także aktorki mówiącej „jak z patriotycznej wieczornicy") są zmieniane pod miejscowe realia. Ivaškevicius prawicowca potępia. Ale napisane i zagrane jest to tak, że wnioski nie muszą być jednoznaczne. To siła tego scenicznego dyskursu.

Nie wiem, na ile zamierzona siła, bo w radiowej Trójce Litwin podtrzymywał poprawny politycznie wydźwięk całości. Odżegnywał się nawet od antyrosyjskiej wymowy (co charakterystyczne, ukraiński reżyser mniej), mówił o zagrożeniu nacjonalizmem, o podważaniu tolerancji. To się powinno podobać „Wyborczej", ale nie może, skoro grają to u uzurpatora Mikosa. Olszewski twierdzi, że ja jestem skazany na zachwyt, bo to teatr następcy Klaty. Jak widać, nie jestem. To on musi kręcić nosem.

MIKOS, CZYLI KTO?

Notabene „Wyborcza" toczy wojnę z przeszłości. Mikos, który w tym sezonie nie wystawi już niczego poza „Gouldem", właściwie monodramem na małej scenie, jest skazany, zdaje się, na kompromis z radą artystyczną zdominowaną przez zbuntowanych aktorów. Uważa się, że w sezonie następnym wrócą więc niektórzy twórcy z czasów Klaty: Michał Zadara czy Paweł Miśkiewicz.

Z nieoficjalnych wieści wynika, że Mikos nie zdradza planów artystycznych. Ale odrzuca pomysł zapraszania do współpracy polskich reżyserów o bardziej tradycyjnej wrażliwości. Czy dlatego, że aktorzy dziedziczeni po Klacie nie chcą z nimi pracować? Czy on sam nie chce tego sprawdzić?

Można by rzec, iż zainteresowane wymianą Klaty ministerstwo nie osiągnęło za wiele, zwłaszcza jeśli myślano o zwrocie ku klasyce. Choć przypomnijmy, że Mikos, dawny dziennikarz „Wyborczej", wygrał konkurs w znacznej mierze w oparciu o program Michała Gielety, reżysera z Anglii. Ten zaś przy lewicowych poglądach obiecywał większe poszanowanie dla integralności literackich tekstów, co pod rządami Klaty było dokumentnie deptane. Ostatecznie Gieleta, straszony przez Gildię Reżyserów i Reżyserek Teatralnych (sam o tym powiedział w jednym z wywiadów), ale też niezdolny do porozumienia z Mikosem wyjechał z Polski, a kierownik artystyczny Jan Polewka ma na obecnego dyrektora niewielki wpływ.

Tak się kończy, prawdopodobnie, koncept obsadzania dyrekcji przez ludzi spoza środowiska. Na obronę prof. Piotra Glińskiego i Wandy Zwinogrodzkiej trzeba jednak przypomnieć, że wśród kandydatów nie było nikogo poważnego z programem wyraźnie alternatywnym wobec ducha większości polskich scen. Zarazem „Masara" nie jest wyrazem starej czy nowej linii, raczej przypadku. Testem będzie kolejny sezon.

A organ Michnika jest nadal skazany na rytualne pohukiwanie o „zniewoleniu kultury przez PiS". Zrobił z Klaty sztandar, a dziś sztandarów się nie odkłada do rupieciarni.

eprasa.pl 4329e3eee2



Dopalający się stos

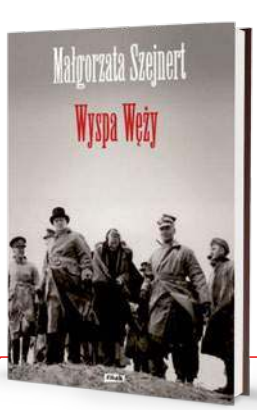
Wojciech ***Stanisławski***

Dzieje formacji, jaką byli piłsudczycy, nie kończą się we wrześniu 1939 r.

Tak dramatyczne te losy obywateli Rzeczypospolitej podczas wojny, tyle ścieżek, a na końcu tylu z nich śmierć. Wrzesień pierwszy i siedemnasty, naloty i wysiedlenia, akcja AB, getta, Katyń, a potem łapanki i łagry, Zagłada i zsyłki, Wołyń, Warszawa dwóch powstań i rozpacz Jałty.

Usiłujemy porządkować te ścieżki zwykle pod kątem miejsc i dat, czasem wedle najeźdźców, czasem wedle narodów; rzadko zastanawiamy się nad przedwojenną przynależnością partyjną, zostawiając to specjalistom od sporów w „polskim Londynie" i Radzie Jedności Narodowej. Gdyby jednak patrzeć na te doświadczenia pod kątem rodowodów politycznych, okazałoby się, że piłsudczykom jako formacji przypadł los pewnie nie najstraszniejszy, ale wyjątkowo gorzki. Czuli się twórcami odrodzonej Polski, wielu nie oparło się z tego powodu pysze, szczególnie po roku 1926, kiedy przyszedł czas budowania państwa, ale też parad, splendorów i dywidend. 13 lat później przyszło im nie tylko patrzeć na zniszczenie swego dzieła, lecz i wysłuchiwać oskarżeń.

O tej goryczy daje pojęcie reportaż historyczny Małgorzaty Szejnert, traktujący o obozie izolacyjnym na szkockiej wyspie Bute, stworzonym w sierpniu 1940 r. przez współpracowników gen. Sikorskiego dla oficerów zajmujących przed Wrześniem wysokie stanowiska w wojsku i administracji. Żołnierze, którym udało się przedrzeć na Zachód, byli tam osadzani na mocy rozkazu, bez sądu i bezterminowo. Był to de facto obóz internowania.



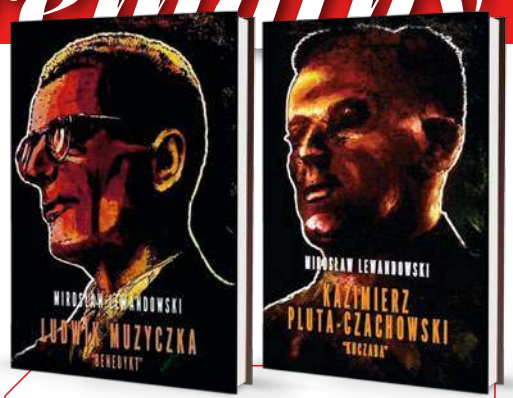
Małgorzata Szejnert, „Wyspa Węży", wyd. Znak, 2018

Owszem, luksusowy, szczególnie w zestawieniu ze zgrozą innych powstałych w tym czasie obozów: wyspa Bute była przed wojną dla mieszkańców Edynburga małą Cyterą, cała w kwiatach, pensjonatach i parasolkach. A jednocześnie słowa ppor. Stefana Mękarskiego, więźnia Bute, piszącego, że „w historii tortur polskich w tych latach nie rzeka Kołyma, nie Morze Białe […] i nie obozy koncentracyjne […], ale Rothesay wymieniane będzie jako miejsce najbardziej ponurej zagłady kilkuset polskich inteligentów", wydają się tylko trochę przesadzone. Upokorzenie zawodowych oficerów, uznanych przez ludzi Sikorskiego za niegodnych służby, było pogłębiane z każdym wieczorkiem brydżowym, z każdy spacerem – szczególnie gdy zaczęły do nich docierać wieści z kraju.

Małgorzata Szejnert, wielka dama polskiego reportażu, rozwija opowieść niespiesznie, wychodząc od własnej historii rodzinnej, ale i opisu wyspy, ba, zamieszkujących ją ptaków: kormoranów, siewek i kamuszników. Może to w pierwszej chwili znużyć, dopiero po kilkudziesięciu stronach okaże się, że opisy pierwszych spotkań z dzisiejszymi mieszkańcami Bute, kwerend w archiwach, strzępy wspomnień rodzinnych oraz wypisy z relacji, diariuszy i radiotelegramów sprzed 75 lat sprzęgają się jak w symfonii, pozwalając nam zrozumieć tragikomiczny status oficerów: życie codzienne wciągało. Jesienią 1941 r., po układzie Sikorski-Majski, wszyscy czytali o łagrach pod Archangielskiem; nieliczni wspominali Berezę.

Izolacja dobiegła końca wiosną następnego roku trochę pod wpływem komplikującej się sytuacji na frontach, trochę pod naciskiem zakłopotanych brytyjskich polityków. Nad

eprasa.pl 4329e3eee2



Mirosław Lewandowski, „Ludwik Muzyczka »Benedykt«", „Kazimierz Pluta-Czachowski »Kuczaba«", Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego, 2017

zatoką Clyde zostało kilkudziesięciu najbardziej schorowanych, kilku wżenionych i kilku zmarłych. Dla nas zostaje pamięć o tym, że mściwość wobec przegranych oponentów – nawet w obliczu dramatu i zaniedbań – zawsze jest złym wyborem. Tyrad gen. Izydora Modelskiego, wiceministra spraw wojskowych w rządzie Sikorskiego, skierowanych przeciw piłsudczykom („[korpus oficerski] to było bagno cuchnące") nie sposób dziś czytać bez zakłopotania.

A co z losami piłsudczyków, którzy przetrwali wojnę i stalinizm? Nowe światło rzucają na nie dwie książki krakowskiego badacza Mirosława Lewandowskiego, poświęcone próbom prowadzenia niezależnej działalności politycznej przez byłych legionistów, członków politycznego establishmentu w II RP, wysokich rangą oficerów Armii Krajowej i powojennych więźniów: płk. Ludwika Muzyczkę i Kazimierza Plutę-Czachowskiego.

Trudno uznać te książki za klasyczne biografie: to raczej świadectwo mrówczej pracy Lewandowskiego nad aktami SB, które inwigilowało obu pułkowników w stanie spoczynku przez ponad 20 lat, od chwil ich amnestionowania i rehabilitacji w czasie odwilży: świadectwo mroczne (obie publikacje dają bardzo wyrazisty, nieznany chyba dotąd w literaturze przedmiotu obraz osaczenia, jakie SB fundowała akowcom), nie do końca uporządkowane, prowadzące autora do daleko idących konkluzji.

Czynny w młodości w podziemnej KPN Lewandowski, który deklaruje, że nie jest akademickim historykiem (choć ma już poważny i nagradzany dorobek), chce widzieć w obu swoich bohaterach brakujące ogniwo polskiej opozycji demokratycznej, prekursorów jej „nurtu niepodległościowego". Nie jestem pewien, czy to hipoteza całkiem uprawniona: pytanie, na ile poszczególne inicjatywy emerytowanych pułkowników wolno uznać za składowe przemyślanego, dalekosiężnego projektu niepodległościowego, czy wolno ex silentio, z braku źródeł, wnioskować o istnieniu rozbudowanej konspiracji funkcjonującej w PRL przed „Ruchem", KOR i ROPCiO. Zachowuję w tej kwestii spore wątpliwości.

W pełni uzasadnione jest natomiast uznanie Muzyczki i Pluty-Czachowskiego za piłsudczyków, zaangażowanych nie tylko w ocalenie pamięci i więzi środowiskowych, lecz w zachowanie, jak pisze autor, „dziedzictwa intelektualnego Armii Krajowej". Łatwość, z jaką starsi panowie wymykali się „cichym w ortalionach", by spotkać się w kilku w Warszawie czy Szczawnicy, może budzić podszyty uśmiechem szacunek. To, że po 1956 r. zdołali nawiązać łączność z „polskim Londynem", prowadzić niezależne badania historyczne i współpracować z innymi wysokimi oficerami AK poza krępującymi ramami ZBOWiD, zasługuje na podziw i uzasadnia słowo „Kamienie" jako tytuł nowej, niesłusznie niszowej serii. Formacja, która zaczynała od Oleandrów, naprawdę potrafiła – przez Kostiuchnówkę, Wilno, Radzymin, ale też przez wyspę Bute i PRL – do końca nieść swój „straceńców los" z honorem.

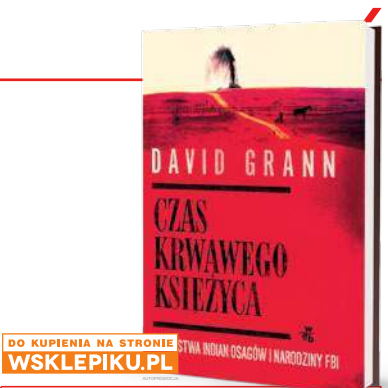
Shylock z Oklahomy

Sztuki Szekspira są nie tylko bezustannie wystawiane, lecz i pisane na nowo: kilka lat temu brytyjska oficyna zainicjowała serię powieści współczesnych autorów umieszczających dobrze znane akcje dramatów w dzisiejszych realiach.

David Grann, dziennikarz „New Yorkera", nie bierze udziału w tym przedsięwzięciu, a jednak jego reportaż jest tak świetną wariacją na temat grzechu chciwości i tego, dokąd może on zaprowadzić, że po opublikowaniu „Czasu krwawego księżyca" nikt inny nie musi się już mierzyć z „Kupcem weneckim".

Wysiedleni na pustkowia Oklahomy Indianie z plemienia Osagów okazali się w drugiej dekadzie XX w. właścicielami terenów roponośnych. Gigantyczne fortuny, które im przypadły, mogli na mocy ustaw Kongresu dziedziczyć jedynie członkowie ich rodzin. To rozsądne zastrzeżenie nie uwzględniło jednego: chciwości białych, którzy gotowi byli „wżenić" się w rodziny Osagów, by po kilku latach zamordować swoich bliskich, by zdobyć spadek.

„Czas krwawego księżyca" to opowieść o Ameryce zmagającej się ze swoją winą pierworodną – wygnaniem Indian – lecz również o Ameryce, jaką kochamy, z twarzą Gregory'ego Pecka: o małomiasteczkowej ławie przysięgłych, która potrafi uznać stanowego potentata za winnego zbrodni. A przy okazji niejako o narodzinach nowoczesnej kryminalistyki, o śledztwie, które dało początek FBI, o wrastaniu Osagów w niepojęty dla nich wiek XX i o poczuciu osaczenia, którego doświadczyli w obliczu spisku na ich życie. Mieć pod jedną okładką Szekspira i Ludluma – mocna rzecz.



David Grann, „Czas krwawego księżyca. Zabójstwa Indian Osagów i narodziny FBI", tłum. Piotr Grzegorzewski, wyd. W.A.B., 2018

eprasa.pl 4329e3eee2

Adamski



Siła Afryki!

Kino



Film jednego z najciekawszych afroamerykańskich filmowców Ryana Cooglera („Creed") jest świeżym powiewem w uniwersum Marvela. Nie tylko dlatego, że dostaliśmy pierwszy w pełni „czarny" film o superbohaterze.

Czarną Panterę (Chadwick Boseman), czyli króla tajemniczej afrykańskiej Wakandy, spotkaliśmy w epizodzie filmu „Kapitan Ameryka. Wojna bohaterów" (2016). Teraz poznajemy całą mitologię kryjącą się za jedną z najciekawszych postaci komiksów o Avengersach. „Czarna Pantera" ma w sobie wszystko, co najlepsze w tytułach spod znaku Marvela. Rozmach, zdumiewające efekty specjalne, autoironię i rozbrajający luz. Coogler to twórca wyrosły z zaangażowanego kina społecznego, więc nie mógł zrealizować wyłącznie wysokobudżetowej rozrywki.

Opowieść o ukrytym przed światem królestwie Wakandy, które dzięki złożom metalu o nazwie vibranium (powstała z niego m.in. tarcza Kapitana Ameryki oraz postacie takie jak Ultron i Vision) jest lepiej rozwinięte niż wszystkie inne kraje na globie, służy reżyserowi do uniwersalnej narracji politycznej. Mamy tematykę uchodźców, walkę o władzę w królestwie i pojawia się pytanie o to, czy zamożny i rozwinięty kraj, którego technologia może służyć całej ludzkości, ma prawo do skrajnego izolacjonizmu. Nie jest to zaskakujące, gdy pamiętamy ideowe spory między libertarianizmem a neokonserwatyzmem w filmach o Kapitanie Ameryce. Właśnie z powodu zgrabnego wmontowywania do komiksowych obrazów takich poważnych rozważań tak bardzo lubię kino z logo Marvela.

Coogler zrobił też kino zaangażowane rasowo. Afrykanie zbudowali wyższą formę cywilizacji niż biali, ale ukryli ją za pomocą wymyślnej technologii. W świecie „kolonizatorów" cierpią zaś prześladowania, które mogą być powstrzymane albo przy pomocy pokojowego wsparcia Wakandy, albo krwawej zemsty uosobionej przez pragnącego obalić króla Killmongera (Michael B. Jordan). Reżyser wymieszał całą czarną kulturę. Błyskotliwie przechodzi od plemiennej kultury afrykańskiej, przez slamsy w Los Angeles, aż do przypowieści o krwawych afrykańskich satrapach. Wszystko w rytm kapitalnej ścieżki dźwiękowej Kendricka Lamara oraz dzięki świetnej obsadzie (Lupita Nyong'o, Andy Serkis, Angela Bassett, Forest Whitaker i Martin Freeman).

„CZARNA PANTERA", REŻ. RYAN COOGLER, DYSTR. DISNEY

VOD/Telewizja

Dwa światy

Żelazna kurtyna nadal istnieje. W Berlinie. Oddziela jednak nie kapitalizm i komunizm, ale dwa równoległe światy idące na zderzenie. Skąd się wzięły? Oczywiście przez zimnowojennych naukowców, którzy niszcząc wroga, stworzyli alternatywną rzeczywistość. Tylko która jest pierwotna?

Znakomity jak zawsze zdobywca Oscara J.K. Simmons wciela się w role dwóch mężczyzn z obu stron kurtyny. Muszą wykonać wspólnie misję. Obaj mają takie same geny i takie same wspomnienia z dzieciństwa i młodości.



A jednak są zupełnie różnymi ludźmi. Jeden to zawodowy zabijaka, drugi łagodny i zakompleksiony gryzipiórek. W pewnym momencie ich biografie potoczyły się inaczej. W jakim punkcie życia poszli w tak diametralnie różne strony? Czy życie jest determinowane przez nieznaczące z pozoru wybory? Czy jeden błąd powoduje, że wchodzimy na ścieżkę, z której nie ma już zejścia? Intrygujące pytania są podlane rasowym kinem szpiegowskim zmieszanym z mądrym science fiction. Świetny serial!

„ODPOWIEDNIK" JEST DOSTĘPNY NA HBO GO I HBO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4329e3eee2

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Zdumiewająca baśń





Guillermo Del Toro rzucił na kolana całe Hollywood, kręcąc bardzo klasyczne love story. Oparty na książce Daniela Krausa „Kształt wody" to nic innego jak nowa „Piękna i Bestia"! Niewinne dziewczę z czystym sercem i on – niezrozumiały potwór, będący projekcją wszystkich lęków ludzkości. Pamiętacie „Labirynt Fauna"? No to wiecie, czego się spodziewać po nominowanym do 13 Oscarów filmie.

Rok 1962. Do tajnego Ośrodka Badań Kosmicznych gdzieś w Baltimore przywieziony zostaje „potwór z bagien". Schwytany w wodach Amazonii jest poddawany eksperymentom przez sadystycznego agenta Stricklanda (Michael Shannon). Trwa zimna wojna, więc potwór będzie wykorzystany do walki z komunistami. Ci mają zresztą w ośrodku swojego agenta. Zanim wykona rozkaz Moskwy, na los potwora wpłynie duet sprzątaczek: gadatliwa i zabawna Zelda (Octavia Spencer) oraz niema i skryta Elisa (Sally Hawkins). To właśnie ona nawiązuje więź ze przetrzymywanym stworem. Widzi w nim swoje odbicie. Wyrzutka, którego środka nikt nie chce dostrzec.

Industrialne wnętrza, klimat szpiegowskiego kina pomieszany z mrocznym noir i podlany kapitalną muzyką Alexandre'a Desplata – to wszystko ma magnetyczną moc. Widać u reżysera „Hellboya" radość z tworzenia filmów. Meksykanin stosuje liczne odwołania do klasyki kina i popkultury. Doskonale prowadzi aktorów, wydobywając z niemej roli Hawkins całą paletę emocji.

Jednocześnie jest do bólu poprawny politycznie. Odrzucony stwór symbolizuje wszystkich, których Amerykanie się boją. W tym wypadku przybyszów z Ameryki Południowej. Meksyku? Potwora o szlachetnym sercu ratuje „wykluczona" armia złożona z niepełnosprawnej, Murzynki, Żyda/komunisty (Michael Stuhlbarg) i kryptogeja (wspaniała rola Richarda Jenkinsa!). Kto natomiast jest ucieleśnieniem całego zła? Cytujący Stary Testament agent imperializmu w wykonaniu doskonałego Shannona.

Znakomite aktorstwo i plastyczna wyobraźnia Del Toro pozwalają na ten wyświechtany schemat przymknąć oko. Ma też „Kształt wody" polski wątek. Del Toro przyznał na Twitterze, że stwór był wzorowany na kreaturze z „Opętania" Andrzeja Żuławskiego! Nie pierwszy raz Del Toro odwołuje się do niepokornego kina Polaka. Wierzę, że nie ostatni.

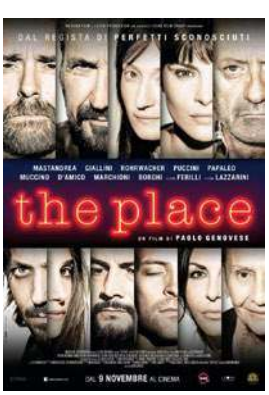
„KSZTAŁT WODY", REŻ. GUILLERMO DEL TORO, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

Co to za miejsce?

Kino

Paolo Genovese w swoim poprzednim filmie „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" opowiadał o pożerającej nas wszystkich hipokryzji. W „The Place" włoski twórca pyta o granicę zła, jakie w imię miłości jesteśmy w stanie wyrządzić.

Tajemniczy mężczyzna codziennie siedzi przy tym samym stoliku w tym samym barze zwanym The Place. Jego „klienci" szukają miłości, szczęścia, uzdrowienia, odkupienia. Ich prośby mogą zostać spełnione tylko pod jednym warunkiem. Muszą wykonać jedno zadanie. Może być błahe albo wyjątkowo mroczne.



W każdej chwili mogą przerwać grę. Mają wolną wolę. Kim jest bezimienny? Bogiem czy diabłem? Czarodziejem czy zdolnym hochsztaplerem? Genovese pyta, jak daleko posuniemy się w desperacji. Czy ratując własne dziecko, jesteśmy w stanie zabić obce? Czy skrzywdzimy obcą osobę, pozbywając się dzięki temu własnego kalectwa? Czy zaprzedamy duszę w imię miłości? Genovese daje wiele interpretacji jego przedziwnego filmu. Intrygujące i oryginalne dzieło!

„THE PLACE", REŻ. PAOLO GENOVESE, DYSTR. AURORA FILMS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 4329e3eee2



Odzyskać kawałek siebie

Odnajdywanie i identyfikowanie żołnierzy podziemia pomordowanych przez komunistów to zadanie, dzięki któremu możemy mówić o przywracaniu godności. Ale nie tym straconym, lecz państwu polskiemu, które dopiero po latach wypełnia swój obowiązek

eprasa.pl 4329e3eee2



Pałac Prezydencki w Warszawie. 1 lutego 2018 r. Magdalena Zarzycka-Redwan wraz z wnukami odbiera notę identyfikacyjną swojej matki Stefanii Zarzyckiej z rąk prezesa IPN dr. Jarosława Szarka i wiceprezesa IPN prof. Krzysztofa Szwagrzyka

Fot. Grzegorz Jakubowski/KPRP



MARCIN WIKŁO

Stefania Zarzycka była niemiłosiernie bita. Komunistyczni oprawcy nie zważali na to, że jest w siódmym miesiącu ciąży. 29 maja 1949 r., po kolejnym przesłuchaniu na lubelskim zamku, zrzucono ją do celi nazywanej „szpitalką". Akuszerka zorientowała się, że zmaltretowana kobieta zaczyna rodzić. Wspominała później, że „to dziecko dosłownie wyszarpała na świat". „Chłopiec czy dziewczynka?" – zapytała półprzytomna Stefania. „Dziewczynka". Tuż przed utratą świadomości wyszeptała jeszcze: „Niech dobry Bóg pozwoli jej żyć...". Lekarz przyjechał po godzinie, stwierdził zgon matki. Nie było wiadomo, jakie imię nadać dziecku. Tego dnia przypadały imieniny Marii, Bogusławy, Urszuli i Magdaleny. Wybór padł na Magdalenę, ale czyja to była decyzja, nikt dzisiaj nie wie. Przez dwa lata opiekowały się nią więźniarki, potem trafiła do domu dziecka. Dopiero w 1956 r. zabrał ją z niego ojciec Władysław, który na mocy amnestii wyszedł na wolność. Wcześniej skazano go na 15 lat więzienia.

ODZYSKAŁAM MAMĘ

– W każdym człowieku, który posiada odrobinę wrażliwości, ta historia budzi emocje – mówi, nie ukrywając wzruszenia prof. Krzysztof Szwagrzyk, dyrektor Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, którego pracownicy odnaleźli szczątki Stefanii Zarzyckiej. Była ona jedną z 22 osób, ofiar totalitaryzmów, których nazwiska przedstawiono 1 lutego na konferencji w Pałacu Prezydenckim.

Po notę identyfikacyjną Magdalena Zarzycka-Redwan wyszła na środek sali z podniesioną głową. – To jakby ktoś zdefiniował mnie na nowo. Jakbym odzyskała kawałek siebie – stwierdziła po uroczystości. Przyprowadziła z sobą dwóch wnuków, bo to bardzo ważny moment dla całej rodziny przez lata obciążonej piętnem „rodziców bandytów". Komuniści mieli się za co mścić. Dom Stefanii Zarzyckiej w podlubelskiej Kolonii Łuszczów nazywany był przez partyzantów „naszymi koszarami". Stefka była wysoką, efektowną i pewną siebie blondynką. To pomagało, gdy woziła z Lublina amunicję dla oddziałów WiN, które u nich gromadziły się na narady. Jej mąż Władek był kwatermistrzem, załatwiał pieniądze i broń. Wpadli pod koniec lat 40., jeden ze schwytanych żołnierzy nie wytrzymał tortur i ich wydał...

Prof. Szwagrzyk opowiada o uldze, jaką widzi u osób, które się dowiadują, że Instytut Pamięci Narodowej odnalazł i zidentyfikował ich bliskich. – Bardzo często jest tak, że te rodziny przez wiele lat nosiły w sobie ból nie do opisania. Te tragiczne przeżycia odcisnęły się na wszystkich członkach tych rodzin, na dzieciach, częściowo nawet na wnukach. Dzisiaj następuje coś na kształt oczyszczenia, wyjścia z tej traumy, która przez lata trawiła wiele polskich rodzin – opowiada historyk.

Odnalezienie po niemal 70 latach szczątków Stefanii Zarzyckiej to osobna historia. Po jej śmierci wiadomo było mniej więcej, gdzie zakopano zwłoki. Po wyjściu z więzienia jej mąż wykupił to miejsce na cmentarzu przy ul. Unickiej w Lublinie. Ktoś nawet kopał, ale ciała nie było. Odnalazła je dopiero ekipa IPN. W tym samym miejscu, ale na głębokości aż 4 m.

OD POZNANIA PO POHOST

Zasada jest zawsze taka sama i nie ma od niej żadnych odstępstw, nie ma też żadnych medialnych przecieków. O tym, że zespół IPN kogoś odnalazł, zawsze najpierw dowiaduje się rodzina, potem jest konferencja w Pałacu Prezydenckim. Na ostatnim spotkaniu prezydent Andrzej Duda po raz kolejny podkreślił, że nie może tu być mowy o przywracaniu godności odnalezionym, bo oni jej nigdy nie utracili. „My przywracamy godność Polsce, bo wreszcie odnajdujemy ich, choć przecież 30 lat prawie minęło, odkąd zrzuciliśmy okowy tamtego ustroju, który ich zamordował" – powiedział prezydent.

Uroczystość 1 lutego była wyjątkowa z kilku powodów. Ujawniono nazwiska aż 22 osób. To największa z dotychczasowych grup. Warto też spojrzeć na mapę miejsc, w których poszczególne osoby były znajdowane, bo to pokazuje rozmach działania Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN. Poznaliśmy np. nazwisko Zygmunta Góralskiego ps. Chmura, odnalezionego na cmentarzu Miłostowo w Poznaniu. Skazano go na karę śmierci za umożliwienie w czerwcu 1950 r. ucieczki z więzienia dwóm osadzonym m.in. za nielegalne posiadanie broni. Zespoły IPN w ostatnim czasie pracowały także m.in.

eprasa.pl 4329e3eee2

w Kielcach, Białymstoku, Warszawie i Lublinie.

Sporym przedsięwzięciem były poszukiwania w Starym Grodkowie na Opolszczyźnie, które opisywaliśmy w tygodniku w kwietniu 2016 r. W ramach ubeckiej operacji o kryptonimie Lawina we wrześniu 1946 r. oddział NSZ Henryka Flamego „Bartka" został zwabiony na Opolszczyznę. Żołnierzy podjęto obiadem, była też wódka, do której mordercy dodali środki nasenne. Gdy partyzanci położyli się na przygotowanych posłaniach ze słomy, zdetonowano miny przeciwczołgowe umieszczone pod barakiem. Podniesione z ziemi szczątki są genetycznie badane, pierwsze efekty poznaliśmy 1 lutego.

Noty identyfikacyjne odebrały rodziny Franciszka Koniora ps. Rekin, Michała Pajestki ps. Leszczyna, a także bliscy Józefa Maślanki ps. Borsuk i Karola Maślanki ps. Tygrys. W przypadku braci nauka okazała się bezsilna, na miejscu znaleziono zniszczone wybuchem szczątki jednego z nich, ale na podstawie badań genetycznych nie da się określić, do którego one należały. Dlatego zaprezentowano ich wspólny portret.

– Wielokrotnie mówiłem, że bardzo nam zależy na tym, by prowadzić prace w kilku miejscach jednocześnie. Żebyśmy mogli na kolejnych konferencjach ujawniać imiona i nazwiska osób odnalezionych nie w jednym, ale w wielu miejscach. I to nie tylko w Polsce, lecz również na polskich Kresach – tłumaczy nam prof. Krzysztof Szwagrzyk.

Ostatnia konferencja pokazała także pierwszy namacalny efekt pracy Wydziału Kresowego IPN, którym kieruje dr Leon Popek, lubelski historyk od lat zaangażowany w upamiętnianie śladów polskości na Kresach. Zidentyfikowano szczątki Stefana Komara, podoficera Korpusu Ochrony Pogranicza, który w 1939 r. dowodził strażnicą „Pohost" kompanii granicznej KOP „Dołhinów". Po agresji sowieckiej we wrześniu 1939 r. strażnica została zaatakowana przez NKWD. Żołnierze podjęli walkę, w której wyniku poległ m.in. jej dowódca. Jego szczątki zostały odnalezione w trakcie prac ekshumacyjnych w miejscowości Pohost na terenie Białorusi we wrześniu 2017 r. W imieniu rodziny notę identyfikacyjną odebrała wnuczka żołnierza Iwona Grzywalska.

> Uroczystość w Pałacu Prezydenckim 1 lutego była wyjątkowa. Ujawniono nazwiska aż 22 odnalezionych osób. To największa z dotychczasowych grup

PROBLEM Z UKRAINĄ

„Jeżeli ktoś by mnie zapytał, jakie my mamy wobec nich zadanie, zobowiązanie, to powiedziałbym: każdego dnia starać się budować taką Polskę, o jakiej oni marzyli – silną, zamożną, decydującą samą o sobie, czyli suwerenną, niezależną od żadnych zakazów z zewnątrz, a jednocześnie dumną, która dba o swoich obywateli, która jest w stanie się sama obronić" – mówił prezydent Andrzej Duda.

Prof. Krzysztof Szwagrzyk nie kryje satysfakcji, że „państwo polskie w końcu realnie, a nie tylko deklaratywnie" wypełnia swój obowiązek. Rzeczywiście stworzone po latach „partyzantki" Biuro Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej działa prężnie. Nareszcie opiera się na pracownikach etatowych, a nie tylko na wolontariuszach, którzy są oczywiście wspaniali i wciąż garną się do pracy, ale w poważnej instytucji państwowej powinni być jednak siłą wspomagającą, a nie podstawową.

Praca na wielu „Łączkach" – tak historycy mówią o każdym z miejsc, w których komuniści grzebali pomordowanych bohaterów – przynosi efekty. Do tej pory udało się odzyskać tożsamość ponad 100 osób, są wśród nich takie postacie jak Danuta Siedzikówna „Inka", mjr Bolesław Kontrym „Żmudzin", mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka", mjr Hieronim Dekutowski „Zapora", ppłk Anton Olechnowicz czy ppłk Stanisław Kasznica. Identyfikacji będzie coraz więcej, kolejna konferencja jest zapowiedziana jeszcze na ten rok.

Niestety niewiele wskazuje na to, by zespół mógł rozpocząć prace na Ukrainie. Kategoryczny zakaz obowiązuje po tym, jak 26 kwietnia 2017 r. rozebrano łuk triumfalny na cześć Ukraińskiej Armii Powstańczej w Hruszowicach na Podkarpaciu. Mimo że pomnik (nie grób – to ważne!) został postawiony wiele lat temu nielegalnie i sławił ugrupowanie, które miało znaczny udział w wołyńskim ludobójstwie, strona ukraińska jest w swoim postanowieniu nieugięta. Przedstawiciele IPN nie ukrywają, że impas jest coraz poważniejszy. Nawet po tym, jak w grudniu ub.r. podczas spotkania prezydentów Dudy i Petra Poroszenki w Charkowie padło zapewnienie, że odblokowanie możliwości ekshumacji jest właściwie tylko kwestią techniczną, rozmowy nie posunęły się naprzód ani o milimetr. Za to już w kwietniu mają się rozpocząć prace na Litwie, a potem znów na Białorusi.

* * *

Magdalena Zarzycka-Redwan jest dziś prezesem Stowarzyszenia Dzieci Żołnierzy Wyklętych. Po konferencji w Pałacu Prezydenckim, gdy opadły już pierwsze emocje, wzięła za rękę jednego z wnuków i poszła się przyglądać wyeksponowanym portretom odnalezionych.

– Przyjechaliśmy dzisiaj do pałacu, by odebrać notę identyfikacyjną. Twojej prababci, a mojej mamy... – mówiła spokojnie, idąc z małym chłopcem przez salę kolumnową. – No i czego się tutaj dowiedzieliśmy? Poznaliśmy piękne historie żołnierzy, odnalezionych...

A co babcię najbardziej zasmuciło? Że była jedynym dzieckiem żołnierzy odnalezionych, byli albo wnukowie, albo siostrzeńcy. – A dziecko, tylko ja, jedno... Załamałam się trochę, że dzieci wyklętych już odchodzą, zostają wnukowie, ale wnukowie tę historię poniosą dalej.

34/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

NBP Narodowy Bank Polski

Monety kolekcjonerskie NBP

Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni

August Emil Fieldorf ps. „Nil”



Zachowali się jak trzeba...

Sprzedaż wartości kolekcjonerskich emitowanych przez NBP jest prowadzona w oddziałach okręgowych banku oraz przez sklep internetowy: www.kolekcjoner.nbp.pl

www.nbp.pl/monety

eprasa.pl 4329e3eee2



Z „Tropem Wilczym” na żaglach

VI edycja Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym”, który upamiętnia walczących w podziemiu antykomunistycznym, będzie miała w tym roku szczególną oprawę ze względu na stulecie naszej niepodległości. Niezwykłym wydarzeniem jest dedykowana niezłomnym próba pobicia rekordu przepłynięcia Oceanu Atlantyckiego



PIOTR CZARTORYSKI-SZILER

Jak co roku organizatorem projektu jest Fundacja Wolność i Demokracja. Wydarzenie zostało objęte patronatem honorowym obchodów niepodległości Polski przez prezydenta Andrzeja Dudę. Ambasadorami biegu poza osobami reprezentującymi świat historii, kultury i sportu są żyjący świadkowie historii. – Projekt każdego roku bije kolejne rekordy frekwencji, liczby punktów startowych. W 2016 r. przekroczył granice Polski. Najnowsza edycja to 333 polskie miasta, Kresy, europejskie stolice, Nowy Jork, Chicago, Australia. I ocean! 4 marca 2018 r. pobiegną żołnierze wszystkich narodowości stacjonujących na misjach wojskowych w Afganistanie, Iraku, Kuwejcie, Bośni i Hercegowinie. Pobiegną też miasta garnizonowe w Polsce – informuje Barbara Konarska, rzecznik przedsięwzięcia.

MISJA EDUKACYJNA

Twarzami tegorocznego biegu zostało ośmiu żołnierzy wyklętych, których wizerunki uczestnicy będą nieść na koszulkach. Jak informuje Fundacja Wolność i Demokracja, zostali oni wybrani według klucza „zamordowani na Rakowieckiej – odnalezieni na »Łączce«”. Listę otwiera płk Witold Pilecki. – Ogromnie się z tego cieszę, bo młodzież jest zafascynowana jego postacią. Im wszystkim trzeba oddać odpowiedni honor i dziękczynienie za to, że potrafili się zachować jak trzeba. Dla nich nieważna była śmierć, ważna była ojczyzna, o którą walczyli – podkreśla w rozmowie z nami Zofia Pilecka-Optułowicz, córka pułkownika.

Kolejni wyklęci to: płk Szczepan Ścibior, ppłk Łukasz Ciepliński ps. Grzmot, mjr Hieronim Dekutowski ps. Zapora, kmdr por. Zbigniew Przybyszewski, por. Roman Groński ps. Żbik, ppor. Czesław Gałązka ps. Bystry i pchor. Dionizy Sosnowski ps. Zbyszek. – To osoby, które odnajdujemy, odnajdywaliśmy i będziemy odnajdywać na „Łączce”, bo nie wszyscy z nich zostali jeszcze zidentyfikowani, ale to kwestia czasu. Bardzo ważne jest to, byśmy mogli o tych naszych bohaterach mówić publicznie w taki właśnie sposób, jak to czynimy także przy okazji biegu – mówi prof. Krzysztof Szwagrzyk, wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej i ambasador projektu. – To ludzie, którzy walczyli o naszą niepodległość, ale także ci, którzy przed II wojną światową budowali państwo polskie i jemu służyli.

Fot. Zuzanna Kruschewska

eprasa.pl 4329e3eee2

To dobrze, że pokazujemy ich dziś młodemu pokoleniu Polaków jako wzory do naśladowania – dodaje.

PROMOCJA IDEI NA ŚWIECIE

Niezwykłym wydarzeniem związanym z VI edycją Biegu „Tropem Wilczym" jest dedykowana niezłomnym próba pobicia rekordu przepłynięcia Oceanu Atlantyckiego przez ambasadora biegu, żeglarza Filipa Walczaka. Załogę stanowią dwie osoby, które popłyną z Afryki na Karaiby z „Tropem Wilczym" na żaglach. – To duże przedsięwzięcie, które odbije się echem na całym świecie. Chcemy wykorzystać potencjał wyprawy narodowej do tego, by mówić o rzeczach, które są ważne dla promocji Polski na świecie. Chcemy pokazywać sylwetki wyklętych i chwalić się naszymi bohaterami oraz promować ideę niepodległościową – mówi nam Filip Walczak. Żeglarz informuje, że sam rekord wynosi 5 tys. km (z Dakaru do Gwadelupy) i 11 dni. – Celujemy w wynik dziewięciu dni, chcemy ten rekord pobić spektakularnie. Mamy polski jacht, bardzo szybki, z włókna węglowego, i jest to możliwe do zrobienia w sposób bezpieczny – dodaje.

Walczak zwraca uwagę na to, że jego intencją jest pokazanie innym, iż niezłomni to byli ludzie, którzy mieli jakąś przeszłość, walczyli o Polskę nie tylko karabinem, lecz również swoimi pasjami i umiejętnościami. W pewnym momencie historii zostali jednak postawieni w takiej sytuacji, w której musieli chwycić za broń. – Płynę pod intencją kmdr. Przybyszewskiego. To człowiek, który tworzył żeglarstwo w Gdyni w dwudziestoleciu międzywojennym, następnie był oficerem na ORP Błyskawica, dowodził obroną Helu w 1939 r., a po wojnie kontynuował służbę w marynarce wojennej. I dopiero w 1950 r., czyli pięć lat po zakończeniu wojny, został zatrzymany przez sowieckie władze pod zarzutem działania na szkodę Polski oraz stracony na Rakowieckiej, a niedawno odnaleziony na „Łączce" – podkreśla Walczak. – I to chcemy w tym roku mocno zaakcentować – dodaje.



NOWA OPRAWA GRAFICZNA

Tegoroczne pakiety startowe VI edycji mają jubileuszowy charakter. Będzie również nowa oprawa graficzna wizerunków wyklętych na koszulkach, będą nowe gadżety sportowe, nowy wzór medalu, a także komiks opisujący losy jednego z niezłomnych. Warszawski bieg odbędzie się w historycznym miejscu dla polskich dziejów walki o wolność i niepodległość – na Cytadeli przy ul. Skazańców.

> Pierwszy Bieg „Tropem Wilczym" odbył się w 2013 r. w Warszawie i wzięło w nim udział niespełna 20 osób

– Jeżeli tylko dożyję, będę chciał być pierwszy na biegu, jak we wszystkich akcjach partyzanckich, w których uczestniczyłem. Wszystko po to, by przyczynić się do jego spopularyzowania. Każdy Polak, który kocha ojczyznę, powinien wziąć w nim udział – podkreśla w rozmowie z nami 91-letni kpt. Jerzy Stawski, żołnierz AK i podziemia antykomunistycznego, ambasador projektu. Kapitan zaznacza, że jest bardzo wdzięczny osobom, które wpadły na pomysł takiej inicjatywy i propagują tę ideę na całym świecie. – To bardzo ważne, by ideały zawarte w dewizie „Bóg, Honor, Ojczyzna" były promowane. Sam sporo się nawojowałem za czasów Hitlera. Od września 1939 r. z dziecka stałem się obrońcą i żołnierzem w służbie ojczyzny. Po wkroczeniu wojsk sowieckich uczestniczyłem w drugiej konspiracji przeciwko władzy ludowej. Poświęciłem dla Polski całe życie, dałem z siebie to, co mogłem. Dziś uczę młodych historii, patriotyzmu i miłości do ojczyzny – opowiada wyraźnie przejęty pan Jerzy.

ROŚNIE POPULARNOŚĆ BIEGU

Każdy z organizatorów lokalnych inicjuje imprezy towarzyszące związane z tematyką wyklętych i konkretnym regionem. Odbywają się liczne koncerty, pokazy grup rekonstrukcyjnych, wystawy, spotkania ze świadkami historii, stałym elementem biegu jest także wojskowa grochówka. Organizatorzy wytyczają trasę na 1963 m. Dystans ten upamiętnia rok śmierci Józefa Franczaka „Lalka", ostatniego wyklętego. Dodatkowe dystanse to 4, 5, 8, 10 km – według uznania i możliwości terenowych regionu.

Pierwszy Bieg „Tropem Wilczym" odbył się w 2013 r. w Warszawie i wzięło w nim udział niespełna 20 osób. – Jego inicjatorem był Michał Dworczyk, obecny minister w kancelarii premiera. Pięć lat później „Tropem Wilczym" biegnie cała Polska i kawał świata, wystukując rytm biegu 80 tys. par butów sportowych, dziecięcych, wojskowych – podkreśla Barbara Konarska.

Dzisiaj Bieg Pamięci Żołnierzy Wyklętych jest największym biegiem pamięci na świecie. Organizują go zarówno urzędy miast, urzędy gmin, fundacje, stowarzyszenia, jak i kluby sportowe, parafie czy szkoły. – Powodów ogromnej popularności „Tropem Wilczym" jest kilka. Na pewno sprzyja jej moda na zdrowy tryb życia, na bieganie. Duży wpływ ma edukacja historyczna, nasilona w ostatnich latach, czyli po prostu szacunek, jakim obdarzani są niezłomni. Determinacja, z jaką walczyli o wolną Polskę, ma rodowód w początkach niepodległej. Gdyby cofnąć się śladami tego wilczego tropu, nie zaprowadziłyby one do lasu, do walk z komunistycznym okupantem, ale do roku 1918 – przypominają organizatorzy biegu.

eprasa.pl 4329e3eee2



Masakra ichtamnietów

Fot. East News

Nigdy dotąd żołnierze amerykańscy nie starli się bezpośrednio z żołnierzami rosyjskimi



JAN ROKITA

Pierwsza wersja zdarzeń pochodzi od dowódcy Sił Powietrznych USA w Azji Południowo-Zachodniej gen. Jeffreya Harrigiana. Generał opowiedział dziennikarzom, iż wieczorem 7 lutego jego żołnierze stacjonujący w Syrii na wschodnim brzegu Eufratu nieoczekiwanie zostali zaatakowani przez jakieś wojsko, które przeprawiło się z drugiego brzegu rzeki. Atakujący byli wyposażeni w ciężki sprzęt wojskowy. Harrigian najpierw zarządził ostrzał artyleryjski, po czym gorącą linią skontaktował się z rosyjskim dowództwem w Syrii. Generałowi udało się jednak wymigać z podania jasnej informacji o wyniku tej rozmowy. W każdym razie jej przebieg skłonił go do wezwania helikopterów Apache, bombowców B52 i myśliwców F15, które z pomocą bojowych dronów rozbiły wroga.

Generał zapewniał, że nie ma pojęcia, ani kim byli napastnicy, ani tym bardziej jakiej mogli być narodowości. Co nie bez znaczenia, amerykański dowódca opowiedział to wszystko na konferencji prasowej, którą zwołał...13 lutego, czyli tydzień po walkach nad Eufratem. Dzień po tym, jak telewizja CBS poinformowała, że Amerykanie dokonali bezprecedensowej masakry Rosjan walczących w Syrii.

APETYT NA POLA NAFTOWE

Szersza wersja zdarzeń pochodzi z rosyjskich mediów, w tym zwłaszcza ze świetnie poinformowanego petersburskiego portalu Fontanka.ru, który średnio dziennie ma 100 tys. wejść, głównie mieszkańców Petersburga i Moskwy. Atak na Kurdów i Amerykanów na wschodnim brzegu Eufratu miał zostać przypuszczony przez tzw. 5. Korpus Szturmowy, złożony z rządowych żołnierzy syryjskich, ISIS Hunters (czyli zawodowych łowców terrorystów) oraz – co w tym kluczowe – zwerbowanych w Rosji najemników, zwanych także „wagnerowcami", od pseudonimu ich

eprasa.pl 4329e3eee2

sławnego komendanta. Chodzi o Dmitrija Utkina, byłego oficera rosyjskiego wywiadu GRU, który parę lat temu odszedł formalnie z armii, by zająć się werbunkiem ochotników mających wzniecić antyukraińską rebelię w Donbasie. To właśnie wtedy zyskali oni popularny wśród Rosjan przydomek „ichtamniety", od uporczywie powtarzanych przez moskiewskich oficjeli słów: „ich tam niet". Kiedy zaś w 2015 r. prezydent Putin postanowił interweniować w obronie syryjskiego tyrana Baszara Asada, Utkin i jego ludzie zostali przerzuceni do Syrii, gdzie odegrali pewną rolę m.in. w odbiciu od ISIS historycznej Palmiry. Teraz zaś mieli podjąć atak na wschodni brzeg Eufratu po to, aby zdobyć pola naftowe dla powstałej rok wcześniej rosyjskiej firmy naftowej Evro Polis. O tym, że firma ta ma układ z władzami syryjskimi o podziale zysków z pól naftowych zdobytych na ISIS przez rosyjskich ichtamnietów, zrobiło się głośno w lipcu 2017 r., kiedy właśnie portal Fontanka.ru opisał w szczegółach ów deal, a „The New York Times" rozpowszechnił te informacje na cały świat.

To, co w tym dealu szczególnie ciekawe, to fakt, iż udziałowcem i inicjatorem powołania firmy Evro Polis jest Jewgienij Prigożyn, jeden z najważniejszych oligarchów z otoczenia Putina, który swą wielką światową sławę zdobył właśnie w ostatnich dniach. W piątek 16 lutego został bowiem formalnie oskarżony przez specjalnego prokuratora USA, badającego rosyjskie manipulacje przy amerykańskich wyborach prezydenckich, o kierowanie profesjonalnymi akcjami dezinformacyjnymi w Ameryce, z udziałem stworzonej przezeń do tego celu „fabryki trolli". „To nasz lider, szef i fundator" – mówią o Prigożynie zdemaskowani „pracownicy" owej fabryki o skromnej nazwie Agencja Studiów Internetowych. A w sieci można znaleźć zdjęcia oligarchy i zarazem słynnego restauratora, który w smokingu i muszce osobiście jako kelner obsługuje rozpartego przy stole rosyjskiego prezydenta. Media całego świata powtarzają w tych dniach dowcipną ksywkę, jaką Prigożyn ma w Moskwie: „Kucharz Putina", gdyż jego bliska więź z prezydentem zaczęła się ponoć od wykwintnego karmienia szefa państwa i jego kremlowskich gości. Ale teraz Prigożyn to człowiek do znacznie poważniejszych poruczeń władcy Rosji: spiritus movens akcji dywersyjnych prowadzonych za granicą pod osłoną rosyjskich służb specjalnych, a na dodatek zleceniodawca i sponsor najemników mających dla Putina (a przy okazji także z pożytkiem dla interesów jego „kucharza") siłą zdobywać przyczółki na Ukrainie i w Syrii.

RZEŹ NAD EUFRATEM

Chodzi tylko o to, że 7 lutego operacja ichtamnietów nad Eufratem została z jakichś (prawdę mówiąc nie całkiem jeszcze jasnych przyczyn) absolutnie spartaczona. A jej efektem stała się krwawa masakra najemników przez lotnictwo amerykańskie. Informacje o liczbie zabitych są sprzeczne i mało wiarogodne, ale kompetentny w takich sprawach niegdysiejszy komendant ichtamnietów w Donbasie Igor Striełkow nie kryje, iż: „zabitych było tylu, że ciała wywożono ciężarowymi kamazami". Znany rosyjski polityk i wiceszef Dumy (z ramienia radykalnej partii Żyrinowskiego) oświadczył z rozpaczą, że: „Wagner stracił 200 ludzi". Agencje informacyjne potwierdziły, że do Rostowa i Moskwy przyleciały samoloty wojskowe z „dziesiątkami ofiar", w tym wielu w stanie krytycznym, poranionych odłamkami. A w lokalnych mediach rosyjskich zaczęły się pojawiać głosy poruszonych członków rodzin zabitych, niemogących ani otrzymać zwłok swoich bliskich, ani godnie upamiętnić ich śmierci. Np. na jekaterynburskim portalu Znak.ru matka jednego z zabitych najemników, niejaka Jelena Matwiejewa, opowiada o okolicznościach zwerbowania jej syna do Syrii i z pretensją do władz mówi, iż: „Rzucili ich na front jak świnie". Można się więc spodziewać, że Kreml czeka teraz trochę kłopotów z własnymi obywatelami.

> Agencje informacyjne potwierdziły, że do Rostowa i Moskwy przyleciały samoloty wojskowe z „dziesiątkami ofiar"

ZASŁONA MILCZENIA

Ale z politycznej perspektywy najciekawsze są oficjalne reakcje Moskwy i Waszyngtonu. Masakra Rosjan przez Amerykanów nad Eufratem jest bowiem zdarzeniem bezprecedensowym w dziejach konfliktowych relacji obu państw. Nigdy dotąd żołnierze amerykańscy nie starli się bezpośrednio z żołnierzami rosyjskimi. Nic porównywalnego nie zdarzyło się nie tylko ostatnimi laty, lecz także podczas długo trwającej zimnej wojny. Jacyś rosyjscy piloci mieli ponoć zginąć z rąk Amerykanów podczas wojny koreańskiej, grubo ponad pół wieku temu, a pojedyncze przypadki śmierci sowieckich doradców zdarzały się podobno także w wojnie w Angoli.

Zarówno dla Moskwy, jak i Waszyngtonu sytuacja jest absolutnie ambarasująca. Putin nie może się przecież przyznać, że wysłani de facto przez niego do Syrii Rosjanie zostali zmasakrowani przez Amerykanów, bo wymagałoby to odeń jakiejś spektakularnej decyzji o odwecie. Z kolei Trumpowi nawet w najczarniejszych snach nie śniło się masakrowanie żołnierzy rosyjskich przez armię USA za jego prezydentury. Obie strony uciekły się więc do najzupełniej bezceremonialnych kłamstw. W Moskwie rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow tłumaczył na konferencji prasowej, że: „Być może w Syrii są jacyś obywatele rosyjscy, ale nie mają oni związku z siłami zbrojnymi Rosji". I dodawał: „To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć". W Waszyngtonie zaś szef Pentagonu gen. James Mattis tydzień po walkach nad Eufratem z pokerową miną przekonywał dziennikarzy, że: nie dostał żadnych raportów, „iż wśród ofiar byli Rosjanie". I kończył niemal jak echo Pieskowa: „Niczego więcej na ten temat nie mogę powiedzieć".

eprasa.pl 4329e3eee2



MARIA SZONERT-BINIENDA

Rosjanie oskarżeni

Stany Zjednoczone powiedziały „dość” i wytoczyły proces karny rosyjskim propagandystom za prowadzenie wojny informacyjnej w Ameryce



Specjalna komisja badająca wpływ Rosji na wybory prezydenckie w 2016 r. złożyła do sądu federalnego w Waszyngtonie akt oskarżenia przeciw 13 Rosjanom i trzem firmom rosyjskim, zarzucając im działanie w zmowie w celu osłabienia, utrudnienia i zablokowania prawomocnych działań rządu Stanów Zjednoczonych. Posługując się nieuczciwymi metodami, takimi jak oszustwo i podstęp, utrudniano oraz uniemożliwiono prawidłowe funkcjonowanie takich instytucji państwowych jak Departament Sprawiedliwości czy Departament Stanu w celu zaburzenia demokratycznych procesów politycznych, w tym wyborów prezydenckich w 2016 r.

Jak podkreślono w akcie oskarżenia, celem tej akcji było podsycanie konfliktów społecznych, sianie nienawiści, wzbudzanie nieufności i poczucia zagrożenia oraz pogłębianie podziałów społecznych w USA.

Głównym wykonawcą operacji była firma pod nazwą Internet Research Agency finansowana przez Concord kontrolowany przez Jewgienija Prigożina, oligarchę bezpośrednio powiązanego z Putinem.

Operacja była kierowana z Petersburga, gdzie znajdował się sztab koordynujący prace tysięcy wolontariuszy, w większości nieświadomych swej roli Amerykanów. Sztab ten składał się z wielu departamentów zajmujących się m.in. analizą danych, optymalizacją wyszukiwania (SEO), informatyką (IT), obsługą digitalnej infrastruktury, opracowaniami graficznymi politycznych reklam, tekstów i ogłoszeń, finansami, budżetem oraz alokacją funduszy, które szły w miliony dolarów na reklamy polityczne zalewające amerykańskie media społecznościowe. Ponad 80 osób było zatrudnionych tylko przez sam departament tłumaczeń sztabu operacyjnego.

W swej działalności sztab wykorzystywał amerykańską platformę internetowo-komputerową, media społecznościowe oraz skradzione dane osobowe obywateli amerykańskich. Za pomocą szeroko rozbudowanej sieci amerykańskich współpracowników – często nieświadomych, że działają na zlecenie rosyjskiego mocodawcy – Rosjanie zasypywali media amerykańskie własnym politycznym przekazem oraz inspirowali, zwoływali i organizowali polityczne wiece oraz demonstracje w różnych miejscach Stanów Zjednoczonych.

Ta rosyjska fabryka wojny informacyjnej działająca wewnątrz USA powstała w 2014 r., a więc dwa lata przed amerykańskimi wyborami prezydenckimi. Należy podkreślić, że w momencie powstawania nie była ona nastawiona na zwalczanie ani popieranie konkretnych kandydatów. Jej celem strategicznym było sianie nieufności do polityków oraz systemu politycznego. Wychodzono bowiem z założenia, że bez względu na to, kto wygra wybory,

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Evan El-Amin/Shutterstock.com

należy społeczeństwo amerykańskie skonfliktować tak, aby żadna opcja polityczna po wygraniu w 2016 r. nie mogła rządzić sprawnie i efektywnie.

Za pomocą mediów społecznościowych Rosjanie stworzyli takie grupy tematyczne jak „Bezpieczne granice" czy „Życie osób czarnoskórych też jest ważne". Każda z takich grup przyciągała setki tysięcy Amerykanów, ale była zarządzana przez Rosjan działających zakulisowo.

Warto zwrócić uwagę na to, że Rosjanie ukierunkowywali swą działalność i mobilizowali zarówno osoby o prawicowych poglądach, dla których problem bezpieczeństwa jest priorytetem, jak i osoby o lewicowych poglądach, dla których problematyka równouprawnienia jest najskuteczniejszym narzędziem mobilizacji. Rosjanie na bieżąco monitorowali rozwój grup tematycznych, mierząc ich zasięg, odzew, reakcje czy stopień zaangażowania uczestników, w celu dopracowywania skuteczności przekazu. Rozwinęli know-how w takich dziedzinach jak najskuteczniejsze proporcje między grafiką a tekstem, najlepsze metody użycia wideo, optymalizacje liczby kont społecznościowych, rola i zadania realizowane przez poszczególne konta medialne.

Na początku 2016 r. centrum operacyjne przystąpiło do działań bezpośrednio związanych z amerykańskimi wyborami prezydenckimi. W tym celu podjęto strategiczną decyzję, aby po stronie demokratycznej zwalczać Hillary Clinton, a wspierać bardziej lewicowego kandydata Berniego Sandersa. Natomiast po stronie republikańskiej postanowiono zwalczać kandydatów Teda Cruza oraz Marca Rubio, wspierać zaś Donalda Trumpa.

W akcie oskarżenia przeciwko rosyjskim podmiotom opisany jest również projekt Lakhta, równolegle realizowany przez firmę Concord. To operacja dezinformacyjna ingerująca w postawy społeczne zarówno w Rosji, jak i w wielu innych krajach. Projekt ten może być też skierowany przeciwko Polsce. O jego skali i zasięgu świadczą dane finansowe ujawnione w amerykańskim akcie oskarżenia. Tylko we wrześniu 2016 r. poprzez projekt Lakhta przepłynęło ponad 1 mln dol. na operację dezinformacyjną w USA. Użyto do tego 14 różnych kont bankowych przypisanych do różnych spółek zależnych firmy Concord.

Mimo ujawnienia szczegółów rosyjskiej operacji dezinformacyjnej zacietrzewienie dwóch zwalczających się obozów polityczno-ideologicznych uniemożliwia Amerykanom dostrzeżenie skali zagrożenia państwa oraz oczywistego faktu, że to działanie skierowane zarówno na jedną, jak i na drugą stronę sceny politycznej. Pieczołowicie podsycana przez Rosjan wojna ideologiczna powoduje, że amerykańskie media głównego nurtu traktują ujawnione informacje nie jako zagrożenie bezpieczeństwa, ale przede wszystkim jako narzędzie ataku na prezydenta Trumpa w celu podważenia jego wiarygodności. Politycznie zaangażowani komentatorzy nie są w stanie ochłonąć z nienawiści do Trumpa i dostrzec rozgrywającej się batalii o Amerykę, w której odgrywają rolę tzw. pożytecznych idiotów. Z kolei w otoczeniu głowy państwa pogłębia się poczucie zagrożenia, co powoduje paraliż organizacyjno-decyzyjny prowadzący do poważnego osłabienia politycznego.

W ten sposób cele centrum operacyjnego w Petersburgu zostały w pełni osiągnięte, a nabyte w ostatnich latach doświadczenia po niezbędnej modyfikacji zostaną najprawdopodobniej bez większych problemów ponownie zastosowane w nadchodzącym sezonie politycznym w Stanach.

eprasa.pl 4329e3eee2



Berliński basen z rekinami

Spirala gwałtownych intryg personalnych, w jaką wpadła niemiecka polityka, sprawia, że nie tylko Europa, lecz i sami Niemcy przecierają oczy ze zdumienia



JAN ROKITA

Jedna z najstarszych niemieckich gazet – wychodząca w Moguncji „Allgemeine Zeitung" – pisze o „berlińskim basenie pełnym rekinów", w którym były już lider socjalistów Martin Schulz został rozszarpany przez silniejsze i bardziej podstępne potwory.

Prawda jest jednak taka, że to sam Schulz uruchomił w ub.r. wewnątrz SPD ową spiralę bezpardonowej walki o stanowiska, w którą czołowi politycy lewicy tak się zapędzili, że utracili elementarny instynkt samozachowawczy.

Wszystko zaczęło się przecież od tego, że impulsywny i władczy szef Parlamentu Europejskiego, który potrafił z tej mało znaczącej funkcji uczynić katapultę do wielkich wpływów i kariery, pewnego dnia porzucił europejską politykę, aby w atmosferze euforii na lewicy przejąć szefostwo niemieckiej SPD. Tyle tylko, że po drodze trzeba było jakoś zmusić do odejścia nieco misiowatego, ale lubianego przez Niemców, Sigmara Gabriela, kierującego partią od 2009 r. Impertynencki Schulz zasłynął wtedy sło-

eprasa.pl 4329e3eee2


Fot. shkmanov alexsey/Shutterstock.com

wami, że Gabriel to ktoś, kto „tyłkiem demoluje wszystko, co kiedykolwiek rękami zbudował", wmawiając partyjnym towarzyszom, by rzekomego fajtłapę zastąpili buńczucznym i pewnym siebie szefem Parlamentu Europejskiego, a wielkie zwycięstwo nad Angelą Merkel znajdzie się tym samym w zasięgu ręki.

NADZIEJA I KLAPA

Wiadomo, co było dalej. Najpierw SPD zachłysnęła się tzw. efektem Schulza, który miał być objawieniem niemieckiej polityki. Jeden z nieprzyjaznych lewicy publicystów szydził, że zgodnie ze swym narodowym charakterem Niemcy właśnie znaleźli sobie kolejnego Übermenscha. Wkrótce jednak stało się jasne, że niezmordowana Merkel i tak po raz czwarty wygra wybory, a niewiadomą jest tylko skala nieuchronnej porażki Schulza. Ta okazała się 24 września 2017 r. większa, niż wszyscy się spodziewali. 20-procentowy wynik wyborczy SPD był najgorszym w całej powojennej historii partii, która w czasach socjalistycznych kanclerzy Brandta, Schmitta i Schrödera regularnie przekraczała poziom 40 proc. Liderzy postanowili jednak ową klęskę jakoś przekuć w wizerunek sukcesu, więc zaraz po ogłoszeniu wyników głosowania zapowiedziano nowy „twardoopozycyjny rozdział" w dziejach SPD, która odtąd „walić będzie w dziób" wyraźnie osłabłą Merkel, jak to bezceremonialnie ujęła rosnąca w siłę szefowa partyjnej frakcji w Bundestagu Andrea Nahles. Sam Schulz zaś wdał się dzień po wyborach w słynny dialog-ping pong z publicystą prawicowej gazety „Die Welt" Danielem Sturmem, podczas powyborczej konferencji prasowej. Kiedy Sturm próbował się dowiedzieć, czy aby na pewno szef SPD nigdy i w żadnych okolicznościach nie zgodzi się wejść do żadnego rządu Merkel, Schulz najpierw dość długo udawał, że nie rozumie pytania, po czym dociskany przez inteligentnego dziennikarza wypalił: „Tak, to jest całkiem pewne, że nie wejdę". I zaklinał się, gdy Sturm chciał się upewnić, czy polityk jest w pełni świadom tego, co mówi.

KRÓTKOTRWAŁY SPÓR

Przez chwilę wyglądało więc na to, że SPD jest nastawiona na ostrą walkę z Merkel, a polityka niemiecka stanie się konfliktowa, ideologiczna i... bardziej teatralna, a przez to ciekawsza. Wieszczono z tego tytułu duże kłopoty dla Merkel, która musi przestać się zachowywać jak cesarzowa będąca ucieleśnieniem jedności Niemców, a przyjąć nielubianą przez siebie rolę strony w ostrym konflikcie, i to na dwóch frontach: z silną po wyborach ksenofobiczną AfD po prawej stronie oraz ostro zjeżdżającą w gospodarczy socjalizm SPD. Wyglądało na to, że sprawny i bezwzględny duet Schulz–Nahles chce stworzyć nową oś sporu w niemieckiej polityce, niemal w identyczny sposób, jak zrobiło to niegdyś PiS, rozpędzając na cztery wiatry PO propagandową antynomią „Polska solidarna przeciw liberalnej".

Ów ideologiczny ton miała nadawać zwłaszcza stojąca u boku Schulza Andrea Nahles, 47-letnia lewicowa katoliczka z Nadrenii, niegdyś minister pracy w trzecim koalicyjnym gabinecie Merkel. Nahles znana była dotąd zwłaszcza z dwóch rzeczy: po pierwsze, z poparcia dla związkowców, w których interesie przeforsowała wprowadzenie płacy minimalnej oraz liczne prorobotnicze układy zbiorowe; po drugie – z zaciekłych krytyk i drwin z Merkel, o której w 2013 r. szyderczo śpiewała z trybuny Bundestagu piosenkę Pippi Pończoszanki, tak bardzo pewnej siebie, że planującej cały świat urządzić na swoją modłę. Buńczuczny Schulz w sojuszu ze zjadliwą Nahles wydawali się parą zdolną nie tylko wykosić każdego konkurenta w partii, lecz także w przyszłości pogrążyć samą Merkel.

ZNOWU RAZEM

Wszystko wywróciło się jednak do góry nogami pod koniec listopada, gdy się okazało, że Merkel nie potrafi (albo raczej po prostu nie chce) zrobić rządu pozostawiającego lewicę w swobodnej opozycji. SPD została postawiona pod ścianą i po serii konwulsyjnych wstrząsów wewnętrznych zdecydowała się znów negocjować „wielką koalicję", uważaną dotąd w partii za źródło nieszczęść. Na styczniowej konferencji w Bonn szalę przechyliła właśnie Nahles, swoją błyskotliwą sześciominutową przemową, w której dowodziła, że powinnością partii jest służba zwykłym Niemcom, a nie samej sobie.

ZWYCIĘSTWO LEWICY

Trudne i przewlekłe rozmowy z Merkel o kształcie i programie kolejnego wspólnego rządu skończyły się dopiero w nocy z 6 na 7 lutego parafowaniem 176-stronicowej, dość drobiazgowej (jak to w Niemczech) umowy koalicyjnej, która – bez najmniejszych wątpliwości – była zwycięstwem lewicy. I to nie tylko dlatego, że partia przeforsowała tam, przynajmniej co do zasady, główne prosocjalne hasła programowe, jak walka z czasowymi umowami pracy i przywileje dla systemu publicznych ubezpieczeń zdrowotnych, w stosunku do uprzywilejowanych dotąd ubezpieczeń prywatnych (nad szczegółami mają dalej pracować eksperci). Ale przede wszystkim SPD wymusiła na Merkel oddanie jej trzech kluczowych resortów w następnym rządzie: finansów, spraw zagranicznych oraz pracy.

Zwłaszcza odebranie chadecji odpowiedzialności za finanse zostało potraktowane przez wielu aktywistów CDU jako klęska. Dwaj wybitni politycy chadeccy, niegdyś odsunięci przez Merkel od wpływów za nadmierną inteligencję i samodzielność, postanowili teraz wziąć odwet na pani kanclerz, wzywając partię, aby odrzuciła to „upokorzenie będące kapitulacją" (Friedrich Merz, były szef frakcji w Bundestagu) oraz „strukturalne osłabienie partii w aparacie władzy i utratę wpływów" (Norbert Röttgen, były minister środowiska). Chociaż przejawy niezadowolenia w szeregach chadecji są ostatnio coraz liczniejsze, można się spodziewać, że Merkel jednak przetrwa ową nieprzyjazną dla niej falę, która z pewnością rozleje się na nadzwyczajnym zjeździe partii (Berlin, 26 lutego).

Zadowolone jest tylko bawarskie skrzydło chadecji, gdyż szef CSU Horst Seehofer to bodaj główny tryumfator nowej umowy koalicyjnej. Jego dwuipółletnia walka z Merkel

eprasa.pl 4329e3eee2

o wprowadzenie kwot imigracyjnych, w której sprzymierzył się z głównymi przeciwnikami kanclerz na tym polu – Austriakiem Kurzem i Węgrem Orbánem – kończy się nie tylko wpisaniem jego postulatów do programu nowego rządu, lecz także objęciem przez niego samego funkcji ministra spraw wewnętrznych, czyli gwaranta dopilnowania nowego antyimigranckiego kursu politycznego.

BRUTALNA INTRYGA I FILMOWY ZWROT AKCJI

Co ciekawe, polityczny sukces negocjacji wywołał potężny kryzys wewnętrzny w SPD. Najpierw partyjna młodzieżówka JUSO i jej 28-letni, acz perfekcyjny w politycznej demagogii, szef Kevin Kühnert wszczęli kampanię zapisywania się do partii nowych członków, przeciwnych jakiejkolwiek wersji umowy z Merkel. To pomysł na to, aby zablokować ową umowę w trybie referendum partyjnego, które wystraszeni zmianą całej swojej strategii Schulz i Nahles zaordynowali partii jako warunek ponownej współpracy z Merkel. Apel okazał się sukcesem, gdyż niemal półmilionowa partia zanotowała w krótkim czasie kilkadziesiąt tysięcy zgłoszeń członkowskich.

Co więcej, w buntowniczej kampanii przeciw całemu kierownictwu partii młodzi wykorzystali w pierwszej kolejności powyborcze słowa Schulza zaklinającego się, że kto jak kto, ale on do rządu Merkel nie pójdzie przenigdy. W takiej sytuacji inicjatywę przejęła w partii Nahles, która zamiast bronić swego dopiero co pozyskanego sojusznika Schulza przed atakami, postawiła go pod ścianą. Dla odzyskania wiarogodności Schulz miałby teraz nie tylko zrzec się w nagłym trybie szefostwa partii, by przekazać je Nahles, lecz również oddać urząd wicekanclerza swojemu partyjnemu przeciwnikowi – burmistrzowi Hamburga Olafowi Scholzowi. Zręczną intrygą personalną Nahles wylansowała w ten sposób popularnego wśród Niemców polityka hamburskiego, który w 2015 r. wygrał tam dla SPD landowe wybory z wynikiem 47 proc., a po porażce 24 września zaatakował Schulza, publikując skierowany do szefa partii memoriał zatytułowany: „Żadnych wykrętów!".

Paradoksalnie Scholz to polityk ideologicznie obcy także Nahles, gdyż wierny liberalno-lewicowej szkole swojego dawnego patrona kanclerza Gerharda Schrödera, po którego porażce ustąpił niegdyś z funkcji sekretarza generalnego partii. Ale potem jako wieloletni burmistrz miasta, w którym żyje ponoć największa liczba niemieckich milionerów, zasłynął swoim przyjaznym nastawieniem do biznesu oraz świetną współpracą z Merkel, która z determinacją broniła go w opałach, po gigantycznych rozruchach anarchistów w Hamburgu w trakcie ubiegłorocznego szczytu G-20.

Wydawało się, że brutalna intryga Nahles osiągnęła swój cel, gdyż postawiony pod ścianą Schulz publicznie zrzekł się zarówno szefostwa partii, jak i urzędu wicekanclerza, zapowiadając, że wejdzie do rządu tylko jako „zwykły szef MSZ", który odbył już dotkliwą pokutę za wszystkie wcześniejsze grzechy. Ale wtedy właśnie doszło do sceny jak z banalnego filmu akcji. Pokonany już dawno (tak się przynajmniej Schulzowi wydawało) Sigmar Gabriel, któremu rok temu Schulz arogancko zabrał partię, a teraz bez zmrużenia oka postanowił także zabrać MSZ, zobaczył chwilę słabości swojego prześladowcy i postanowił wziąć odwet, broniąc również swego rządowego stanowiska. Kiedy więc 9 lutego Schulz zapowiedział rychłe oddanie partii Nahles, wyrażając przy tym nadzieję na „koniec debaty personalnej na lewicy", tego samego dnia w gazetach grupy medialnej Funke ukazał się wywiad Gabriela, w którym szef dyplomacji opowiada, że w jego partii „nie ma już żadnego szacunku dla ludzi", a „dane słowo w ogóle się już nie liczy". Minister odwoływał się przy tym do słów swojej córeczki Marie, która po informacji o planie pozbawienia go urzędu przez Schulza miała powiedzieć: „Nie bądź smutny tatusiu, bo będziesz mieć teraz więcej czasu dla nas. A to przecież jest lepsze od tego, co robi ten facet z włochatą gębą" (Schulz, jak wiadomo, w przeciwieństwie do Gabriela jest brodaczem).

W partii rozpętało się piekło, a Schulz, który już zrzekł się publicznie szefostwa partii, musiał się zrzec także członkostwa rządu. W ogólnym zamęcie, jaki zapanował w SPD, zwołany został na wtorek 13 lutego zarząd partii, który nie tylko usunął definitywnie Schulza, lecz również podważył jego prawo do sukcesji partyjnej na rzecz Nahles. W tej sytuacji nieoczekiwanym komisarycznym szefem SPD został... hamburczyk Olaf Scholz, który za chwilę ma być także wicekanclerzem i ministrem finansów, trzęsącym (jak każdy niemiecki minister finansów) całą strefą euro. Nahles zaś uznana została tylko za kandydatkę, która dopiero podczas kwietniowego zjazdu partii w Wiesbaden ma walczyć o przywództwo w starciu (jak można się spodziewać) z innymi konkurentami. Oczywiście wszystkie awanse rządowe Olafa Scholza zależą z kolei od partyjnego referendum, którego wyniku w obecnej sytuacji nikt przecież nie może być pewny.

CO DALEJ

Na razie więc wiadomo, że Martin Schulz jest główną ofiarą niebywałej fali kreciej roboty i knowań wszystkich przeciw wszystkim w kierownictwie SPD. Nie wiadomo, co zdarzy się w Berlinie dalej. Nahles, którą zwłaszcza lewicowe niemieckie media traktują jako ostatnią deskę ratunku nie tylko dla SPD, lecz w ogóle dla Niemiec, ma spore szanse na wygranie kwietniowych wyborów partyjnych. Widać też jasno, że negatywny wynik referendum partyjnego byłby samobójstwem niemieckiej lewicy. Jednak w zamęcie takim jak obecny, gdy uprzedzenia, intryga i złość dominują nad wszelką racjonalnością, wszystko jest możliwe.

To, co z polskiej perspektywy musi być szczególnie uderzające, to fakt, że powolny zmierzch epoki Merkel wyzwolił w Berlinie tak irracjonalne, a zarazem tak bezwzględne zachowania polityków walczących o pozycję i przetrwanie. Jeszcze niedawno mogło się przecież wydawać, że cokolwiek by sądzić o niemieckiej polityce, to jednak bardziej niźli polska czy francuska zwykła się ona kierować roztropnością oraz oględnością. Otwarte widowisko z rekinami w rolach głównych, niezamaskowane nawet żadnym osłaniającym PR, bardziej przypomina polityczną kulturę demokratycznej Republiki Weimarskiej niż standardy, do których przyzwyczaiła nas powojenna Bundesrepublika.

56/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2

Wyznaczamy nowe standardy współpracy

- Profesjonalna wycena portfeli wierzytelności
- Skuteczne odzyskiwanie należności
- Kompetentna obsługa osób zadłużonych

www.getbacksa.pl



getback

Zarządzanie wierzytelnościami

eprasa.pl 4329e3eee2

Dobry Bóg ma już tego dość

Jak się tak dobrze przyjrzeć atakom polityków i mediów izraelskich oraz mediów zachodniego mainstreamu na Polskę, wychodzi na powierzchnię życia politycznego brudna piana egoizmów osobistych, partyjnych i mafijnych. Polityka, którą filozof starożytnej Grecji Arystoteles zdefiniował jako sztukę rządzenia państwem, której cel stanowi dobro wspólne. Brzmi pięknie, a jak dodamy jeszcze demokrację, czyli wolę ludu, to znaczy, wolę większości, suwerena, który decyduje o tym, kto rządzi krajem w demokratycznym głosowaniu – jawi się idealny model życia społeczeństw, narodów i jednostek. A tymczasem okazało się, że we współczesnym świecie polityka to często draństwo, oszustwo i dyktatura, nic innego jak tylko dążenie do udziału we władzy dla samej władzy. Od czasów Arystotelesa minęło blisko dwa i pół tysiąca lat, a od potopu, którym Bóg ukarał ludzkość, jeszcze więcej. Ludzkość jakoś się pozbierała, ale w swojej wolnej woli danej jej przez Boga dąży do samounicestwienia. W tym dziele pomogły jej kolejne rewolucje techniczne odbierające stopniowo, lecz nieubłaganie wolność materialną i duchową. A przede wszystkim samodzielność myślenia i oceniania polityki i polityków, monarchii i rządów, które stosowały terror w dążeniu do utrzymywania władzy. Doszło do takiego stanu świadomości członków społeczeństw, w którym nie są oni w stanie odróżniać dobra od zła, ponieważ zło okazało się bardziej ponętne, przynoszące radość z byle czego, pozbawiając człowieka atrybutów moralnych, takich jak odpowiedzialność, uczciwość, przyzwoitość i prawda.



Dziś pokolenie milenialsów wychowane w zakłamaniu i hipokryzji wierzy, że wystarczy zaspokoić zewnętrzne potrzeby, aby być szczęśliwym. To dlaczego właśnie w tej generacji jest tak wiele samobójstw?

Dziś pokolenie milenialsów wychowane w zakłamaniu i hipokryzji wierzy, że wystarczy zaspokoić zewnętrzne potrzeby, aby być szczęśliwym. To dlaczego właśnie w tej generacji jest tak wiele samobójstw? Bo nie zostały spełnione roszczenia, ich zdaniem – uprawnione. I nie są to jakieś wygórowane oczekiwania. Po prostu nie narobić się, nie wysilać szarych komórek, konsumować, co rzuca na rynek mafia produkcyjna, bawić się na poziomie potrzeb rozrywkowych gimnazjalisty i wykorzystywać najbliższych, naiwnie wierzących w miłość bliźniego. I oczywiście dać się wykorzystywać przez cynicznych polityków. A gdy na drodze do spełnienia tych wszystkich „marzeń" staje rzeczywistość, utrata pracy, zdrowia i niemożność odnoszenia sukcesów godnych zazdrości, człowiek popełnia samobójstwo, bo zachorował na depresję. Depresja jest najmodniejszą przypadłością 30–40-latka, tzn. milenialsa. Wszystko go załamuje i prowadzi do agresji, nadpobudliwości i utraty wiary w siebie. Okazało się, nie wiedzieć dlaczego, że aby dorównać innym, trzeba się wziąć za siebie i pokonywać przeszkody, jakie nam szykuje życie. Kandydat na samobójcę to ktoś, kto nie boi się śmierci, on boi się życia. Nie wierząc w Boga, a najczęściej wątpiąc w jego istnienie, wybiera śmierć, po której nie ma nic. Ani kary, ani nagrody, ani odpowiedzialności. Młode pokolenie składa się w większości z agnostyków, niedowiarków, wyznawców poglądu wygodnego i niezobowiązującego. Wiara przeszkadza w robieniu kariery, nakłada jakieś ograniczenia w postaci 10 przykazań, bez których można się przecież obejść, co pokazuje życie.

Taki pogląd na świat został ukształtowany przez dziesięciolecia systematycznego opróżniania mózgów i dusz z najważniejszych cech ludzkich, wśród których na miejscu pierwszym jest miłość do drugiego człowieka, do męża, żony, dzieci, rodziców, do wszelkiego stworzenia. W naszej rzeczywistości mamy do czynienia ze zbrodnią z powodu uaktywnienia się najniższych instynktów, wśród nich instynktu posiadania kobiety, mężczyzny, samochodu, smartfona, pieniędzy niezdobytych pracą, niezasłużonego wykształcenia czy stanowiska. To już nie jest zwykła depresja, to jest niczym nieograniczona agresja. Oto na Florydzie relegowany ze szkoły uczeń zabija kilkanaście osób, kilkanaście rani i nie ma z tego powodu wyrzutów sumienia. W Polsce zdarza się coraz częściej, że wnuczek zabija babcię, bo nie chce mu dać pieniędzy, potomek morduje rodziców w nadziei na zawłaszczenie ich dorobku, matka odbiera życie małemu dziecku, bo ogranicza jej wolność od obowiązków i od macierzyństwa.

Dobry Bóg ma już tego dość. Dał nam wolną wolę, która zamieniła się w samowolę. W panowanie zła. Wspomagani przez cybernetyczne wynalazki uprawiamy orgię samozniszczenia. Być może nadeszła pora stworzenia nowego człowieka, powrotu do człowieczeństwa, którego pozbawiamy się sami z wolnej woli. Być może koniec jest bliski, bliższy niż nam się wydaje.

39/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2

Jeden
z największych
producentów
surowców
chemicznych
w Europie

POLSKI
KAPITAŁ



SYNTHOS
synonim
innowacyjnej
POLSKI

synthos
chemical innovations



100
pracowników
naukowych

3000
pracowników

7
zakładów
produkcyjnych



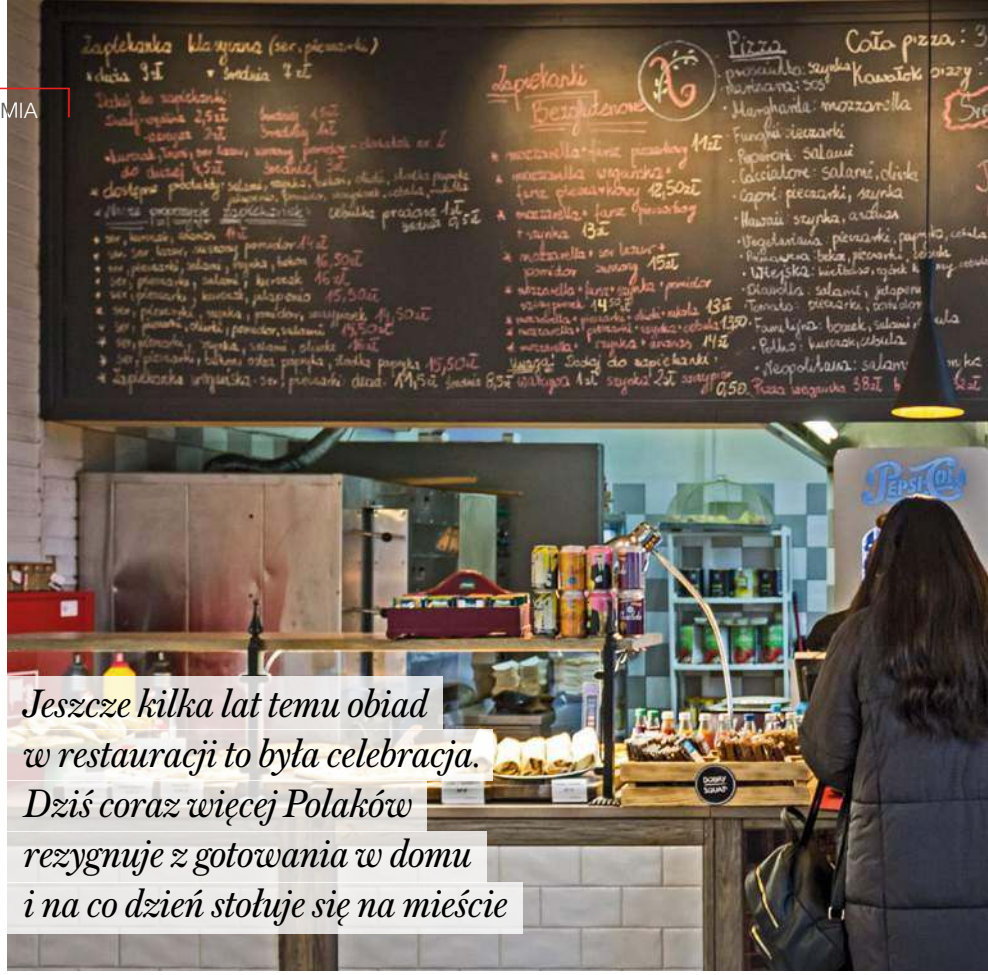
70
lat tradycji

synthosgroup.com

eprasa.pl 4329e3eee2



EWA WESOŁOWSKA



Jeszcze kilka lat temu obiad w restauracji to była celebracja. Dziś coraz więcej Polaków rezygnuje z gotowania w domu i na co dzień stołuje się na mieście

Biznes na talerzu

W przejściu podziemnym przy Dworcu Centralnym w Warszawie przed stoiskami z jedzeniem na wynos po godz. 16.00 zaczyna się kłębić tłum. Ludzie chwytają paczki z kebabami, torebki z zapiekankami, pudełka z pierogami, makaronem, ryżem i biegną do pociągów, metra, tramwajów, autobusów. Ci najbardziej wygłodniali zaczynają jeść już na przystankach albo w środkach komunikacji miejskiej (co dla współpasażerów bywa nieco obrzydliwe). Wielu jednak przywozi łupy do domu, siada przy stole albo na kanapie, woła rodzinę, włącza telewizor i je.

Jeszcze w 2011 r. ponad 60 proc. Polaków w ogóle nie stołowało się poza domem, a zaledwie 4 proc. przyznawało się do jadania w lokalach raz w tygodniu. Teraz sytuacja zmieniła się diametralnie: z raportu „Polska na talerzu 2017" opracowanego przez firmę Homo Homini wynika, że liczba osób jedzących tylko w domach stopniała prawie o połowę (teraz to ok. 35 proc.), a tych, którzy chodzą do restauracji raz w tygodniu, jest już ok. 14 proc. Co ciekawe, 86 proc. ankietowanych przyznało, że jada poza domem co najmniej raz w miesiącu. W sumie w 2017 r. na posiłki poza domem wydaliśmy 36 mld zł, czyli o 9 proc. więcej niż przed rokiem.

KUCHNIA OD DESIGNERA

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka: po pierwsze, więcej zarabiamy, więc stać nas na to, by stołować się na mieście. Druga przyczyna to brak czasu: na zakupy i gotowanie trzeba poświęcić ok. 1,5 godziny dziennie, a pracując 8–10 godzin na dobę i wychowując dzieci, nie ma na to sił. Trzecia przyczyna to nasze małe kuchnie. Nie ma w nich miejsca na siekanie mięsa, skrobanie czy smażenie ryb, wielogodzinne gotowanie wywarów. A jeszcze gdy kuchnia jest tzw. droga, biała, designerska i na dodatek połączona z salonem, to gotowanie w niej wydaje się barbarzyństwem.

I wreszcie czwarty powód zmiany zwyczajów jedzeniowych Polaków to rozrastająca się dynamicznie oferta rynku gastronomicznego. Wysyp knajp, stołówek, barów, stoisk mobilnych serwujących dania z różnych regionów świata jest ogromny. I to nie tylko w dużych miastach, lecz nawet w średnich oraz małych, takich jak Kowary, Pułtusk, Serock, Supraśl czy Wyszogród.

Wiele stołówek i barków powstało w prywatnych domach oraz mieszkaniach. Często były one dla właścicieli ratunkiem od bezrobocia czy życiowej katastrofy. Tak jak w przypadku pani Bożeny z Płocka, która kilka lat temu straciła w wypadku męża i została z dwójką małych dzieci. Zaczęła we własnej kuchni gotować obiady, przygotowywać lunche dla okolicznych firm. Nic wymyślnego: proste, tzw. domowe potrawy, bez konserwantów i polepszaczy smaków. Dziś wynajęła lokal z jadalnią i przestronną kuchnią wyposażoną w nowoczesne płyty grzewcze, piece, zmywarki, lady chłodnicze. Pracuje z córkami od rana do wieczora, ale klientelę ma wierną. Po obiady za 12–17 zł przychodzi do niej większość sąsiadów.

GDZIE I ZA ILE JEMY

Z sondażu BCMM przeprowadzonego we wrześniu 2017 r. wynika, że

eprasa.pl 4329e3eee2



Fot. Zuzanna Kruschewska

Polacy, jedząc poza domem, najczęściej wybierają dania kuchni polskiej. Robi to aż 77 proc. badanych, przy czym 84 proc. to pięćdziesięciolatki. W drugiej kolejności do naszych ulubionych należy kuchnia włoska (pizza i spaghetti), a na trzecim miejscu znajdują się przysmaki amerykańskie, czyli hamburgery i hot dogi. Przy czym gustują w nich najmłodsi badani (preferowanie kuchni amerykańskiej deklaruje 33 proc. osób w wieku 18–24 lata, dla porównania wśród respondentów w wieku 55 lat i więcej ten odsetek wynosi 5 proc.).

Z raportu „Polska na talerzu 2017" wynika też, że z każdym rokiem wydajemy coraz więcej na posiłki na mieście. Kwota zostawiana w lokalach zarówno w ciągu tygodnia, jak i podczas weekendowych wyjść oscyluje zazwyczaj wokół 10–30 zł, co zadeklarowało 32 proc. respondentów. Z kolei z innych badań wynika, że co piąty ankietowany na posiłki na mieście wydaje mniej niż 20 zł. Aż 65 proc. osób deklaruje, że za jedzenie poza domem płaci dziennie od 21 do 50 zł. Jedynie 14 proc. wydaje powyżej 50 zł. Generalnie perspektywy dla rozwoju polskiej gastronomii są świetne, bo dziś tylko 2,3 proc. wydatków gospodarstw domowych trafia do różnego typu restauracji czy barów, podczas gdy średnia europejska wynosi 6,7 proc.

Co ciekawe, jeszcze kilka lat temu to, czego nie zjedliśmy, zostawialiśmy na talerzu. Teraz ponad połowa respondentów zabiera niezjedzone danie do domu. Częściej jednak robią to mieszkańcy dużych miast. W małych zabieranie resztek do domu to jednak obciach.

Z 36 mld zł, które przejedliśmy na mieście, najwięcej zostawiliśmy w sieciach fastfoodowych, restauracjach i barach. Ich udział w ogólnych wydatkach gastronomicznych wynosi ok. 50 proc. Reszta to katering (słynny „pan kanapka"), barki sklepowe, food trucki i cieszące się coraz większą popularnością targi śniadaniowe, na których można kupić produkty spożywcze od lokalnych producentów rolnych, ale też gotowe dania przyrządzone przez pasjonatów kuchni. Na targi przychodzą całe rodziny z dziećmi, przyjaciółmi, siadają przy stołach, biesiadują.

W ostatnich latach wielką popularnością cieszą się też specjalne przestrzenie typu street food. Może to być np. część ulicy, placu czy też innej wspólnej przestrzeni, gdzie w jednym miejscu stawia się stragany z produktami spożywczymi, otwiera knajpki, małe bary z jedzeniem. Trochę na wzór azjatyckich bazaro-ulic czy europejskich hal targowych. Chyba najbardziej snobistycznym takim miejscem w Warszawie jest odrestaurowana Hala Koszyki, gdzie na jedzenie i plotki przychodzi tzw. warszawka. Innym, mniej lanserskim miejscem jest Nocny Market, który powstał w ub.r. w hali Dworca Głównego w stolicy. Jest tu mnóstwo stoisk z jedzeniem, stołów, miejsc do siedzenia. Mniej tu rodzinnie niż na targach śniadaniowych, bo Nocny Market, jak sama nazwa wskazuje, żyje głównie wieczorami. Ale zjeść i wypić za niewielkie pieniądze można tu na pewno.

Dla rodzin z dziećmi niezłym rozwiązaniem są natomiast restauracje i jadłodajnie serwujące dania na wagę. Za 100 gramów jedzenia (bez względu na to, czy to mięso, kasza, czy warzywo) płaci się ok. 3 zł. Bierze się tyle, ile dziecko zje, i po kłopocie. Przynajmniej jedzenie się nie marnuje.

JEDZENIE ON-LINE

Duży wpływ na rynek gastronomiczny ma też rozwój nowych technologii. Po pierwsze, rośnie liczba punktów, które oferują posiłki on-line. Ale nie tylko. Rozwijają się też całe systemy konsumencko-lojalnościowe, które błyskawicznie pozwalają wybrać knajpę, zamówić stolik, skorzystać z różnych rabatów. Jednym z takich rozwiązań jest np. aplikacja smartRest. Już na starcie, pobierając aplikację, otrzymujemy nagrodę w postaci vouchera. Kilkoma kliknięciami w ekran smartfona wygodnie sprawdzimy apetyczne menu oferowane w naszej restauracji, kawiarni, w naszym barze, które są smart. Dzięki smartRest zamówimy lunch, wychodząc np. z biura, bez kolejek. Zarezerwujemy stolik, sprawdzimy, czy w danej restauracji jest strefa dziecka, ogródek, wi-fi, klimatyzacja. Będąc smart, płacimy od ręki, nie musimy mieć portfela, nie musimy też czekać na kelnera przed posiłkiem ani po nim – wybór należy do nas. Jedząc, zbieramy punkty, a w ramach nagrody wybieramy dowolny posiłek w dowolnej smart restauracji.

Stosunkowo nową rzeczą jest aplikacja Quertes. To taki gastronomiczny Uber, czyli kolejny projekt z pola tzw. ekonomii współdzielenia – serwis łączący kucharzy i klientów. Jak działa? Jeśli ktoś ma za dużo jedzenia, może to zgłosić i zaoferować innym uczestnikom serwisu obiad za opłatą. Obie strony nie muszą się przy tym obawiać, że zostaną naciągnięte – aplikacja tak steruje płatnościami, by nie dochodziło do nieporozumień. Oczywiście twórcy aplikacji nie robią tego za darmo: pobierają prowizję wysokości 14 proc. ceny sprzedanego posiłku.

To, że Polacy więcej jedzą na mieście, nie oznacza jednak, iż przestali gotować. Gotują, ale bardziej dla zdrowia czy potrzeby celebracji posiłków. Domowy obiad przyrządzony z wysokiej jakości produktów jest dla wielu rodzin małym świętem. Zaprasza się przyjaciół, którzy często przyłączają się do gotowania, rozmawia się, bawi się z dziećmi. Takie odwiedziny mogą być też świetną okazją do tego, by pochwalić się designerską kuchnią.

eprasa.pl 4329e3eee2

Resort superważny

Nie tylko przedsiębiorcy, finansiści, Ministerstwo Finansów, Sejm czy strategie i programy rozwojowe zdecydowały o tym, że stan polskiej gospodarki, budżetu oraz finansów jest po dwóch latach rządów PiS bardzo przyzwoity, a wskaźniki makroekonomiczne są coraz lepsze i wyróżniające się w Europie. Równie ważną rolę odegrał wymiar sprawiedliwości



JANUSZ SZEWCZAK

Nic dziwnego zatem, że „Dziennik Gazeta Prawna" w swym corocznym rankingu pośród 50. najważniejszych osób dla polskiej gospodarki i finansów w 2017 r. na wysokim, piątym miejscu umieściła ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę. Nic tak bowiem nie sprzyja finansom i biznesowi, obok przyjaznych podatków, jak sprawne sądy oraz skuteczna prokuratura, i nic tak nie przeszkadza pewności obrotu gospodarczego, inwestycjom i aktywności gospodarczej obywateli jak niewydolny, nieuczciwy i uwikłany w walkę polityczną wymiar sprawiedliwości. Nie bez znaczenia więc dla spraw gospodarczych naszego kraju były regulacje zainicjowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości, dotyczące losowego przydziału spraw dla sędziów, zasada niezmienności składu sędziowskiego, jawne deklaracje majątkowe sędziów czy zmiany personalne w kierownictwie wielu sądów, tak zwalczane i bojkotowane przez opozycję, szemrany biznes i „nadzwyczajną kastę ludzi". Niewątpliwie też temu resortowi i temu ministrowi oraz jego współpracownikom należy przypisać udział w znaczącym sukcesie uszczelniania polskiego systemu podatkowego.

Resort Zbigniewa Ziobry na przestrzeni ostatnich dwóch lat wprowadził liczne i skuteczne narzędzia eliminujące luki prawne, trafnie diagnozując, gdzie znikają miliardy złotych z publicznych pieniędzy i do czyich kieszeni trafiają. Mimo oporu totalnej opozycji i nieustannych ataków medialnych Ministerstwo Sprawiedliwości drastycznie zwiększyło sankcje i kary za oszustwa podatkowe (od trzech do 15 lat więzienia za fałszowanie faktur i wyłudzenia VAT, a dla przestępstw tego typu o wartości powyżej 10 mln zł nawet kary 25 lat więzienia). Zagrożenie tak wysoką karą realnej odsiadki podziałało odstraszająco i okazało się bardzo skuteczne. Dobrym rozwiązaniem było także wprowadzenie przez ministra Ziobrę i wiceministra Warchoła tzw. rozszerzonej konfiskaty majątkowej za przestępstwa gospodarcze, finansowe, podatkowe i kryminalne. Opcja przepisania majątku wielomilionowej wartości na ciotkę czy dalekiego krewnego przestała być możliwa, choć w minionych latach rekiny świata przestępczego stosowały tę metodę na wielką skalę całkowicie bezkarnie. Chociaż te przepisy weszły w życie wiosną 2017 r., prokuratorom już udało się zabezpieczyć i przejąć majątek pochodzący z przestępstw na 600–800 mln zł. Kwota ta nadal rośnie.

Jest oczywiste, że bez bezprecedensowych działań polskiego rządu, Ministerstwa Finansów i jego służb, w tym zwłaszcza „superuszczelniacza" systemu podatkowego wiceministra finansów Mariana Banasia, szefa Krajowej Administracji Skarbowej, nie byłoby ani 40 mld zł więcej dochodów podatkowych w budżecie państwa za 2017 r., ani niższego deficytu budżetowego na poziomie ok. 25 mld zł. Również bez zakrojonych na ogromną skalę i zarazem skutecznych działań resortu sprawiedliwości oraz Prokuratury Generalnej, kierowanych przez Zbigniewa Ziobrę i jego młodą, ale już jakże profesjonalną ekipę, udana realizacja polityki dochodowej, fiskalnej, a także programów społecznych dziś już na kwotę ok. 70 mld zł nie byłaby możliwa. W tej kwestii resortowa współpraca MF i MS okazała się naprawdę dobra, bo skutecznie zatrzymała rabunek dochodów podatkowych – i to nie tylko z VAT – tak charakterystyczny w latach 2007–2015, gdy rządziła koalicja PO-PSL. Te konkretne działania legislacyjne, postępowania prokuratorskie przyniosły wymierne efekty liczone w miliardach złotych dla polskiego budżetu i obywateli. Tylko z tytułu spraw prowadzonych wobec 2 tys. osób objętych śledztwami dotyczącymi wyłudzeń podatku VAT skala strat finansowych państwa jest szacowana na prawie 14 mld zł.

Ale to przecież nie wszystko, co zdarzyło się w polskim wymiarze sprawiedliwości w ciągu zaledwie ostatnich dwóch lat, a co miało istotny wpływ na sprawy gospodarcze i finanse publiczne oraz prywatne. Prawdziwą walkę z patologiami w zakresie złodziejskiej reprywatyzacji kamienic i nieruchomości podjął wiceminister Patryk Jaki, czego konkretnym wyrazem było powołanie komisji weryfikacyjnej. Wielkość strat z tego tytułu można już dziś szacować na łączną kwotę ok. 4 mld zł. Równie ważny dla sprawy pewności

35/0218/F

eprasa.pl 4329e3eee2

obrotu gospodarczego okazał się projekt ustawy reprywatyzacyjnej – tu gra idzie już być może o setki miliardów złotych. Z kolei wiceministrowie Warchoł i Wójcik podjęli walkę z tzw. polisolokatami i z lichwą, przygotowując nowe rozwiązania prawne w celu ochrony słabszych na polskim rynku finansowym. Chodzi tu o istotne zmiany w Kodeksie karnym, które mają chronić Polaków przed chciwością naciągaczy oferujących lichwiarskie pożyczki. Coraz częściej też prokuratura włącza się w procesy cywilne po stronie ofiar lichwiarzy – za rządów PO-PSL w latach 2008–2010 prawie 90 proc. tego typu spraw było umarzanych lub wręcz odmawiano ich wszczęcia i tylko w czterech przypadkach skazano lichwiarzy. To oczywiście ma ogromny wymiar finansowy i gospodarczy, podobnie jak procedury zwalczania nadużyć ze strony nieuczciwych oraz niekompetentnych komorników.

Dla bezpieczeństwa ekonomicznego państwa i obywateli praktyczne znaczenie mają również wprowadzone przez ministerstwo Zbigniewa Ziobry przepisy dotyczące odpowiedzialności karnej firm (kary pieniężne mogą sięgnąć nawet 30 mln zł), jak i świeżo wprowadzone sankcje za cofanie liczników w autach, wydłużenie okresu przedawnienia przestępstw z pięciu do 10 lat, a nawet skuteczne ściąganie alimentów. Zaległości z tytułu alimentów urosły bowiem w minionych latach do astronomicznej kwoty 10 mld zł. Ściągalność alimentów tylko w 2017 r. wzrosła o niemal 30 proc., wszczęto aż 45 tys. spraw tego typu, więzienia skutecznie wystraszyły alimenciarzy. Resort sprawiedliwości przygotował również nowe przepisy o upadłości konsumenckiej, chroniące setki ludzi, którzy np. z powodu choroby lub utraty pracy nie są w stanie spłacać długów i którzy znaleźli się w dramatycznej sytuacji (kwota zagrożonych i niespłacanych kredytów firm oraz osób prywatnych to już ok. 70 mld zł).

> W ramach nowych przepisów o rozszerzonej konfiskacie majątkowej prokuratorzy zabezpieczyli majątek na kwotę 600–800 mln zł

Polacy czekają jeszcze na finał i surowe ukaranie osób odpowiedzialnych za wielkie afery gospodarcze oraz finansowe, w tym takie jak Amber Gold, SKOK-Wołomin czy SK-Bank, bo to również będzie miało pozytywny wpływ na przejrzystość naszego życia gospodarczego, bezpieczeństwo i stabilność rynku finansowego nad Wisłą.

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl



Fot. shutterstock | 29/1017/F

Rozpędzanie smogu prądem

Ostatni atak zimy zwiększył zapotrzebowanie na ciepło i jednocześnie sprawił, że stężenie smogu w wielu polskich miastach przekroczyło normy. Jest szansa, że za rok problem będzie znacznie mniejszy dzięki nowym taryfom antysmogowym, wprowadzonym przez energetykę

Nie ma jednego źródła smogu, na dodatek w różnych miastach główne przyczyny powstawania smogu są różne. Generalnie jednak uznaje się, że dwoma podstawowymi źródłami są samochody, zwłaszcza te z silnikami Diesla, oraz kotły, którymi ogrzewane są gospodarstwa domowe i małe firmy. O tym, jak potężne jest to ostatnie źródło, najlepiej świadczy fakt, że spadek temperatury w naszym kraju w ostatnim czasie wiąże się ze wzrostem poziomu smogu w powietrzu. Stąd działania, prowadzone przez rząd, mające na celu doprowadzenie do eliminacji kotłów, zwłaszcza tych najstarszych i najmniej wydajnych, i tym samym znaczące ograniczenie emisji pyłu będącego głównym składnikiem smogu.

ANTYSMOGOWA OFERTA OD ENERGETYKI

Jednym z tych działań, zainicjowanych przez Ministerstwo Energii i rozwijanych przez spółki energetyczne, są taryfy antysmogowe. Innymi słowy, energia sprzedawana przez firmy energetyczne w nocy jest w ramach tych taryf wyraźnie tańsza niż ta oferowana w innych porach doby, co umożliwia wykorzystanie jej do ogrzewania domów.

Firmy energetyczne już wcześniej podejmowały próby wprowadzania do swojej oferty rozwiązań proekologicznych. Przykładem może być Grupa PGE, która ma w ofercie dla firm rozwiązanie pozwalające na korzystanie w określonym procentowo zakresie z prądu pochodzącego wyłącznie z odnawialnych źródeł. Nowością nie jest także zróżnicowanie ceny prądu w zależności od tego, czy pobór następuje w dzień, czy w nocy. Jednak rzeczą do tej pory niespotykaną jest skala owego zróżnicowania. Jak wynika z analizy przygotowanej przez Ministerstwo Energii, cena prądu w taryfie antysmogowej wynosi w niektórych przypadkach mniej niż 10 proc. ceny prądu oferowanego w podstawowej taryfie gwarantującej stałą cenę.

Mimo tak dużych różnic w cenie to rozwiązanie korzystne również dla grup energetycznych, które nie tylko energię sprzedają, lecz również ją wytwarzają i dostarczają do domów. Chodzi o to, że wzrost zapotrzebowania na energię nocą zwiększy wykorzystanie elektrowni, których pracę w nocy ogranicza się do minimum. Od zawsze bardzo niskie zapotrzebowanie na energię stanowi dla energetyki wyzwanie, dlatego zwiększenie produkcji w nocy i sprzedanie jej gospodarstwom domowym jest w tym przypadku dobrym kierunkiem.

eprasa.pl 4329e3eee2

PRĄD STAŁ SIĘ CAŁKIEM KONKURENCYJNY

Ale o sukcesie taryf antysmogowych oczywiście zdecydują klienci. Innymi słowy, jeśli się okaże, że Polacy rzeczywiście rezygnują z opalania domów węglem i decydują się na ogrzewanie domów z wykorzystaniem energii elektrycznej, taryfy antysmogowe staną się sukcesem.

Jak podliczyło to Ministerstwo Energii, dzięki wprowadzeniu nowych taryf – które, przypomnijmy, obowiązują w godzinach 22.00-6.00 – energia elektryczna stała się konkurencyjna w stosunku do innych paliw. Przykładowo, jak wynika z szacunków ME, ogrzewanie domu o powierzchni 150 m² i zapotrzebowaniu energetycznym 165 kWh na 1 m² w ciągu roku może kosztować nawet 6 321 zł, jeśli paliwem jest olej opałowy. Ogrzewanie gazem – w zależności od sprawności kotła – może kosztować od 4 237 do 3 821 zł, a ogrzewanie węglem – od 4 427 zł do 3 443 zł. Tu warto zwrócić uwagę, że najniższe koszty ogrzewania z użyciem gazu czy węgla można uzyskać przy użyciu wysokosprawnych kotłów, które są po prostu dość drogie.

Na tym tle koszty ogrzewania prądem mogą wynieść od 3 894 zł w przypadku energii dostarczanej przez PGE, do 4 565 zł w przypadku Energi.

ME przygotowało więcej takich wyliczeń, starając się oszacować wydatki na ogrzewanie w różnych przypadkach. Chodzi zarówno o wielkość domu czy mieszkania, jak i ich izolację cieplną, a więc mniejsze zapotrzebowanie na energię. I w każdym przypadku widać, że ogrzewanie energią elektryczną jest już konkurencyjne. O tym, jak bardzo konkurencyjne, decyduje region – a więc dostawca prądu – oraz to, z jakiego źródła ogrzewania korzysta się obecnie.

Należy jednak pamiętać, że w wyliczeniach ME nie ma niektórych kosztów, wiążących się przede wszystkim z ogrzewaniem węglem. Otóż sam koszt zakupu to jedno, ale węgiel trzeba jeszcze składować. To oznacza, że trzeba dysponować piwnicą lub komórką, gdzie to paliwo jest trzymane. Na dodatek piece węglowe – inaczej niż gazowe czy elektryczne – wymagają stałej obsługi, nawet jeżeli ogranicza się ona do napełnienia pojemnika. Z kolei kotły gazowe wymagają kontroli szczelności instalacji oraz dobrego systemu wietrzenia, w innym przypadku istnieje ryzyko wybuchu. Jak widać, jeśli wziąć pod uwagę inne koszty, ogrzewanie elektryczne staje się jeszcze bardziej konkurencyjne.

BEZCENNY WPŁYW NA ZDROWIE

Jest jeszcze jeden element związany z wykorzystaniem ogrzewania elektrycznego. Otóż producenci starają się zwiększyć sprawność – a więc zmniejszyć zapotrzebowanie na paliwo – zarówno w przypadku kotłów opalanych węglem, jak i tych na gaz. Ale również producenci systemów grzewczych wykorzystujących energię elektryczną starają się zmniejszyć zapotrzebowanie na prąd. To oznacza, że na rynku pojawiają się nowe rozwiązania, znacznie mniej energochłonne niż dotychczas stosowane, co jeszcze obniża koszty ogrzewania elektrycznego. Na dodatek systemy grzewcze oparte na energii elektrycznej wymagają stosunkowo niewielkich nakładów przy instalacji. Każdy inny system wymaga centralnego kotła z rozprowadzeniem po całym domu czy mieszkaniu, tymczasem systemy elektryczne potrzebują jedynie wtyczki do prądu.

Oczywiście podstawową zaletą ogrzewania z wykorzystaniem energii elektrycznej jest brak tzw. niskiej emisji, a czystego powietrza po wyjściu z domu oraz mniejszego ryzyka zachorowania na choroby układu oddechowego na pieniądze przeliczyć się nie da.



PGE kreuje energetykę jutra

Grupa PGE skalkulowała najkorzystniejszą ofertę antysmogową, pozwalającą na oszczędności sięgające nawet 65 proc. Każdy świadomy swoich potrzeb klient może więc już dziś zmienić sposób ogrzewania swojego domu na bardziej ekologiczny i jeszcze zaoszczędzić na rachunkach za energię elektryczną.

Oferta specjalna skierowana jest do klientów decydujących się na instalację ogrzewania elektrycznego oraz korzystanie z samochodów elektrycznych, którzy zwiększą zużycie energii w godzinach nocnych, czyli od 22.00 do 6.00. Oszczędności wynikające z połączenia atrakcyjnej oferty sprzedażowej z antysmogową taryfą dystrybucyjną mogą stanowić jeden z powodów wyboru technologii grzewczej korzystnej dla środowiska, takiej jak ogrzewanie elektryczne czy też sterowane pompy ciepła.

Oferta antysmogowa PGE dostępna jest w dwóch wersjach. Jej rozszerzona edycja umożliwia klientom skorzystanie z pomocy specjalistów w przypadku zdarzeń losowych, ma ona także wydłużony termin obowiązywania gwarancji ceny obejmujący cały sezon grzewczy 2018/2019. Atutem oferty antysmogowej jest bez wątpienia jej długofalowość i stabilność, a co za tym idzie – przewidywalność pozwalająca na oszacowanie kosztów ogrzewania w dłuższej perspektywie.

Obserwujemy coraz większą świadomość ekologiczną naszych klientów i wychodzimy naprzeciw ich oczekiwaniom. Opracowujemy oferty oraz produkty idealnie dopasowane do ich potrzeb i widzimy, że klienci coraz chętniej korzystają z naszych proekologicznych propozycji.

W swoim portfolio mamy nie tylko taryfy wpływające na poprawę jakości powietrza, lecz także – jako największy wytwórca ciepła w Polsce – oferujemy klientom możliwość skorzystania z ekologicznego ciepła miejskiego pochodzącego z elektrociepłowni oraz inwestujemy w start-upy, które pracują nad rozwiązaniami sprzyjającymi walce ze smogiem. Wyznaczyliśmy sobie ambitny plan i konsekwentnie go realizujemy w oparciu o zasady zrównoważonego rozwoju. Kreujemy tym samym energetykę jutra, na czym już dziś korzystają nasi klienci.

Henryk Baranowski,
prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej

eprasa.pl 4329e3eee2



FinTech – nowe zjawisko w świecie finansów

Fot. Shutterstock | 3/1217/F

eprasa.pl 4329



Nowoczesne technologie śmiało wchodzą do sektora finansowego. Korzystają z nich nie tylko banki, lecz również podmioty, które chcą działać w branży finansowej. Aktywne i pomysłowe firmy z sektora FinTech coraz lepiej radzą sobie na rynku

FinTech, czyli Financial Technology, to innowacyjne usługi finansowe oparte na technologii informacyjnej. Ostatnie lata to efektowny marsz firm z tego sektora przez rynki Azji, Europy i Stanów Zjednoczonych. Według Komisji Nadzoru Finansowego do sektora FinTech zalicza się m.in. innowacyjne podmioty nadzorowane, czyli np. banki, instytucje płatnicze, zakłady ubezpieczeń, firmy inwestycyjne; oraz podmioty nienadzorowane, często start-upy dopiero zaczynające swoją działalność.

Właśnie start-upy tworzące innowacyjne produkty zarówno dla banków, jak i dla innych instytucji oraz przedsiębiorstw finansowych są często utożsamiane z tym sektorem. Firmy FinTech tworzą m.in. różnego rodzaju bankowe aplikacje mobilne, umożliwiające zarządzanie finansami, otwieranie kont z limitem wypłat przeznaczonych na określone cele (rozrywka, opłaty mieszkaniowe) czy informujące na jednym ekranie o transakcjach, kredytach, ubezpieczeniach i inwestycjach na wszystkich rachunkach w różnych bankach. FinTech wchodzi w obszary związane z technologią Machine Learning, czyli w programy oparte na sztucznej inteligencji, umożliwiające zarządzanie portfelami inwestycyjnymi przez wirtualnych doradców. Obszarem intensywnie penetrowanym przez FinTech jest biometria, dynamicznie rozwijają się wykorzystujące ich rozwiązania serwisy transakcyjne czy internetowe kantory wymiany walut. Ekspansja FinTech sprawia, że klienci coraz szybciej i coraz chętniej przechodzą do kanałów mobilnych.

ŚWIATOWI LIDERZY

Jakie są źródła tak imponującej kariery FinTech? Według jednej z koncepcji, prezentowanej przez firmę doradczą PwC, przyczyna leży w coraz szerszym dostępie do internetu, rozwoju aplikacji mobilnych, szybkim tempie zmian – jednym słowem: w postępie technologicznym, do którego dołączyły rosnące oczekiwania klientów. Towarzyszą im zmiany przepisów regulujących rynek finansowy, w tym rosnące obciążenia banków (kapitałowe, płynnościowe,

eprasa.pl 4329e3eee2

technologiczne) i coraz silniejsze mechanizmy ochrony konsumenta, które sprawiają, że koszty funkcjonowania instytucji finansowych stają się coraz większe. Wszystko to sprawiło, że obok tradycyjnych podmiotów rynku finansowego pojawił się FinTech, działający na styku technologii i usług finansowych. Z drugiej strony konieczność obniżania kosztów doprowadziła do tego, że banki stały się bardziej otwarte na nowe technologie i same inwestują w FinTech, dzięki któremu mogą zmniejszać zatrudnienie i ograniczać koszty obsługi klientów.

FinTech rozwija się praktycznie w każdym zakątku świata. Często za kolebkę, a także za kwintesencję FinTech, uważa się Dolinę Krzemową, skąd wzięło początek wiele technologicznych trendów o zasięgu globalnym. To właśnie tam, na południe od San Francisco, narodzili się tacy giganci jak Google i Apple. W przypadku FinTech jest jednak trochę inaczej. Według ważnego dla tej branży zestawienia – „Connecting Global FinTech: Hub Review" firmy doradczej Deloitte, które powstaje na podstawie trzech indeksów: Doing Business Index Banku Światowego, Global Innovation Index (Cornell University, INSEAD, World Intellectual Property Organization) oraz Global Financial Centres Index (Z/Yen Group) – czołówkę FinTech tworzą cztery miejsca: Londyn, Singapur, Nowy Jork i Dolina Krzemowa. Najwięcej FinTechów jest w Europie, z wyraźnie dominującym Londynem. Stary Kontynent szybko goni Azja, gdzie regulatorzy rynku są otwarci na FinTechy i chętnie współpracują z regulatorami z innych krajów. Tak jest np. w Singapurze, gdzie swoje programy współpracy z innowacyjnymi firmami (tzw. akceleratory, czyli „przyspieszacze" innowacji) realizują tak renomowane instytucje finansowe jak HSBC, Aviva, Allianz, UBS czy Citi.

Czy Azja będzie się stawała coraz mocniejsza w sektorze FinTech? Całkiem możliwe, zwłaszcza że silnymi graczami w tym regionie świata są też Hongkong, Tajpej czy Tokio. Z kolei mocna pozycja Londynu może się okazać zagrożona po Brexicie, o czym mówią otwarcie eksperci dobrze znający ten rynek. – Firmy FinTechowe z siedzibą w Londynie już teraz zaczynają się martwić o dostęp do kapitału, rynku i talentów po Brexicie. Po prostu istnieje obawa, że stolica Wielkiej Brytanii stanie się hubem FinTechowym drugiej kategorii, bo wiele banków przeniesie swoje siedziby na kontynent – twierdzi cytowany przez „Gazetę Bankową" James Hurley, publicysta portalu Raconteur.

Kontynentalna Europa wyraźnie ma ochotę na przejęcie przynajmniej części firm FinTech z Wielkiej Brytanii. Według raportu KPMG, „The Pulse of Fintech Q3 2017. Global analysis of investment in fintech", do przejęcia biznesu Anglików przygotowuje się francuski rząd – przyjazne regulacje mają przyciągnąć FinTech zza kanału La Manche, innowacje będą wspierały bardziej przyjazny system podatkowy oraz powstające systematycznie kolejne inkubatory. Nowe centra FinTech powstają w Niemczech. Poza Berlinem do czołówki dołączają Monachium, Hamburg i Frankfurt, a także mniejsze miasta, jak Stuttgart i Kolonia.

> Często za kolebkę, a także za kwintesencję FinTech, uważa się Dolinę Krzemową, skąd wzięło początek wiele technologicznych trendów o zasięgu globalnym

MOCNA POZYCJA POLSKI

Do gry o ważne miejsce na innowacyjnej mapie świata może się włączyć również Warszawa. Polska jest jednym ze światowych liderów nowoczesnej bankowości, bardzo dobrze sobie radzi z zastosowaniem nowych technologii w branży finansowej. Warszawa w globalnym zestawieniu Deloitte za 2017 r. otrzymała 108 pkt, co nie zapewniło jej najbardziej eksponowanego miejsca, ale i tak wyprzedziliśmy Pragę, Mediolan czy Madryt. W Europie Warszawa zajmuje wysoką, piątą pozycję wśród tzw. nowych hubów, za Sztokholmem, Kopenhagą, Edynburgiem i Oslo. Wśród najważniejszych FinTechów, które mają siedziby w stolicy Polski, Deloitte wymienia m.in. firmy PayU, Blue Media, Polish Payment Standard – Polski Standard Płatności (BLIK), Currency One, Finanteq, VoicePIN, ZenCard. W superlatywach o Polsce wyraża się KPMG, według którego sektor FinTech będzie u nas rósł; eksperci spodziewają się powstania kolejnych akceleratorów, dzięki którym banki działające w Polsce będą mogły wykorzystać osiągnięcia FinTechów. I – co równie ważne – według KPMG nasz kraj umacnia swoją pozycję jako centrum finansowe Europy Środkowo-Wschodniej.

Polska to rzeczywiście lider FinTech w naszym regionie Europy. Według „CEE FinTech Report", przygotowanego przez Deloitte dla brytyjskiego Departamentu ds. Międzynarodowego Handlu i Inwestycji, wartość całej branży w Europie Środkowo-Wschodniej to 2,2 mld euro, z czego na Polskę przypada aż 860 mln euro. Wartość rynku FinTech w drugiej na liście Austrii to 588 mln euro, a trzeciego kraju – Czech – 190 mln euro. Według Deloitte Polska stała się regionalnym technologicznym liderem, oferującym pionierskie rozwiązania dla sektora bankowego. Mocna pozycja Warszawy będzie się stabilizowała, z korzyścią dla całego regionu. Co więcej, siła polskiego FinTech jest tak znacząca, że może się stać inspiracją do zacieśniania współpracy między rynkami państw Grupy Wyszechradzkiej – Polski, Czech, Słowacji i Węgier. – Wydaje mi się, że tu tkwi ewentualny klucz do większej integracji rynków finansowych grupy V4. Polska i Słowacja, a także do pewnego stopnia Czechy, już w tej chwili są ważnymi graczami na europejskim rynku FinTech. Gdyby pogłębiły współpracę na tym polu, mogłyby się stać poważną konkurencją wobec rynków

eprasa.pl 4329e3eee2

zachodnich – mówił „Gazecie Bankowej" Günter Deuber, szef działu analiz ekonomicznych w Raiffeisen Bank International.

NASZYM BANKOM MOŻE BYĆ ŁATWIEJ

Eksperci chętnie podkreślają siłę polskiej branży FinTech, zwracają jednak również uwagę na jej specyfikę. Wynika ona przede wszystkim z tego, że cały nasz sektor finansowy jest mocno zaawansowany technologicznie i siłą rzeczy w ramach FinTech działają też same banki. Dzięki temu trendy globalne związane z FinTech – niekorzystne dla tradycyjnych banków (według cytowanego przez „Bezpieczny Bank" raportu Parker Fitzgerald z powodu FinTechów stracą one do 30 proc. przychodów do 2026 r., a poziom zatrudnienia pracowników na pełnym etacie obniży się o ok. 25 proc. w porównaniu z okresem przedkryzysowym) w Polsce będą wyglądały inaczej.

Według opracowania PwC, „Sektor finansowy coraz bardziej #fintech", Polska jest uczestnikiem rewolucji technologicznej napędzanej przez banki, które absorbują i wspierają nowe technologie, a niekiedy nawiązują współpracę z firmami z segmentu FinTech, stając się również sponsorem innowacji. Banki mają w rękach mocne karty, których brakuje większości FinTechów – twierdzą eksperci PwC. To długotrwałe relacje i zaufanie klientów, rozpoznawalna marka, kompetencja w zarządzaniu ryzykiem i finansami oraz w poruszaniu się w „dżungli" skomplikowanych przepisów, a także duży zasób źródeł finansowania wraz z umiejętnością zarządzania nimi.

Wiele wskazuje na to, że zarówno FinTech, jak i banki mają po swojej stronie twarde argumenty: z jednej strony wyjątkową pomysłowość, elastyczność i mobilność, siłą rzeczy trudniejszą do realizacji w statycznych i mocno rozbudowanych tradycyjnych instytucjach finansowych, z drugiej – wielkie bazy klientów, doświadczenie i zaufanie do marki. FinTech i sektor tradycyjnej bankowości zmierzają do współpracy i uzupełniania swoich ofert, co w Polsce jest o tyle łatwiejsze, że banki są nowoczesne, a ich sposób myślenia jest zbliżony do nawet najbardziej innowacyjnych firm z sektora nowoczesnych technologii finansowych. Banki i firmy FinTech muszą współpracować, by odnieść sukces – twierdzą eksperci Saxo Banku, Søren Kyhl i Stig Tørnes. „Banki i fintech-y – małżeństwo z rozsądku" – tak zatytułował raport o najnowszych trendach na rynku finansowym PwC. „Barbarzyńcy przyszli, by pomagać: fintech to współpraca, a nie konkurencja" – to jednak z konkluzji raportu PwC, w którym mianem „barbarzyńców" określa się firmy FinTech. Według PwC odsetek instytucji finansowych zaangażowanych we współpracę z FinTechami rośnie i będzie rósł dalej. „Z perspektywy czasu jedynie takie rozwiązanie wydaje się rozsądne. Obie strony chcą czegoś, co ma ta druga – FinTechy posiadają inteligentne i innowacyjne technologie, a banki pieniądze".

> Polska stała się regionalnym technologicznym liderem, oferującym pionierskie rozwiązania dla sektora bankowego

NOWE REGULACJE

Specjaliści podkreślają jeszcze jedną specyficzną cechę polskiego rynku FinTech, ważną z perspektywy jego rozwoju: otwartość polskich regulatorów. Zauważyli to również analitycy KPMG, którzy spodziewają się zmian w polskich przepisach, mocniej wspierających innowacje finansowe i ambitne, nowoczesne przedsięwzięcia.

Obecne czasy wyjątkowo FinTechowi sprzyjają, zarówno na świecie, jak i w Polsce. Sprzyjają mu regulacje unijne, które bardziej liberalnie podchodzą do usług płatniczych niż jeszcze kilka lat temu. Taki jest m.in. cel drugiej dyrektywy o usługach płatniczych (tzw. PSD2), której implementacja do prawa polskiego nastąpi jeszcze w tym roku. Dyrektywa umożliwia wykonywanie ich nie tylko bankom, lecz i znacznie szerszej grupie podmiotów (takiej możliwości nie dawała wcześniejsza dyrektywa PSD1). PSD2 wprowadziła nową kategorię firm – dostawców usług płatniczych, będących podmiotami trzecimi, tzw. TPP – Third Party Payment Service Provider. TPP nie podlegają tak rygorystycznym jak banki regulacjom ani wymogom kapitałowym, mogą natomiast korzystać z uprawnień, które wcześniej przysługiwały tylko bankom – przede wszystkim przyjmować zlecenia płatnicze do realizacji w ciężar rachunków, i robić to niezależnie od banków, które te rachunki prowadzą.

Regulacje wprowadzone przez PSD2 wielu ekspertów nazywa historycznymi. Według jednego z raportów PwC narodowe implementacje dyrektywy PSD2 wydają się jednym z ważniejszych wydarzeń mających wpływ na rozwój sektora finansowego. I to nie tylko FinTechów, lecz również banków.

Nowe regulacje otworzą rynek na FinTech, pozwolą oferować klientom lepiej dostosowane do ich potrzeb usługi finansowe. Rynkowi FinTech w Polsce pomoże uruchomiony na początku tego roku przez Komisję Nadzoru Finansowego program Innovation Hub, w ramach którego KNF udziela podmiotom sektora FinTech porad prawno-regulacyjnych. KNF aktywna jest w tej dziedzinie już co najmniej od roku, kiedy ruszył zespół roboczy ds. rozwoju innowacji finansowych (FinTech). Komisja jest jego koordynatorem.

Należy pamiętać o tym, że sektor FinTech rozwija się szybko, bez wątpienia jest szansą dla branży finansowej, ale zarazem rozwiązania oferowane przez uczestniczące w nim podmioty muszą być bezpieczne, aby nie podważyć zaufania klientów do instytucji tego rynku. Zaufanie klientów bardzo trudno zdobyć, a stracić można je łatwo.

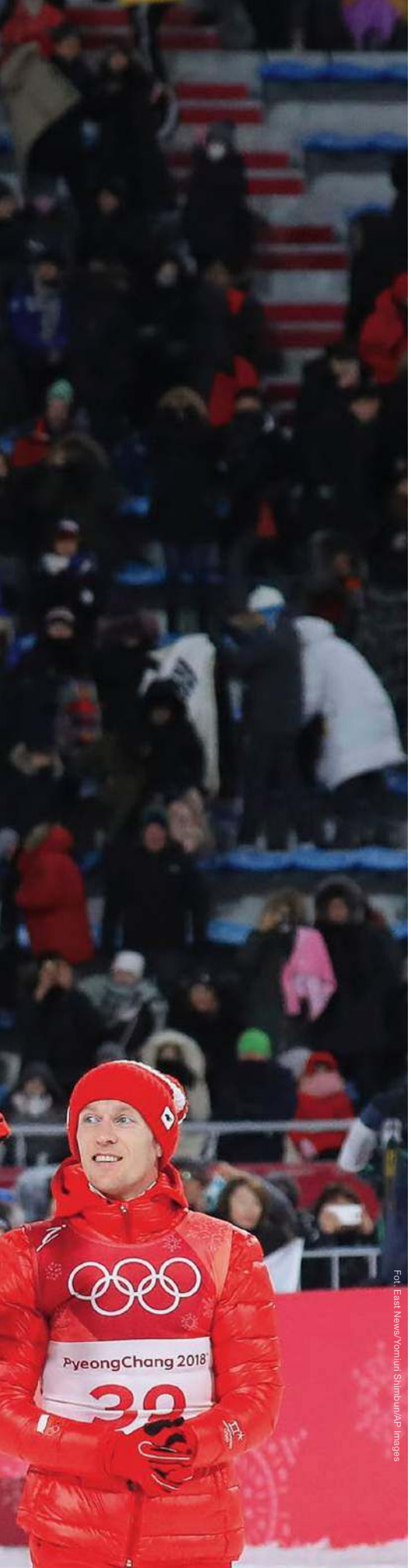
Łukasz Chłociński

eprasa.pl 4329e3eee2

Złoto i złość



epidaurus 4329e3eee2



Fot. East News/Yomiuri Shimbun/AP Images

Skoki narciarskie to w Polsce wartość sama w sobie. Podczas gdy w pozostałych dyscyplinach trzymamy kciuki za naszych sportowców, aby po prostu uniknęli kompromitacji, i wszystko tłumaczymy wyświechtanym, ale prawdziwym, stwierdzeniem: „Przecież u nas zimowe sporty leżą", tu nie jesteśmy usatysfakcjonowani brązowym medalem drużyny. A nawet kręcimy nosem na tylko jeden złoty medal Kamila Stocha. Bo dlaczego nie zdobył dwóch, tak jak przed czterema laty w Soczi?



CEZARY KOWALSKI

To wynik oczekiwań, rozbudzonych nadziei i możliwości naszego bohatera narodowego, bo w takich kategoriach można już śmiało mówić o Kamilu. Skoczkowie oczywiście trzymali fason i kolejny raz uratowali honor polskiego sportu zimowego. Gdyby nie oni, nie mielibyśmy się czym ekscytować. Pewnie skupialibyśmy się w jeszcze większym stopniu na kiksach takich jak wywrotka panczenisty w momencie startu, zgubionych goglach saneczkarza czy słynnym bluzgu biatlonistki, która akurat podczas swojej imprezy życia (po cichu liczyliśmy, że zawalczy o przyzwoite miejsce) postanowiła powalczyć z internetowymi nienawistnikami (słowa „hejt" i „hejter" są tak często używane, że wywołują już mdłości).

Internetowe znęcanie się nad bezradnymi z różnych powodów i sfrustrowanymi sportowcami było bardziej żałosne niż ich występy. Gdyby tu chodziło o politykę czy jakąś akcję społeczną, można by się pewnie zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest sterowane i pytać, kto za taką akcją stoi. Dlatego reakcja Weroniki Nowakowskiej, bo o niej mowa, choć była absolutnie nieprofesjonalna, jest chyba jednak wybaczalna. Stoch i spółka na szczęście zadbali, aby ten cały absmak nie pozostał jedynym wspomnieniem z imprezy w Korei Południowej. Można nawet powiedzieć, że napięcie było budowane przez nich tak, jakby ktoś to reżyserował.

WIELKIE OCZEKIWANIA

Od euforii po pierwszej serii skoków na skoczni normalnej, gdzie wydawało się, że możemy zgarnąć prawie wszystko i jeszcze wywindować do strefy medalowej Stefana Hulę, który cudem się do drużyny załapał, po grymas rozczarowania, kiedy okazało się, że trzeba się zadowolić tylko czwartym miejscem Stocha.

No i później te długie kilka dni oczekiwania na rehabilitację na dużej skoczni. Stoch o tym publicznie nie mówi, twierdzi, że się odcina od świata zewnętrznego, skupia się na sobie i jak najlepszym wykonaniu swojej roboty. Ale jest oczywiste, że presja, jaką czuł, była nieprawdopodobnie duża. Choć jeszcze nie usiadł na belce, to już niósł na plecach ciężar oczekiwań milionów Polaków. Kamil jest wyjątkowo taktownym człowiekiem, ale nawet z perspektywy widza, który obserwował jego zdawkowe wypowiedzi czy publiczne zachowania, można było zauważyć, że nie jest spokojny. Raczej podenerwowany, niezbyt przychylny reporterom. Jak nie on.

Dojrzały mistrz, który w tym sporcie jeszcze przed tym drugim konkursem zdobył już niemal wszystko, stawał przed brutalną rzeczywistością. „Wygram i wciąż będę wielki" lub „nie dam rady i wrócę do domu w aurze sportowca, który się... powoli kończy" (kto by pamiętał o brawurowo wygranym niedawno Turnieju Czterech Skoczni). W najlepszym przypadku przynajmniej

eprasa.pl 4329e3eee2

takiego, który już tak dobry jak dawniej nie jest i pewnie nie będzie.

Wielu sportowców czy trenerów powtarza starą prawdę, że łatwiej się na szczyt wdrapać, niż na nim utrzymać. Tutaj mieliśmy tego spektakularny przykład. Tym mocniej przemawiający do wyobraźni, że jednak wywalczony w ogromnej rozpiętości czasowej. Cztery lata w sporcie to przecież szmat czasu. A mimo wszystko się udało. I to w dyscyplinie, w której tak bardzo decyduje przypadek (można podawać setki przykładów pojedynczych zwycięstw nawet bardzo średnich zawodników, którym zwyczajnie korzystnie powiało).

Skoczek z Zębu, który sam o sobie wielokrotnie mówił, że psychika nie zawsze była jego najmocniejszą stroną i musiał nad nią solidnie pracować, udźwignął ten ciężar i jest oczywiste, że przyszło mu to znacznie trudniej niż w Soczi. Wtedy to jednak był sukces odniesiony przy dużej fantazji, Kamil był młodszy, miał dużo większe możliwości fizyczne i nie ciążyła na nim aż taka presja. Mógł sobie pozwolić nawet na patriotyczny gest, wymalowując na kasku biało-czerwoną szachownicę, symbol polskich sił powietrznych, która, jak tłumaczył, była dowodem uznania i szacunku dla polskich lotników. No bo co by się wówczas stało, gdyby tego złota nie zgarnął? Przecież legendarnemu Adamowi Małyszowi nigdy się to nie udało.

SUKCES I ROZCZAROWANIE

W Pjongczangu Stoch już niczego przy okazji nie demonstrował. Bardziej bazował na rutynie, kalkulacji, chłodniejszej głowie. Więcej tu było sportowej matematyki. Do samego końca wszyscy drżeliśmy o ten sukces. Na pewno nie było tak, że pozamiatał tak jak „pod ruskim niebem" (taki wpis na Facebooku, zalajkowany przez Kamila, robił furorę przed czterema laty). Wygrał, ale nie w aż tak znaczący sposób jak cztery lata wcześniej. Pokazał, że potrafi to robić na różne sposoby, no i... narobił apetytu na konkurs drużynowy.

Jeśli jakikolwiek kibic skoków nie liczył po cichu, że nasza drużyna zawalczy o złoto, to raczej nie mówi prawdy. Po pierwszej serii było jasne, że znakomitym Norwegom nie damy rady. Trzymaliśmy jednak kciuki, aby po świetnym skoku Kubackiego zawalczyć o drugie miejsce. Wiadomo, wyprzedzenie Niemców miałoby swoją wymowę, swój prestiż. Bo wystarczy spojrzeć na trybuny każdego z konkursów, które odbywają się na całym świecie. Wszędzie las polskich i niemieckich barw. Nikt nie ma wątpliwości, że najbardziej interesują się skokami właśnie Polacy i Niemcy. Kiedyś Małysz rywalizował z Martinem Schmittem i Svenem Hannawaldem, dziś Stoch z młodziutkim Andreasem Wellingerem (wygrał na normalnej skoczni) czy Richardem Freitagiem. W ostatniej serii o to drugie miejsce walczyli właśnie Stoch i Wellinger, skoczkowie, którzy w Pjongczangu zgarnęli już po złocie. Obaj poszybowali na odległość 134,5 m (znacznie krócej niż w pierwszym skoku). Polak otrzymał jednak słabszą notę i ostatecznie Niemcy nas wyprzedzili. Po swoim skoku Stoch miał skwaszoną minę, zacisnął pięści, zasłonił oczy i z niedowierzaniem pokręcił głową. Jak się później okazało i czego nie zarejestrowały kamery, ze złością rzucił kaskiem. Za chwilę jednak utonął w uściskach kolegów. Pierwszy raz w historii polska drużyna skoczków zdobyła olimpijski medal!

Jest! Jest! Jest! – wykrzykiwali sprawozdawcy z Pjongczangu, a goście w studiu z przylepionymi uśmiechami analizowali niewątpliwy wielki sukces polskiego sportu. Trudno jednak było odeprzeć wrażenie, że ich euforia nie współgrała z odczuciami ludzi po drugiej stronie telewizora. I jakoś nie przekonywał edukacyjny ton autorytetów, że mamy się cieszyć i basta! Kibice mówili: no jednak szkoda, bo mogło być trochę lepiej. Czy można kogoś za takie podejście potępiać? Uczuciami w sporcie trudno sterować, czasem są one irracjonalne.

Kamil na gorąco przyznał, że nie wyszedł mu ten drugi skok. Później na spokojnie tłumaczył, że dał z siebie sto procent, ale to nie zawsze wystarcza. I trzeba powiedzieć wprost, że tym razem po prostu wielki mistrz nie dał rady. I tyle. Taki jest właśnie urok sportu. Podobnie było z Kubą Błaszczykowskim. Nie strzelił decydującego karnego w ćwierćfinale mistrzostw Europy z Portugalią, choć był najlepszym zawodnikiem w polskiej ekipie w całym turnieju. Taki paradoks, który czyni sport jeszcze bardziej fascynującym i nieprzewidywalnym.

SPEŁNIONE MARZENIA

„Kiedyś to ja bym chciał zdobyć złoto na igrzyskach olimpijskich, ale na to to ja mam jeszcze czas" – mówi 11-letni Kamil Stoch w słynnym filmiku, który od lat krąży w YouTubie. Dziś po blisko 20 latach ma już w kolekcji trzy złota i jeden brąz, ale na kolejne wbrew pozorom też ma jeszcze czas. Podczas następnych igrzysk, w Pekinie, będzie miał 34 lata. Skaczą znacznie starsi. Choć przed wyjazdem do Pjongczangu eksperci podkreślali, że to ostatni moment, aby Kamil jeszcze poprawił swoje osiągnięcia, to jednak trudno znaleźć jakąkolwiek wypowiedź samego zawodnika, który twierdziłby, że już się skokami znudził.

A ewentualne ogłaszanie końca kariery w momencie, kiedy jest się na samym szczycie, może byłoby efektowne, ale pewnie okazałoby się ogromną stratą dla polskiego sportu. I nie chodzi jedynie o same medale, które wciąż może zdobywać. Kamil Stoch, jakkolwiek patetycznie by to zabrzmiało, stał się wzorem sportowca i człowieka. Tego chłopaka po prostu nie da się nie lubić. Jego skromność, naturalność i zdrowa ambicja są wręcz nieadekwatne do sukcesów, jakie już osiągnął.

Nie ma chyba nikogo innego w naszej przestrzeni publicznej, kto znaczyłby już tak wiele, a nie poszedł w tzw. show-biznes. Kamil świadomie w tej tandecie nie uczestniczy. Nie ma go w tym całym towarzystwie, które choćby nic nie osiągnęło, to dałoby się pokroić, żeby bywać czy być na świeczniku. Kiedy w 2013 r. udzielał wywiadu naszemu tygodnikowi, będąc już mistrzem świata, powiedział: „Nie chcę być sportowcem celebrytą, to nie jest w zgodzie z moją naturą. Zdecydowaliśmy tak z żoną, bo doszliśmy do wniosku, że nie jest mi potrzebne gwiazdorzenie. Nie interesują mnie talk-show ani okładki kolorowych gazet".

Minęło pięć lat, a jedyne, co się u Kamila zmieniło, to te medale z igrzysk olimpijskich...

45/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2



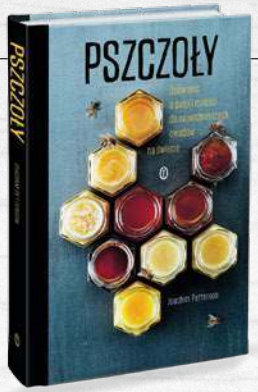
Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl
ORLEN	LOTTO	TAURON	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA onet PRZEGLĄD SPORTOWY EUROSPORT

eprasa.pl 4329e3eee2

JOACHIM PETTERSON **GRAFIK, PSZCZELARZ**



Miodowe lata



Kiedyś wiecznie zapracowany dyrektor artystyczny w biurach reklamy. Kilkanaście lat temu został zatrzymany w biegu przez wypadek. Zyskał czas na rewizję swojego życia. W efekcie zaczął pytać, czytać, poszedł na kurs i... postawił na działce pierwszy ul. Dziś w ogrodzie domu pod Sztokholmem ma cztery zasiedlone ule i wiele doświadczeń oraz obserwacji, którymi w przystępny sposób, tak po sąsiedzku, dzieli się w książce „Pszczoły" (Wyd. Literackie).

Opisuje w niej sprawdzone w praktyce reguły pszczelarstwa, lecz i codzienne życie z bzyczeniem w tle. W dynamiczny sposób przekonuje do pasji, którą wraz z pojawieniem się pszczół zaczęła też dzielić jego rodzina. Książkę współtworzyła żona Sara (nie tylko ilustracje) oraz córki Svea i Göta, które miały wkład w budowanie napięcia – jeden z ich rysunków ilustruje pełną grozy opowieść o zagubieniu królowej roju. Podzieliły się też przepisami.

„Moje córki uwielbiają piec i eksperymentować z różnymi składnikami. Czasem przechodzą same siebie. Niewiele jest wypieków, którym oprzeć się jest tak trudno jak ich wyrobom" – anonsuje Petterson m.in. ciasteczka Svei. Robione z masła, mąki i miodu oraz przełamującego smak cukru wanilinowego.

Nie obejdzie się bez miodu także domowa musztarda. „Świetnie pasująca do świątecznej szynki" – podkreśla autor. Można ją dodatkowo przyprawić tymiankiem, estragonem, chili, chrzanem, whisky lub czymkolwiek innym. Co kto lubi.

Na jakieś 200 ml musztardy potrzeba 50 g ziaren gorczycy białej i 25 g ziaren gorczycy czarnej (rozdrobnionych blenderem lub rozgniecionych w moździerzu). Do nich dodajemy cztery łyżki miodu i łyżkę octu. Mieszamy, dolewając jednocześnie pół szklanki wody. Musztarda ma się stać kremowa, jednak powinny w niej pozostać całe ziarna. Doprawiamy łyżeczką soli i odstawiamy do lodówki na co najmniej 12 godz. Jeśli zbytnio zgęstnieje, można ją rozcieńczyć wodą. A potem tylko przelać do czystych słoiczków i przechowywać w chłodzie.

Miód znakomicie komponuje się również np. z grillowanymi żeberkami. Ugotowane poprzedniego dnia i pozostawione na noc w bulionie (dzięki temu pozostają soczyste) pokrywamy pikantną miodową glazurą (trzy łyżki miodu, po dwie łyżki: oliwy z oliwek i sosu ostrygowego; dwa rozgniecione ząbki czosnku; po łyżce: sosu sojowego, pasty sambal oelek i przecieru pomidorowego; do tego: sok z 1 limonki i suszone chili do smaku). Efekt, po zdjęciu z grilla, podobno oszałamiający. Jako dodatek sprawdzają się łódeczki z ziemniaków i surówka coleslaw. A na deser? Mogą być miodowe szyszki Göty.

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

Szyszki Göty

Składniki: Na jakieś 30 ciasteczek: ½ szklanki pestek słonecznika, ½ szklanki pestek dyni, 4 łyżki nasion sezamu,2 szklanki dmuchanego ryżu, 50 g masła, 100 ml skrystalizowanego miodu.

Wykonanie: Ustaw piekarnik na 175°C. Upraż pestki słonecznika na gorącej, suchej patelni. Zrób to samo z dynią i sezamem, ale pilnuj, by się nie przypaliły. Zmieszaj nasiona i pestki z dmuchanym ryżem w dużej misce. Roztop masło na niewielkim ogniu w małym rondelku. Zdejmij rondelek z ognia i dodaj miód. Mieszaj, aż cały się rozpuści. Pestki, nasiona i dmuchany ryż polej masłem z miodem i wymieszaj. Włóż masę do foremek na muffinki lub rozłóż małymi porcjami na blasze wyłożonej papierem do pieczenia. Piecz szyszki na środkowej półce piekarnika 7–8 min albo do chwili, gdy nabiorą trochę koloru. Przechowuj w słoiku ze szczelną pokrywką.



fot. Roland Persson x2

eprasa.pl 4329e3eee2



SŁODKO-SŁONY

Nieustający dzień pizzy

ANNA MONICKA

Jeśli umknęła państwu ta arcyważna informacja w gmatwaninie codziennych wydarzeń, uprzejmie donoszę, że smakosze mieli ostatnio kolejne wielkie święto. Dzień Pizzy. Choć jesteśmy kulinarnymi tradycjonalistami, to zagraniczne danie wzięło szturmem nasze jadłospisy. Z badań, które opublikowała kilka dni temu firma Indesit, wynika, że ponad 96 proc. Polaków regularnie się nią zajada, jednak tylko 20 proc. potrafi ją zrobić w domu (Raport Instytutu Badań Pollster).

Najbardziej lubimy pizzę z dodatkiem sera, sosu pomidorowego, pieczarek i szynki, chociaż dużą popularnością cieszą się również salami, kurczak, cebula i pomidory. Wariant zwany bandiera italiana (włoska flaga jest czerwono-zielono-biała) – to margherita – nazwana tak na cześć królowej Małgorzaty Sabaudzkiej, która rozsmakowała się w prostym placku z pomidorami, mozzarellą i listkami bazylii i zrównała go w walce na symbole narodowe ze spaghetti.

Najważniejsze jest ciasto – cienkie i delikatne. Najlepsze jadłam kiedyś nocą pod Mediolanem u znajomego restauratora. Jego popisowa pizza nazywała się buffalla – posmarowana pomidorową pastą i posypana maleńkimi mozzarellami domowej roboty. Choć muszę przyznać, że ciasto z naszej pizzerii Bazylia w Markach jest równie doskonałe.

Oczywiście musi być drożdżowe, ale ugniatane po wyrośnięciu tak długo, żeby było elastyczne. Potrzebujemy ćwierć kilo mąki (warto poszukać włoskiej na pizzę), 3/4 szklanki ciepłej wody, 7 g suszonych drożdży, sól, łyżkę oliwy. Mąkę przesiewamy, drożdże wsypujemy do wody, mieszamy i po paru minutach dodajemy do mąki i oliwy, solimy, mieszamy, a potem wyrabiamy, aż będzie tak elastyczne, że placek można naciągać we wszystkie strony. Kulkę dzielimy na kawałki. Jeden zostawiamy do wyrośnięcia na pół godziny w ciepłym miejscu, resztę mrozimy (po wyjęciu z lodówki też urośnie). Z wyrośniętego kawałka palcami, rozciągając go, formujemy placek (ciasto powinno mieć powietrze, więc lepiej nie wałkować).

Nakładamy to, co lubimy – najpierw domową pastę pomidorową, potem – ja dojrzewającą prosciutto crudo (najlepiej z Parmy, ale tak naprawdę każdą, byle bez chemii) z rukolą lub tuńczyka z kaparami, mąż salami i pieczarki, córcia szynkę gotowaną z ananasem. Posypujemy serem i do pieca – pieczemy krótko, ale w najwyższej temperaturze. Oryginalne piece rozgrzewają się do 450 stopni, nasz do 250, ale damy radę! Trzeba tylko dłużej piec.

WINNICA MAZURKA

Słodycz postu

ROBERT MAZUREK

To się nazywa paradoks. Bo z jednej strony masowy klient dyskontu najchętniej kupuje wina półsłodkie, ale jest i strona druga – to pogarda elit do słodkich win żywiona. Trąci ona, śmiem twierdzić, podejściem klasowym. Otóż my, dzielni account managerowie, doskonale wiemy, że słodkie winko to babcia Alinka, a my, świadomi i światowi, pijemy tylko czerwone wytrawne. W efekcie do dobrego, słodkiego wina trudno Polaków przekonać.

A ja spróbuję i będzie dziś o porto co się zowie. Co to takiego porto, pisałem sto razy, ale przypomnijmy: wzmacniane wino z północnej Portugalii, słodkie, rzadziej półsłodkie. I niech was nie zmyli „dry white porto" na niektórych etykietach, bo to białe porto jest nieco tylko mniej słodkie od innych. Dzieli się na milion kategorii, ale z grubsza na to, które dojrzewa dłużej w beczkach (tawny), i to, które (po jakimś czasie w beczce) starzone jest w butelkach (ruby). Do tego dochodzą dziesiątki różnych nazw, ale warto wiedzieć, że najlepsze (i najdroższe) są porto rocznikowe. Tylko oczko niżej są LBV (late bottled vintage), które w beczce spędzają około pięciu lat, by potem dojrzewać w butelkach. Tu już naprawdę można znaleźć wina świetne.

Ja znalazłem takie, nie wyściubiając nosa poza centrum Warszawy (Halę Gwardii). I w tym wypadku cena naprawdę ma znaczenie. Te wina nie mają bowiem naprawdę nic wspólnego z koszmarnymi, syropowo-bimbrowymi lepiącymi cieczami występującymi czasem pod nazwą porto. Niepoort zachwycił kwasowością i lekkością. Rześki może nie jest, bez przesady, ale owocowy i świetnie zrównoważony już tak. Anglicy, którzy rozsławili porto, używają go do deserów, czytaj – serów pleśniowych. I jest to zasadniczo najprostszy sposób na imponujący deser. Niepoort się sprawdzi, ale stworzona do tego jest Święta Julia – już lekko serowa, grzybowa, leśna. Wspaniałe wino, które może jeszcze poczekać.



Quinta de Santa Julia Porto LBV 1999, 169 zł

Niepoort Porto LBV 2011, 117 zł

Atlantika.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 4329e3eee2

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

O metodach rozumowania

Cenne uwagi Bogdana Musiała („Holokaust jako »religia zastępcza«", „Sieci" nr 7) znacznie wykraczają poza zakres badań historycznych lat II wojny światowej, to już bardziej historiozofia. Szkoda, że nie pada tu termin „cywilizacja żydowska", gdyż cywilizacja to nie poziom techniki czy nauki, ale – jak nazwał to prof. Piotr Jaroszyński – „nowa strona ludzkich dziejów". Wcześniej znaczenie różnic cywilizacyjnych dostrzegł prof. Feliks Koneczny, twórca nauki o cywilizacjach i prawach dziejowych, jakimi one się kierują. Bo cywilizacja to metoda ustroju życia zbiorowego, szeroki układ społeczny obejmujący wielorakie zagadnienia społeczne, polityczne i religijne.

Stwierdzenie Bogdana Musiała, że pamięć o Holokauście jako główny element tożsamości zastępuje społeczności żydowskiej po 1945 r. judaizm, jest jednak zbyt daleko idące. Musielibyśmy dokładnie zbadać i potwierdzić, czy tak jest w rzeczywistości. Patrząc w głąb 4 tys. lat historii Żydów, należy sądzić, że judaizm jako sakralne spoiwo narodu żydowskiego został współcześnie jedynie wzmocniony „narracją" o Holokauście. Jak w II w. naszej ery dyscyplinujący i wzmacniający wiarę żydowską judaizm rabiniczny był odpowiedzią na szerzący się w tamtejszym świecie z coraz większą siłą kult Chrystusa i jego religii.



Pozostaje nam troska o minimalizowanie wzajemnych uszczerbków na odmiennej wrażliwości, gdyż o dialogu prowadzącym do porozumienia nie może być mowy

Ogromną karierę robi dziś słowo „narracja". Dr Ewa Kurek używa też innych tego typu określeń: „bajki", „opowieści". Słuchając strony żydowsko-izraelskiej, te wszystkie „narracje", „opowieści" i „bajki" wmieszane w prawdziwy kontekst historyczny wywołują często efekt braku powagi. Ktoś myli daty, nazwiska, nie wie, czy mówi o swojej matce czy o babce, a przecież zagłada Żydów była faktem, szczegółowo zaplanowaną przez Niemców zbrodnią ludobójstwa. Zatem słowo „narracja", jako bardzo nieprecyzyjny element opisu rzeczywistości, powinniśmy zostawić naszym adwersarzom. To cecha ich cywilizacji, typowy przykład myślenia dedukcyjnego, apriorycznego, służącego bardziej propagandzie niż obiektywnej prawdzie.

Przykład zaprzestania na prośbę rabinów z Izraela ekshumacji w Jedwabnem jest dowodem siły judaizmu wzmacniającego „religię zastępczą". Ich prawo religijne bowiem zabrania zakłócać spokój zmarłym, tym samym nakaz sakralny wspomaga „narrację" w sprawie Jedwabnego. Ta zaś zakłada a priori winę Polaków w tym mordzie. Notabene w archiwach Telewizji Polskiej leży półkownik, film dokumentalny Artura Janickiego o ekshumacji w Jedwabnem. Warto wiedzieć, że odkopano wówczas złote monety amerykańskie, złotą biżuterię i inne cenne rzeczy należące do spalonych ofiar oraz łuski po niemieckim karabinie maszynowym. Cóż z tego, „narracja" opisująca mord w Jedwabnem w celu grabieży ofiar zamknęła tę sprawę, stawiając Polaków po stronie niemieckich katów.

Słowa premiera Matusza Morawieckiego o innych współsprawcach Holokaustu, w tym także Żydach, są potwierdzeniem historycznych faktów, które dla nas nie podlegają dyskusji. Dyskusja będzie jednak trwała. Nas bowiem obowiązuje myślenie aposterioryczne, indukcyjne, nacechowane troską o prawdę materialną, fakty, dowody, źródła, zapisy, dokumenty itd.

Myślenie aprioryczne zaś nie dopuszcza tych elementów jako najważniejszych czy ważnych, gdyż w rozumowaniu dedukcyjnym nie liczą się konkrety, a wiara we własną prawdę, czyli we własną „narrację".

Tak właśnie zareagował na słowa premiera Matusza Morawieckiego prezydent Izraela Re'uwen Riwlin: „Mówienie, że nasi ludzie kolaborowali z nazistami, jest nowym dnem". Holokaust zatem nie będzie „zastępczą religią" nawet wtedy, gdy uzna się wyjątkowość zagłady Żydów. Ta wyjątkowość wynika wprost z judaizmu, stąd określenie „naród wybrany".

Kiedy ks. prof. Waldemar Chrostowski zaoponował po słowach dyrektora Spertus College of Judaica w Chicago, że „Holokaust jest nie tyle dziełem narodowych socjalistów, ile konsekwencją długiego pasma prześladowań Żydów, których sprawcą w dużej mierze miałby być Kościół", usłyszał, że oni tak to widzą, a my możemy widzieć i ujmować te sprawy inaczej.

Pozostaje nam zatem troska o minimalizowanie wzajemnych uszczerbków na odmiennej wrażliwości, gdyż o pełnym dialogu prowadzącym do porozumienia nie może być mowy. Chyba że ktoś wierzy w cywilizacyjne syntezy.

eprasa.pl 4329e3eee2

Dwa światy pamięci

Pamiętam, jak dzień po ślubie siedząc z żoną w kuchni, rozkładałem na stole otrzymane od weselników banknoty. – To będzie na lodówkę, to na pralkę, a to na szabaśnik – wyliczałem głośno. – Co to jest szabaśnik? – zapytała moja miłość. – No przecież piec do ciasta – westchnąłem zaskoczony. – Pierwszy raz słyszę: „szabaśnik". Mówi się „piekarnik" – odparła żona. Okazało się, że w moim domu rodzinnym od zawsze funkcjonowało słowo utworzone od nazwy żydowskiego święta. Prawdopodobnie wniosła je w posagu mama, która dzieciństwo spędziła w Krakowie. Jej ojciec, żołnierz AK, pracował tam na poczcie, segregując listy i niszcząc donosy do Gestapo. Ona już przed wojną miała kilka żydowskich koleżanek, które odwiedzała i gościła u siebie. Podobnie jak o polskich rówieśniczkach opowiadała o nich z uśmiechem, wspominając wspólne zabawy. Dopiero gdy pytałem o wojnę, jej oczy zachodziły łzami. Łamiącym się głosem mówiła o egzekucjach, łapankach, wywózkach i o zbiorowej tajemnicy, której trzeba było dochować. Nigdy, pod żadnym pozorem nie wygadać się przed nikim, że sąsiedzi ukrywają Żydów.

Nie spotkałem ani jednego przedwojennego Polaka, który wspominałby Żydów jako wrogów

Gdy byłem dzieckiem, to konsekwentne, sąsiedzkie milczenie najsilniej działało na moją wyobraźnię. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że w wielu przypadkach udało się ocalić ukrywanych ludzi, choć wystarczyłby jeden donos, żeby wydać na śmierć zarówno Żydów, jak i pomagających im Polaków. Ze wspomnień mamy wynikało przecież, że sąsiedzi najczęściej wiedzieli lub się domyślali, co się dzieje się pod ich podłogą, za ścianą, w oknie naprzeciwko. Potem dowiedziałem się, że Polskie Państwo Podziemne niosąc pomoc Żydom, zazwyczaj przenosiło ich z jednej kryjówki do innej, żeby ograniczyć ryzyko. Słusznie, bo każda społeczność składa się z ludzi z krwi i kości: słabych, niedoskonałych, skłonnych do grzechu. Tym bardziej niezwykłe jest zbiorowe milczenie tych, którzy gardząc rozporządzeniami Niemców, nie wydali im swoich żydowskich braci. Wielka cisza otaczająca kryjówki Żydów na polskich osiedlach to dla mnie znak chrześcijańskiej świętości.



Wszyscy przedwojenni Polacy, jakich spotkałem w swoim życiu, wspominali Żydów jako społeczność, bez której trudno było sobie wyobrazić polskie życie i krajobraz. Jedni mówili o nich serdecznie, inni protekcjonalnie, jeszcze inni uszczypliwie, ale osobiście nie poznałem nikogo, kto traktowałby ich jako wrogów. Każdy z moich rozmówców z głębokim współczuciem odnosił się do żydowskiej tragedii podczas wojny. To samo słyszałem w szkole, w kościele, na studiach, wśród konserwatystów i postępowców. Utrwalony w zbiorowej wyobraźni Polaków wizerunek przedwojennego Żyda podszyty jest sympatią (wzmocnioną przez współczucie dla późniejszych ofiar Holokaustu), zaciekawieniem egzotyczną duchowością i stereotypem wynikającym z kontaktów handlowych. W polskiej kulturze dominują melancholijne obrazy żydowskich miasteczek na Kresach, „mądrość ludowa" preferuje żarty o targujących się sklepikarzach. Żydzi, którzy chwalebnie zapisali się w historii ojczystej, są w Polsce czczeni jako bohaterowie narodowi.

Moi rówieśnicy z Izraela również otrzymali w spadku pewien obraz. Widnieją na nim przedwojenni Polacy – nasi rodzice i dziadkowie – jako banda antysemitów studiująca instrukcję obsługi „nazistowskiej" machiny śmierci. Nie mówcie mi, że to uogólnienie. Że są gdzieś Żydzi, którzy doceniają ofiarę i wielkość narodu, który nigdy nie splamił się systemową kolaboracją z Niemcami. Jeżeli są, to dlaczego milczą? Czemu pozwalają brukać ojczyznę swoich przodków? A może naprawdę Żydzi przed wojną czuli się nad Wisłą znienawidzeni? Może idiotyczna praktyka gett ławkowych przesłoniła im uroki codziennego życia w wolności religijnej, gospodarczej i obyczajowej? Jeśli tak, trzeba przyjąć to do wiadomości, nie rezygnując z przedstawiania światu faktów historycznych. Inna sprawa, że bardzo, wręcz rozdzierająco boli milczenie tych Żydów, z Szewachem Weissem na czele, których rodziny zostały ocalone przez Polaków. Wielka cisza, która jest znakiem żydowskiej hańby.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 4329e3eee2

Blackout, atom i wiatraki

Okazało się, że niedawny blackout na Mokotowie miał bardzo konwencjonalne przyczyny. Nie te, które znamy z thrillerów i filmów szpiegowskich, ale te z filmów Barei. Kabel zasilający całą dzielnicę uszkodziła koparka.

Przy tej okazji warto przypomnieć historię z końca stycznia zeszłego roku – dużo poważniejszą – ponieważ, jak twierdzą specjaliści, omal nie skończyła się załamaniem systemu energetycznego w Niemczech. Sprawa nie dotyczyła koparki, lecz wiatru i słońca – a dokładniej ich braku. Rzecz przemknęła przez media prawie niezauważona, więc warto ją przypomnieć – bo wiele mówi o współczesnym świecie.



24 stycznia system energetyczny w Niemczech nieomal się zawalił, bo wiatr ustał i tzw. farmy wiatrowe przestały dostarczać energię. Zawiodło również słońce. Mimo uruchomienia rezerw sytuacja była podobno krytyczna.

Ponieważ przekonanie, że kapryśna i nieprzewidywalna energia wiatru i słońca może w systemie energetycznym pełnić funkcję poważniejszą od wspomagającej, zawsze wydawało mi się nad wyraz śmiałe, zeszłoroczny kryzys energetyczny przyjąłem nie bez pewnej dozy – co tu kryć – schadenfreude.

Nie jestem specjalistą od energetyki, ale jako żeglarz trochę się znam na wietrze, a jako filozof polityki na pewnym typie oderwanego od rzeczywistości dogmatyzmu – więc kiedy widzę, jak z powodu japońskich trzęsień ziemi zamyka się niemieckie elektrownie atomowe, stawiając na bezchmurne niebo i wiatr, to wiem, że coś może nie wypalić.

Szacuje się, że odnawialne źródła energii (OZE) zaspokajają dziś ok. 10 proc. potrzeb energetycznych świata (mówię o tych, które wykorzystują nowoczesne technologie, bo czasem do tej kategorii dodaje się np. palenie drewnem, a wtedy wskaźniki szybują do blisko 20 proc.). W tych 10 proc. aż 70 proc. to energetyka wodna – wiatrowa zaledwie 16,3 proc. Z pozostałych 90 proc. 10 to atom, a 80 to energia z paliw kopalnych – a więc brudna, nieekologiczna, no i oczywiście nieodnawialna.

Kiedy mówimy „Niemcy", myślimy „ekologia". Oto światowy lider zielonej, przyjaznej środowisku energetyki. Jak sięgnąć okiem, wszędzie wiatraki i baterie słoneczne! Zresztą liczby mówią same za siebie – OZE to blisko 30 proc. niemieckiego tortu energetycznego! A Polska? To jasne nawet bez zaglądania w dane – fabryczny komin, hałdy węgla, smog i zniszczona przyroda.

Gdy jednak dokładniej się przyjrzeć liczbom, okazuje się, że w obrazie tym nie wszystko się zgadza.

Jak na łamach poświęconego energetyce tygodnika BiznesAlert.pl twierdzi Teresa Wójcik, zanosi się na to, że Niemcy już niedługo rakiem będą się wycofywać z całkowicie nierealistycznych celów polityki klimatycznej. Co ciekawe – problem dotyczy sztandarowej sprawy emisji gazów cieplarnianych, która do roku 2020 miała zostać ograniczona o 40 proc. (w stosunku do stanu z 1990 r.).

Z raportu niemieckiego ministerstwa ochrony środowiska wynika, że szykuje się wielka kompromitacja klimatycznego prymusa. Koniunktura gospodarcza sprawia, że zamiast zmniejszać udział energii uzyskiwanej z węgla, trzeba go zwiększać. Z ambitnych planów będą nici. Ekologiczne Niemcy – które w kwestiach klimatu moralizowały na potęgę – okazały się krową, która wprawdzie dużo ryczy, ale mało mleka daje. Najlepiej widać to, porównując rzecz z Polską. Nasz zacofany, nieekologiczny kraj, który lubi węgiel i podobno nie nadąża za postępem, okazuje się wcale nie tak słaby. Licząc od 1990 r., procentowy spadek emisji CO_2 w Polsce i w Niemczech jest niemal identyczny. U nich wyniósł 24,5, u nas 23,8 proc. Zabawne, prawda?

I nie zanosi się na zmiany, bo w Niemczech wszystko działa dziś na rzecz węgla. Wycofywanie się z energetyki atomowej, niestabilność i koszty OZE, no i oczywiście zwiększająca zapotrzebowanie na energię koniunktura gospodarcza. Słowem, węgiel wraca do łask.

Niemiecki biznes lubi klimat moralnego patosu. Kiedy biznesem była ekologia, patos był planetarny, a moralizm ekologiczny. Czy okaże się, że z tym ociepleniem klimatu to jednak była przesada!? A może usłyszymy o społecznej wrażliwości, która nie pozwala zamykać kopalń, a nawet nakazuje otwierać nowe? Trudno powiedzieć.

Choć teoretycznie nadal obowiązują plany zamykania kopalń, to w tej sprawie zapadła głucha cisza. Dużo mówi się za to o otwarciu nowej, podobno największej w Niemczech, odkrywkowej kopalni węgla brunatnego.

Lekcja z całej tej historii dla nas jest taka: zamiast zaśmiecać krajobraz wiatrakami, budujmy elektrownie atomowe. Póki Niemcy będą robić biznes, paląc węglem, póty UE nie będzie nas dusić, żebyśmy zamykali kopalnie. Kupiliśmy trochę czasu. Nie straćmy go. No i nie dajmy się zastraszyć rzekomym niebezpieczeństwem energetyki jądrowej. Trzęsień ziemi, które tak przeraziły naszych zachodnich sąsiadów, mamy mniej więcej tyle, ile czynnych wulkanów. Idźmy w atom. Tsunami nam raczej nie grozi. Smog i brak wiatru jak najbardziej.

Dariusz Karłowicz

43/1217/F

eprasa.pl 4329e3eee2

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

PROMOCJA! 50% RABATU!

~~29,90~~ **15 ZŁ!** + KOSZT WYSYŁKI



Prof. dr hab. n.med. Włodzimierz Fijałkowski (1917 – 2003).
Lekarz położnik, założyciel Sekcji Psychosomatycznej Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego. Opracował model szkoły rodzenia. W pracy naukowej skupiał się przede wszystkim na popularyzacji rodzicielstwa zgodnego z naturą oraz promowaniu wiedzy z zakresu psychologii prenatalnej.



- **Dlaczego życie jest WIELKIM CUDEM?**
- **Jak wielkim darem jest dziecko?**
- **Co dzieje się w każdym tygodniu życia człowieka w łonie matki?**
- **W którym momencie ma miejsce życiowy start człowieka?**

Odpowiedzi na te i inne pytania znajdziesz w książce „Jestem od poczęcia”.

„Miałem zaledwie 13 dni, kiedy pojawiły
się pierwsze komórki układu nerwowego.
Szczególną radością napawa
mnie fakt, że zaczęło bić moje serce.
Bije regularnie i bić nie przestanie
aż do naturalnej śmierci.
Co za radość – żyć!”.
To tylko maleńki fragment
barwnej opowieści dziecka,
które już za kilkanaście tygodni
dokona „skoku w nieznane”.

„Jestem od poczęcia.
Pamiętnik dziecka w pierwszej fazie życia”
autorstwa prof. Włodzimierza Fijałkowskiego
jest próbą odtworzenia autobiografii dziecka
w pierwszej fazie jego życia: od poczęcia
do opuszczenia łona matki i wejścia w szeroki świat.
Autor wciela się w rolę dziecka, które w 38 rozdziałach,
tydzień po tygodniu, wyjaśnia, co dzieje się
z jego ciałem i jak reaguje na bodźce zewnętrzne,
i opowiada o swojej głębokiej więzi
z rodzicami. Wielki finał – „wejście w nieznany świat” –
następuje w 39. tygodniu ciąży,
czyli w chwili porodu.

ZAMÓWIENIA:

Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”,
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
www.ksiegarnia.niedziela.pl

telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52,**
pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

eprasa.pl 4329e3eee2

Towarzysz Gersz Szmul Brendel

PIOTR SKWIECIŃSKI

Znany krakowski genealog Marek Minakowski niestrudzenie bada i publikuje w sieci ciekawostki dotyczące przodków polskich elit. Czyni to od lat i spotyka się to ze strony publiczności z zainteresowaniem. Ale mimo wszystko nieprzesadnym.

Co zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy Minakowski w swojej pasji badawczej zgłębił, a następnie zaczął wrzucać do internetu wyniki poszukiwań dotyczących tych członków elit, którzy są pochodzenia żydowskiego. W jednej chwili stał się dla wielu czarnym charakterem. Zarzucono mu oczywiście antysemityzm. I podlizywanie się obecnym władzom – bo ci, do czyich przodków dokumentów dotarł, są ich przeciwnikami.



Człowiek jest kształtowany przez bagaż rodzinny. I jeśli go afirmuje, i jeśli się przeciw niemu buntuje

Co do tego antysemityzmu, to sprawa jest skomplikowana. Z jednej strony ci, o których mowa, akurat nigdy swojego pochodzenia nie ukrywali. Z drugiej strony można zrozumieć przewrażliwienie na tym punkcie – po wszystkich horrorach, które spotkały ludzi żydowskiego pochodzenia w XX w. i w sytuacji istnienia rzeczywistego antysemityzmu.

Ale cała sprawa stała się zaczynem do szerszej dyskusji – na ile w ogóle moralne jest publikowanie informacji o przodkach znanych polityków, ludzi mediów czy biznesu? W tym i takich informacji, które większość obecnie żyjących nastroją wobec takich polityków, biznesmenów czy dziennikarzy pozytywnie, jak i takich, które odnieść mogą przeciwny skutek?

Niektórzy (i tu relacjonuję opinię dość znanego intelektualisty, którego nazwiska nie wymieniam, mam bowiem powody, żeby sądzić, iż tego by sobie nie życzył) uważają, że o pozycji człowieka świadczyć powinny wyłącznie jego własne dokonania. I dlatego grzebanie w życiorysach przodków osób obecnie żyjących bez zgody tych ostatnich jest – i tu padają mocne słowa: jak gwałt, jak kradzież. Jeśli chodzi zaś o żydowskość przodków, to takie korzenie są w Polsce przez wielu traktowane jako stygmat i dowód obcości. A ludzie nie chcą się czuć obcy. Dlatego mają prawo, żeby była to rodzinna tajemnica.

Dobrze rozumiem tę argumentację, szanuję ją, ale po głębokim zastanowieniu – odrzucam.

Byłaby bowiem ona słuszna, gdyby człowiek w momencie rozpoczęcia działalności publicznej był czystą kartą. Gdyby kształtowały go wyłącznie własne, dokonywane w sterylnej intelektualnie przestrzeni przemyślenia i to, co się za jego świadomego życia działo dookoła. Tylko że tak nie jest. Człowiek jest kształtowany w bardzo wielkim stopniu przez bagaż rodzinny. Przy czym zarówno, jeśli większość tego bagażu afirmuje, jak i wtedy, kiedy się przeciw niemu buntuje. I w jednym, i w drugim wypadku ów bagaż może być, i najczęściej jest, źródłem (oczywiście niejedynym, ale ważnym) zajmowanych przez człowieka postaw. A co za tym idzie – podejmowanych przez niego decyzji. To nie jest bez znaczenia, podobnie jak nie jest bez znaczenia np., jakie anegdoty opowiadał w dzieciństwie kogoś obecnie ważnego kochany przez niego wujek.

I dlatego sądzę, że wiedza na temat historii rodzinnych osób zajmujących się działalnością publiczną nie może być sferą tabu. Moim zdaniem ludzie mają prawo chcieć informacji o tym, co warunkuje tych, którzy wywierają ponadprzeciętny wpływ na życie kraju.

Przy czym zarazem są to sprawy na tyle delikatne, że każdy człowiek będący przedmiotem zainteresowania ma tu bezdyskusyjne prawo do milczenia. Ale zarazem naukowiec czy dziennikarz ma – i to za nim stoi interes społeczny – równie bezdyskusyjne prawo do stawiania pytań i drążenia tematu. Kwestionowana może być forma tego drążenia, jeśli przebijają przez nie złe intencje. Ale nie samo drążenie.

Przy czym oczywiście taka informacja powinna być przedstawiana w sposób spokojny. Unikający tonu, który może być zrozumiany jako nagana lub pochwała dla żyjącego z powodu tego, kim byli jego przodkowie.

Skądinąd potomkowie miewają różne podejście do kwestii tożsamości swoich przodków. Na warszawskim cmentarzu, opodal grobu moich dziadków, znajduje się mogiła, którą od ich śmierci (koniec lat 70.) dobrze zapamiętałem, bo jest znakiem orientacyjnym, ułatwiającym odnalezienie „mojego" grobu. Napis na nagrobku głosił pierwotnie: „Towarzysz Gersz Szmul Brendel", niżej daty śmierci i informacja o działalności w KPP i – chyba – PPR. Kilka lat po przełomie 1989 r. słowo „towarzysz" zostało z nagrobka, jak rozumiem na polecenie dzieci czy wnuków, usunięte, a w jego miejscu kamieniarz wyrył gwiazdę Dawida.

Przyznam, że nieraz idąc do grobu moich dziadków, zastawiałem się, co na tę operację powiedziałby sam najbardziej zainteresowany, czyli nieżyjący p. Brendel. I czy postąpiono z nim fair?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4329e3eee2

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Wolny Polak

W Polsce w kręgach tzw. elyty obowiązuje logika mówiąca, że trzeba być „nowoczesnym" i „tolerancyjnym". W rzeczywistości owa „nowoczesność" oznacza małpowanie tego, co neomarksiści wymyślą w Berlinie, Paryżu lub Brukseli – z tym że brukselskie pomysły obciążane są jeszcze biurokratyczną finezją perszerona. „Tolerancyjność" to nic innego jak chodzenie na przyjęcia i deklarowanie, że gejowizna to lepsza część świata ludzkich uczuć, a pisiory to hołota i tragedia.



Witold Gadowski

Cóż dziś znaczy być wolnym i niepodległym Polakiem? Łatwiejsza jest odpowiedź negatywna: nie myśleć ani nie postępować tak jak postpeerelowska „elyta warszawki". Większość tego, co ona mówi i robi, wynika z kompleksu niewolniczego małpowania sposobu, w jaki myślą i zachowują się ich idole. Ta cieniutka warstewka pleśni, jaka narosła na polskim myśleniu, nie jest w stanie niczego wykoncypować. To tym bardziej smutne, że nawet dyskusja z nimi nie może się udać – bo dyskusja zakłada, że strony samodzielnie myślą.

Jak jednak pozytywnie i lapidarnie zdefiniować dziś wolnego Polaka? To, że samodzielnie myśli, jest banałem. Warunek drugi jest już bardziej ekskluzywny i konkretny – nie ma kompleksów wobec świata, nie uważa się za kuzynkę Bietkę, która musi potwierdzać swoją wartość w oczach innych. Wolny Polak zna swoją historię i spokojnie potrafi opowiedzieć o niej innym. Postkomunistyczny mankurt najpierw poczeka, aż „mądrzejsi i więksi" ogłoszą swoje zdanie, a potem entuzjastycznie będzie je powtarzał jak papuga. Wolny Polak, jeśli ktoś mu zarzuci, że propagując prawdę o historii własnego kraju, jest antysemitą, popuka się w czoło.

Awantura z Izraelem i żydowską diasporą pokazała, kto dziś jest w Polsce wolnym obywatelem, a kto pełnym kompleksów, zastraszonym i postsowieckim endemitem. Wolny człowiek nie reaguje agresywnie, bo jest przekonany o własnej wartości. Mankurt miota się gnany wstydem, strachem i chęcią wkupienia się w łaski silniejszego. Chodzi o to, że o tym, kto naprawdę ma siłę i jest zdolny zmieniać świat, przekonujemy się dopiero w dyskusji wolnych ludzi, którzy niczego nie muszą udawać.

Wolny Polak spokojnie stwierdzi dziś, że Polacy na równi z Polakami żydowskiego pochodzenia i z Żydami byli ofiarami niemieckich zbrodni popełnionych w czasie II wojny. Nie ma ofiar lepszych ani gorszych. Jeśli ktoś chce wartościować w tej sferze, jest propagandystą i jego głos powinien być zakwalifikowany jako rasistowski i zły.

To proste rzeczy, smutek przychodzi, gdy należy je dziś tłumaczyć. Wolni Polacy wiedzą to jednak instynktownie.

Rachunek prawdopodobieństwa

Marcin Święcicki, Jan T. Gross, Binjamin Netanjahu itp. obstają przy tym, że w czasie II wojny światowej Polacy licznie uczestniczyli w mordowaniu Żydów. Premier Izraela publicznie zbeształ Mateusza Morawieckiego i wezwał go na dywanik.

Oskarżanie o zabójstwa wymaga precyzyjnych sformułowań. Z wykształcenia jestem inżynierem, dlatego namawiam do stosowania narzędzi matematycznych: statystyki, logiki i rachunku prawdopodobieństwa.



Lech Makowiecki

Kolaboracja rządów państw podbitych przez III Rzeszę jest faktem. Tysiące Chorwatów, Łotyszów, Francuzów, Duńczyków, Holendrów, Belgów, Ukraińców, Węgrów, Estończyków, Austriaków, Włochów dobrowolnie wstępowało do Waffen SS. Gdy w Polsce Kossak-Szczucka tworzyła „Żegotę", ginęli Ulmowie, a Pilecki i Karski słali w świat raporty o niemieckim ludobójstwie – władze zachodnich krajów same dowoziły swoich żydowskich obywateli do obozów śmierci. Gdy w gettach policja żydowska pomagała w wysyłce do Auschwitz swoich współbraci, żołnierze AK wykonywali na szmalcownikach wyroki śmierci.

W zniewolonym kraju to okupant dyktuje warunki. Ratowanie Żydów z narażeniem życia Polaków i ich rodzin mogłoby się wydawać nielogiczne. Nie rozumieli tego nawet sami ocaleni. Aby to pojąć, trzeba uwzględnić wpływ wiary na postępowanie.

Badacze najnowszej historii Polski mają dziś możliwość sprawdzenia informacji o tym, kto, kiedy i kogo mordował. Takie statystyki już istnieją: 2 mln 800 tys. polskich Żydów i mniej więcej tyle samo etnicznych Polaków zostało zlikwidowanych przez Niemców. Jeśli w czasie wojny i tuż po niej zabijali również Polacy, warto by opublikować liczbę ich ofiar. I porównać z liczbą Polaków zamordowanych w tym czasie.

Większość polskich rodzin straciła kogoś bliskiego w wyniku faszystowskich i komunistycznych prześladowań. Prawdopodobieństwo, że natrafimy na wojenne zbrodnie Polaków, jest (w porównaniu z innymi nacjami) małe.

eprasa.pl 4329e3eee2

PRZEZ ŚWIETLIK

Szczury mniej równe

Pewnego razu szczur spotkał na ulicy chomika i spytał: „Słuchaj. Jak to jest? Ty masz cztery łapki, ja też, ty masz ogonek, ja też, ty masz futerko, ja też, ty masz dwa sterczące ząbki, ja też. Ciebie wszyscy kochają, karmią i głaszczą, a na mnie polują i wykładają trutkę". Na co chomik odpowiedział: „No bo ty masz fatalny PR, szczurku". Niby żart, ale jako żywo ilustruje to, co dzieje się dookoła nas w kwestiach ekologii, ochrony zwierząt, przyrody i wszystkiego innego.



Ze zwierzętami jak z narodami – są takie, których nawet jednego przedstawiciela, choćby był ekszbrodniarzem, tknąć nie można, i są takie, po których można śmiało jeździć en masse, jak serią z pepeszy, w sposób iście rasistowski i szowinistyczny, będąc dziennikarzem najbardziej liberalnego i tolerancyjnego dziennika świata, i zbierać pochwały. Jak uczył wujek Orwell, tak samo jest w świecie zwierząt. A raczej, tak samo jest w świecie zwierząt, kiedy wezmą się do niego ludzie.

Wracając więc do szczurów i chomików. Przy okazji minionych świąt Bożego Narodzenia nasłuchałem się deliberacji na temat zwierząt futerkowych i ich odczuć, niechcianych jako prezenty psów, kotów i świnek morskich, karpi cierpiących w wannie i innej zwierzyny. Od ubiegłego tygodnia słyszę z kolei o najsłynniejszej w Europie prześladowanej przez faszystów Puszczy Białowieskiej, że znowu w niej jakieś urządzenia zahałasowały, co niezwykle rozdrażniło urzędników europejskich. Jedyną zaletą tego całego sporu jest to, że poznałem słowo harwester. W Wikipedii jest napisane, że to inaczej kombajn zrębowy. Muszę przyznać, że harwester brzmi straszniej, trochę jak ponury kosiarz z „Sensu życia według Monthy Pythona". Nie mam zdania w sprawie zwierzątek futerkowych, bo kompletnie nie wiem, ilu hodowców zmiana miała dotyczyć i jakie straty spowodować. Wszyscy podawali inne dane. Nie inaczej z puszczą. Każdy ma swoich ekspertów i naukowców.

Za to wiem, że na pewno jeden gatunek jest w tym wszystkim pokrzywdzony. Nikt się za nim nie wstawia, jak za karpiem z wanny. Nikt go nie dokarmia. Nikt się o niego nie upomina, pomimo że przedstawiciele owego gatunku nie mają w zwyczaju powodować śmiertelnych wypadków drogowych jak nadprogramowe łosie, ani niszczyć zasiewów jak bezpieczne od odstrzału dziki. Chodzi o wspomnianych na początku, nielubianych kumpli chomika – szczury.

Ze zwierzętami jak z narodami – są takie, których nawet jednego przedstawiciela tknąć nie można, i są takie, po których można jeździć jak serią z pepeszy

Szczury się wybija, są straszne. W Warszawie pasażer przeżył horror na stacji metra, szeroko opisywany przez media. Szczur uchwycił go za nogawkę. We Wrocławiu powstaje centrum kryzysowe do walki ze szczurami. Podobnie w Paryżu, gdzie plaga szczurów straszy turystów.

Co na to ekolodzy, obrońcy zwierząt, lewicowe organizacje i partie zielonych? Co na to nasza kochająca koty i inne zwierzęta, zupełnie niekoniunkturalnie i lizusowsko, prawica? Czy tworzy się specjalne, ekologiczne schroniska dla szczurów? Albo obozy przejściowe, dopóki nauka nie zamieni ich na chomiki? Ostatnie poważne wystąpienie w obronie szczurów, jakie kojarzę, to dostępny na YouTubie polski film „Szczurołap" sprzed 32 lat. Po prostu nikt w obronie szczurów nie staje, jakby były to zwierzęta o innej wrażliwości niż norki lub tchórzofretki. A zdaje się, że śmierć od trutki jest dużo mniej przyjemna niż dobrze wymierzony dzikowi strzał z dubeltówki.

Ostatnio nawet kornika się broni jako elementu stanu naturalnego, a szczura nie. Rozumiem, że w średniowieczu szczury roznosiły dżumę i przez to zyskały złą sławę. Ale szczerze mówiąc, szczury równie dobrze mogłyby to powiedzieć o ówczesnych ludziach. A potem było tylko dobrze, ratowały marynarzy, służyły nauce, ponoć nawet uczy się je wyczuwać gruźlicę. Jakież przy tym pożytki z takiego łosia, poza tym, że można go umieścić w kreskówce albo na koszulce?

I co? Łoś jest cacy, norka jest super, a szczury w najlepszym razie, jak w Krakowie, traktuje się środkiem antykoncepcyjnym. Podobnie jest z ludźmi. Czasem po prostu przychodzą jacyś faceci w czarnych mundurach, a czasem jakiś dupek z nowojorskiej redakcji i stwierdzają, że jeden naród jest świętą krową, a drugi można potraktować jak szczurołap szczura.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 4329e3eee2

Pomniki i miłosierdzie



Aleksander Nalaskowski

Zdobywca Oscarów, autor najprawdziwszych arcydzieł po prostu poszedł do prokuratury. Bo jest za wielki, aby nie pójść. To dlaczego Władysław Frasyniuk nie poszedł?

Kilka lat temu, ale całkiem jeszcze niedawno, Roman Polański przebywający w Polsce, a ściślej w Krakowie, dostał wezwanie do prokuratury celem złożenia wyjaśnień w sprawie gwałtu na nieletniej. Tę historię znamy. Każdy niech ocenia, jak chce. Bohema z Beverly Hills ma własne standardy i miliony dolarów. Ale co zrobił Polański? Grzecznie przyjął wezwanie, poszedł do prokuratury, odmówił zeznań i wyszedł z prokuratury. Czuje się niewinny? Czuje. Czuje się zaszczuty? Czuje. Ale do urzędu się stawił i kropka. A przecież to naprawdę znaczący Polak, zdobywca iluś tam Oscarów, autor najprawdziwszych arcydzieł. Mógłby się tym wszystkim, razem z żydowskim pochodzeniem, zasłaniać i bełkotać o antysemickiej nagonce postkomunistów à la Marzec '68. Ostatecznie mógłby zrobić rejwach, że w RP gnębią starców. Ale on po prostu poszedł do prokuratury. Bo jest za wielki, aby nie pójść. I tyle. To dlaczego Władysław Frasyniuk nie poszedł? Ma więcej Oscarów? Jeszcze większy artysta? Ma jeszcze lepsze pochodzenie? Facet, który w PRL walczył o praworządność, sam się postawił nad prawem? Wyprał resztki swojej legendy. Małe to i okropnie głupie. Ale tak się przemija. Kajdankami i tak nie dogoni już legendy – poszła się bujać.

Nie minie natomiast pamięć o umierających artystach. Na deski Bożego teatru zaproszono Wojciecha Pokorę. Uwielbiałem go. W każdej roli, nawet wulgarnie publicystycznej jak rola w filmowym humbugu „Alternatywy 4", był znakomity. Stosunek do aktorstwa i życia dyktowało mu nazwisko. Był to artysta, który wciąż czekał na tekst, na film życia. Nie widziałem go nigdy w teatrze. Nie miałem szczęścia. Ale myślę, że nigdy się nie doczekał takiego dzieła albo chociażby dziełka. To jeden z tych, którzy potencjałem przerastali potencjał wytwórców literatury.

Odszedł też Antoni Krauze. Kiedyś go poznałem, jeszcze przed „Smoleńskiem". Niebywały wrażliwiec, taki człowiek bez skóry. Chyba tylko pozorny twardziel. Jego „Monidło" to absolutne arcydzieło. Młodzież mawia „nie do wyjęcia". Dogłębne studium hochsztaplerki i urabiania, a przy tym mentalnego prostactwa. „Akwarium" – porażające i bodaj prorocze. „Palec Boży" z Opanią – bolesny, ale potem, gdy aktor odmówił współpracy z reżyserem, jeszcze boleśniejszy. „Czarny czwartek" niemal dokumentalny, lecz taki miał być, a „Smoleńsk" – dla mnie rewelacyjny, ale też czekający na swoje odkrycie. Film tak oszczędny w środki finansowe i środki wyrazu jak skąpy Szkot. Pieszczoszkom artystowskim się nie podobał. Ale nie podobał się, zanim powstał. To szczególna koneserka. Tak jak katastrofa tupolewa, tak i film czeka na wyjaśnienie. Tak jak na rozliczenie czeka straszliwa nagonka na artystę oraz wielki, zbiorowy hejt salonu i okolic. Krauze przejdzie do wieczności, a salon razem z Frasyniukiem w niebyt.

Do historii przejdzie Waldemar „Major" Fydrych. Dawno temu poznałem go w piwnicy toruńskiej Od Nowy. Wracaliśmy chyba spod stoczni. To był sierpień 1980 r. Ale on tego zapewne nie pamięta. Zadziwiał mnie wtedy autoironią i purnonsensowym widzeniem świata. Potem nie dał się nikomu uwieść i pozostał niezależny, tak niezależny, że aż wielki. Jego Pomarańczowa Alternatywa i jej niebywała siła otworzyły zupełnie nowy język oraz sposób reagowania na „jaruzelski" komunizm perswazyjny. Socjalistyczny i bandycki surrealizm komunistyczny flaczał pod szpilą jego wysublimowanego surrealizmu zbiorowego śmiechu. Tadeusz Boy-Żeleński mógłby się od niego uczyć drwiny. Moim zdaniem Fydrych wcielił w życie ideę Wyspiańskiego teatru ogromnego i szczególnej odmiany teatru narodowego. Stał się klasykiem tego gatunku i wiele lat przed Owsiakiem pokazał, że młodzież może być obecna. Ale w przeciwieństwie do innego wrocławskiego giganta, Jerzego Grotowskiego, nikt nie śmie go podrabiać. „Major" reanimował też kolor pomarańczowy. Długo przed firmą telefoniczną i rewolucją na Ukrainie. Bo „Major" jest jeden, osobny i taki pozostanie. I nie minie.

Czeka nas pewnie dezubekizacja uczelni. To moje środowisko, najbliższe. Dlatego dopóki nie wypowiedzą się stosowne komisje i niezależni badacze, dopóty nie będę zabierał głosu w sprawie tych, którzy postępowali podle, a czasem jak kanalie. Ale mogę napisać o wielu, wielu akademickich bohaterach tamtego czasu. Takich jak prof. Stanisław Mikołajczak. Znakomity analityk języka, filolog i rzeczywisty wychowawca młodzieży akademickiej. To jeden z tych, którzy nie muszą się nawracać, bo nigdy się nie pogubili. Ryzykował wszystkim, co miał. Płacił wolnością, ale nie dał się nikomu skusić. Człowiek niezwykłej skromności. Nie minie.

Myślę, że zachowując pamięć o wielkich, stawiamy im pomniki, a pozwalając przeminąć nikczemnym, czynimy akt miłosierdzia. Let it be.

eprasa.pl 4329e3eee2

ROBERT MAZUREK

Hołota u steru

Przestańmy się wreszcie oszukiwać. Chcecie parę słów prawdy? Proszę bardzo, ale będzie bolało. Możecie nagle wierzyć doktorkom, socjologom – lewakom, z których szydziliście latami, a którym teraz powiał wiatr symetrii, ale to niczego nie zmieni. Rację miał Rakowski, że ludzi nie interesuje stół okrągły, tylko suto zastawiony. PiS przekupiło ciemny lud, rzucając mu 500+, więc ma poparcie.

Mam w d... KOD, Obywateli RP, męczennika Frasyniuka i płacz „Wyborczej", nie będę protestował przeciwko tym numerom, które Kaczor wycina z sądami, bo to nic nie da. Nie byłem u koryta, więc mnie od niego nie odstawili, nie kwiczę. Ja w ogóle od nich niczego nie chcę, od nich wszystkich. Daję sobie radę bez nich. Umiesz liczyć, licz na siebie. Wiem, że banalne, ale prawdziwe.

Kiedy przyjechałem do Warszawy 25 lat temu, nie znałem tu nikogo. Moi starzy nie mieli żadnych znajomości nawet u nas, w miasteczku, a co dopiero tutaj. Wszyscy mówili: „I kim ty chcesz zostać, gdzie się pchasz? W tym zawodzie liczą się plecy, znasz kogoś?". Nie znałem, wydawało mi się, że wszyscy z roku znają, więc zostanę na lodzie. Ale się zawziąłem.

I gdzie teraz jestem! Wszystko sobie zawdzięczam, żadnych kantów, układów w tym nie było. Żadnej politycznej protekcji, w życiu złotówki z budżetu nie wziąłem. Zapieprzałem jak głupi, świątek, piątek, sobota, niedziela, często po kilkanaście godzin. I teraz mam się wstydzić tego, co mam, tego, co zarobiłem?

Tak, mam duży, wygodny dom, całkiem luksusowe, amerykańskie auto. Nie spędzam wakacji we Władysławowie, więc mnie Janusze z Grażynami nie obchodzą, niech sobie jeżdżą przepić tę kaczą zapomogę. Hejtowaliście Młynarską, bo głupia, ale bądźmy szczerzy, prawdę napisała. To wszystko żałosne, te plaże zaszczane, bachory rzucające piaskiem, wrzask i ciepłe piwo moczone w dołku. Co za dno. Dlatego tam, dokąd jeżdżę, 500+ nie dociera. Za daleko i nie stać ich. Ja sobie ponurkuję, jak będę miał ochotę, albo poleżę z książką. I jak mnie ochota najdzie, codziennie rano będę pił szampana. Szampana, nie jakieś ruskie g...

Oszczędźcie sobie tego moralnego wzmożenia, że skoro mi się udało, to powinienem się podzielić. Co znaczy powinienem? Bo kto tak każe?

Bo ja nikomu nie zabraniałem się uczyć języków, nikomu nie zabraniałem studiować ani zapieprzać. Woleliście bąki zbijać? Wasza sprawa, ale nie każcie mi się teraz wstydzić tego, że mam. I nie rzucajcie się z łapami, by mi to wszystko podatkami ukraść, dobra? Za co jestem karany? Za to, że sobie lepiej radzę? Na rękach takich jak ja powinniście nosić, a nie podatkami karać. Zresztą i tak za głupi jesteście, by nas dopaść, bo każdy, kto tu choć trochę zarabia, i tak ma 100 sposobów, żeby się nie dać wydoić. Znam wielu znacznie bogatszych ode mnie, takich naprawdę bogatych. I wiecie co? Jasne, są jacyś oligarchowie, Kulczyki, różni tacy, ale ogromna większość to nie żadne resortowe dzieci, tylko tacy, którzy zapieprzali od świtu.

Oszczędźcie sobie tego moralnego wzmożenia, że skoro mi się udało, to powinienem się podzielić. Co znaczy powinienem? Bo kto tak każe? Jak będę chciał, to się podzielę, dam na kalekę, sierotę i żaden urzędas sobie przy tym kabzy nie napcha. Bezrobotnemu nie dam, tyle roboty dookoła jest, że wstyd by mi było rękę po zasiłek wyciągać. Zawsze są wyjątki, ale to jednak jest reguła: jak kto biedny, to głupi. I naprawdę nie widzę powodu, byśmy mieli akurat idiotom pomagać.



Nigdy do niczego nie dojdziemy w ten sposób, bo państwu zawsze będzie za mało, nigdy nie wystarczy na służbę zdrowia ani szkoły, dopóki to nie będzie rynkowe. Że się nie da? Stomatologia jest rynkowa, a jakoś ludziom zęby nie powypadały. Weterynaria jest rynkowa, więc psy traktują w lecznicach lepiej niż ludzi.

Ale nie mam was nawet ochoty do niczego przekonywać. Motłochu zawsze będzie więcej. Kaczor jest inteligentny i to wie. On prywatnie plebsem gardzi, ale się do niego zaleca i pozwala mu na siebie głosować. A wy? Żyjcie i dajcie żyć innym.

PS Za materiał do felietonu serdecznie dziękuję nieznanym internautom i kilku znajomym. Proszę państwa, są ludzie, którzy tak myślą.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

CO MNIE BARDZO SMUCI

Piękny człowiek



Katarzyna Łaniewska

O śmierci pana Antoniego Krauzego dowiedziałam się 15 lutego.

Pomyślałam: „Boże, dlaczego tak wcześnie odchodzi tak wspaniały człowiek?”. Był młodszy ode mnie o parę lat. Poznałam osobiście pana Antoniego po tragedii smoleńskiej. Oczywiście oglądałam jego filmy opowiadające o trudnych sprawach. Największe wrażenie zrobił na mnie „Czarny czwartek”.

W 2011 r. znalazłam się przed Pałacem Prezydenckim, czekając na zaciągnięcie warty honorowej 15 sierpnia. Z początku była nas garstka. Po latach zrobiły się z tego dwa szeregi. Wtedy poznałam pana Antoniego. Podszedł do mnie, przedstawił się i powiedział, że myśli o zrobieniu filmu o katastrofie. Zapytał, czy przyjęłabym rólkę w nim. Odpowiedziałam, że będę zaszczycona. Ten film zaczęliśmy kręcić. Potem zdjęcia przerwano. Nie było finansów. Były trudności z kompletowaniem obsady. Dwa lata trwały nasze kłopoty. W międzyczasie ja z kolei miałam problemy zdrowotne i bałam się, że zdjęcia ruszą, a ja nie będę w formie. Jednak się udało.

Przy innej okazji w Klubie „Gazety Polskiej”, gdy spotkaliśmy się z panem Antonim, powiedział, że będzie jeszcze jedna rola dla mnie – epizod, kiedy Lech Kaczyński jako prezydent stolicy otwiera Muzeum Powstania Warszawskiego. Ucieszyłam się. Pamiętam tekst, który mówiłam. Niestety ten fragment nie wszedł do filmu.

To, co ważyło na produkcji tego obrazu, to to, że zmieniali się scenarzyści i pomysły. Wszystko kosztowało pana Antoniego wiele zdrowia. Nikt z ekipy jednak nie narzekał. To był cichy i skupiony plan. Byliśmy prowadzeni przez reżysera w sposób taktowny. To zapamiętam. Pamiętam też spotkanie w klubie aktorskim ZASP po zakończeniu zdjęć. Siedziałam przy stoliku z panem Antonim. Odważyłam się jako najstarsza aktorka wstać i podziękować mu za wspólną pracę.

Antoni Krauze był nietypowym człowiekiem w świecie filmu. Dziękował nam za to, że możemy razem pracować. Był pokorny wobec tego, co tworzył. Przeczytałam jego wywiad, w którym mówił o swojej chorobie. Mówił, że żyje po to, aby żyć w prawdzie. On w niej żył i tworzył.

Tułaczy los w Chinach?



Jerzy Jachowicz

Uwaga! Sensacja wydawnicza. Na początku marca do księgarń trafi powieść Joanny Motyl „Imperium politycznych namiętności”. To lektura obowiązkowa dla każdego miłośnika politycznej literatury faktu. Już dziś wiadomo, że na jej podstawie jedna z telewizji prywatnych kupiła od autorki prawa do jej sfilmowania. (Nie autorki, lecz książki).

Początki powieści sięgają lata 1992 r., gorącego politycznie, z rozgrzanymi do czerwoności Belwederem i Sejmem. Osmagany morskim wiatrem młody polityk Daniel Trust decyduje się na stałe opuścić pociągiem PKP rodzimą wieś, w której również wzrastała jego pierwsza miłość. Natalia o kasztanowych włosach. (Pojawi się jeszcze w dramatycznym finale).

Bohatera powieści niesie do stolicy, gdzie jako jeden z liderów niewielkiej partii zasiada w Sejmie. Wtedy nie wiedział jeszcze, na co się zdecydować. Był rozdwojony między dwiema pasjami– piłką i polityką. Tu atak, a po chwili obrona. W polityce podobnie. Z tym że w piłce na oczach innych. A w polityce – głównie za kulisami. Potajemnie. Tylko naiwni mówią o fair play.

Los zdecydował za niego. Został wezwany nocą do Belwederu. Wiedział, że jak jest ciemno, nie gra się w piłkę. Pobiegł jednak tak szybko, jak mógł. W ostatniej chwili zdążył, by wejść w krąg podstępnego, nocnego spisku. W ten sposób zaczął się liczyć na politycznej giełdzie. Od tej chwili wiedział, co jest jego przyszłością. Pasja przerodziła się w namiętność. Wkrótce gromadzi wokół siebie podobne towarzystwo i zakłada partię Teraz My.

Aby ukoić, a właściwie zagłuszyć tęsknotę za Natalią, rzuca się w wir intryg i zdrad politycznych, wzmacnianych napojami. Jego życie prywatne po zawarciu małżeństwa z chłodną Elżbietą się komplikuje.

Autorka zabiera nas w kolejną podróż z bohaterem. Tym razem daleką. Zagraniczną. Tam namiętności polityczne i ich wymiar przerastają odporność psychiczną Daniela Trusta. Jego osobisty dramat zapiera dech w piersiach, kiedy jesteśmy świadkami, gdy podczas konferencji z delegacją chińską w roli tłumaczki spotyka... Natalię.

Czy w tej sytuacji wróci kiedykolwiek do kraju?

eprasa.pl 4329e3eee2





wSIECI HISTORII

Przedwojenna Polska obrodziła utalentowanymi lotnikami, o czym w trakcie bitwy o Anglię przekonali się Niemcy. Kamień węgielny w dziele lotnictwa położyli Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura – *pisze Mateusz Kosiński*

W marcu 1968 r. demonstracje studenckie, a właściwie demonstracje obywatelskie zainicjowane przez studentów, objęły wszystkie ośrodki uniwersyteckie i całą polską społeczność akademicką – *wspomina Antoni Macierewicz*

Maria Skłodowska niegdyś lubiła tańczyć i jeździć konno. Miała dość rozległe zainteresowania i wówczas nie było jeszcze przesądzone, że zajmie się naukami ścisłymi – *pisze Marcin K. Schirmer*

Dramatycznym zwieńczeniem narastających działań mających na celu podporządkowanie Kościoła w Polsce władzom komunistycznym było zatrzymanie w 1953 r. prymasa Stefana Wyszyńskiego. Jak wspominają świadkowie, w trakcie zatrzymania kardynał wskazał bp. Baraniaka jako osobę zastępującą go na Miodowej – *o niezłomnym duchownym bp. Antonim Baraniaku piszą Konrad Białecki, Rafał Łatka, Rafał Reczek i Elżbieta Wojcieszyk*

eprasa.pl 4329e3eee2

***Zawistowski prezentuje:* Najwyższy**



Wycinki z przeszłości

Mało co daje tak dobry wgląd w życie dawno minione jak okruchy zapisane w ogłoszeniach drobnych. Prezentujemy garść wybranych z „Mojej Przyjaciółki" z 1938 r.:

ENERGICZNA zdolna siła handlowa, długoletnia kasjerka, książkowa, niemiecki, poprowadzę samodzielnie sklep, ewentualnie obejmę zarząd domem.

PROSZĘ o posadę do pomocy pani domu. Mam lat 18, znam wszelkie prace domowe, robótki i trochę szycia.

UCZCIWA panna 24 lat z praktyką w składzie kolonialnym, zna cośkolwiek szycie, prosi o jakąkolwiek pracę.

DZIERŻAWY poszukuję 80-2 – mórg od kwietnia 1939 r. Czarnostawski, Wronowice, poczta Turkowice.

GRZYBY SUSZONE, borowiki prawdziwe, aromatyczne, dostarczamy po cenie zł 7 za gatunek „Prima". Wysyłamy najmniej 3 kilogramy. „Borgrzyb" – Grodno.

ZAPOZNAM swoją siostrę, sympatyczną, poważną pannę, nie biedną – z panem prawego charakteru, urzędnikiem lub rzemieślnikiem w celu matrymonialnym.

SPRZEDAM młyn motorowy, 43 morgi ziemi, sad kilkumorgowy, budynki. Punkt doskonały. 35 000 zł i zadłużenie.

ŹLE SŁYSZYSZ? Masz szum, cieknięcie uszu? Żądaj bezpłatnego prospektu na sztuczne bębenki „Eufonia", Kraków, Olsza.

(mk)



Strona reklamowa w „Mojej Przyjaciółce" z 1938 r.

Instalatorom Polski Ludowej w Polsce i ich światowym pomocnikom...



Leszek Długosz

Kazimierz Wierzyński 1894–1969
Na proces moskiewski

Oskarżajcie nas wszystkich, nie tylko szesnastu,
Sądźcie poległych w grobie, to też winowajcy,
Sądźcie szkielet, co z wojny pozostał się miastu,
Gdy wyście jeszcze z diabłem kumali się, zdrajcy.

Oskarżcie także wolność, nieznane wam słowo,
Ten odwieczny zabobon, co zawsze nas dzieli,
Cały kraj polski weźcie, zamknijcie go w celi
I wprowadźcie pod sztykiem na salę sądową.

I choć wyrok spiszecie w ciemnicach swych na dnie
By w kremlińskiej go potem ujawnić asyście,
Jeszcze ten, kto jest wolny, bez trudu odgadnie,
Że zbrodniarzem w tej sali nie my, ale wyście.

My przyjmiemy wasz werdykt. Nie zdoła was zawieść
Polska pamięć i długie pokoleń wspomnienia,
Bo cokolwiek się stanie, jak świat się pozmienia,
Niezmienna wasza przemoc i gwałt i nienawiść.

Lecz kto wolny, a myśli, że z oczu odpędzi
Upiora waszych jaskiń, bagienny wasz opar,
Błądzi, bo moskiewskiego świat ułąkł się sędzi,
Wolnych w walce opuścił, ciemiężcę ich poparł.

I osądził się hańbą i skazał na siebie,
Uciekłszy od rozumu, szaleńczy trybunał,
I z diabłem się na polskich mogiłach pokumał
I potępiony będzie na ziemi i niebie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 4329e3eee2

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Stronniczość!

Jako socjologowie ze sporym doświadczeniem nauczycielskim aż za dobrze wiemy, jak skomplikowaną rzeczą jest komunikacja międzyludzka. Jak wielu pułapkom podlega.

DWIE PUŁAPKI

Ostatni nazbyt gorący spór izraelsko-polski powoduje potrzebę przypomnienia dwóch z tych pułapek. O czym zatem trzeba koniecznie pamiętać, gdy chcemy, by komunikacja służyła współpracy, a nie jedynie konfrontacji i walce?

Po pierwsze, komunikowanie się **zawsze** przebiega w pewnym szerszym kontekście. Po drugie, ludzkie poznawanie świata, a następnie komunikowanie tego, co sądzimy, że wiemy, zawsze rozgrywa się w ramach pewnych stereotypów, schematów myślowych.

SŁOWA W KONTEKSTACH

Oto elementarz komunikacji międzyludzkiej (przynajmniej tej uczciwej, realizowanej w dobrej wierze): słowa odczytujemy w zdaniach, zdania w ramach szerszych wypowiedzi, wypowiedzi są częścią rozmowy, a rozmowy nie można wyabstrahować z kontekstu kultury rozmawiających stron.

A jednak. Wypowiedź premiera Mateusza Morawieckiego zawierająca stwierdzenie, że tak, jak byli polscy sprawcy (*perpetrators*) Holokaustu, byli też żydowscy, rosyjscy i ukraińscy – nie tylko niemieccy, została odarta z tego, co ważne dla odczytania jej sensu. A była to przecież jedynie odpowiedź na konkretne, bardzo emocjonalne pytanie dziennikarza. Przecież istnieje kontekst innych wypowiedzi polskiego premiera i stanowisko władz RP w sprawie dialogu polsko-izraelskiego. Nie ma racjonalnych powodów, by premierowi zarzucać negację Holokaustu i przypisywanie Żydom odpowiedzialności za zaprojektowanie i wykonanie Zagłady.

MYŚLI W STEREOTYPACH

Nie przyswajamy rzeczywistości bezpośrednio, w jej całokształcie. Nasze poznanie jest zawsze selektywne, cząstkowe, ukierunkowane, w pewnym sensie jednostronne. Nasze poznanie zawsze kierowane jest przez schematy (stereotypy), które powodują, że pewne właściwości świata są odcedzane, inne zaś uwypuklane, powiększane. To elementarz współczesnej psychologii.



Nie ma prawdziwego dialogu bez poszanowania wrażliwości obu *stron. Licytowanie się na wielkość łez i siłę zadawanego bólu to nie jest dialog*

Od stereotypów nie ma ucieczki, choć – rzecz jasna – stereotypy stereotypom nierówne. Mogą być stereotypy rasistowskie i mogą być stereotypy otwartości na wymiar człowieczy („nie masz Żyda ni Greczyna", by przywołać św. Pawła).

Są straszne stereotypy antysemityzmu. I są głupie stereotypy antypolonizmu.

Są stereotypy uwrażliwiające na jedne sprawy i oślepiające w sprawach innych.

DIALOG, DIALOG?

Dialog prowadzony w dobrej wierze zakłada rzetelne uwzględnianie kontekstów oraz gotowość do refleksji nad swymi stereotypami. Przezwyciężenie chęci chodzenia na skróty, zawsze gdy tylko coś przeczy opowieści, do której jesteśmy silnie przywiązani.

Dialog nie może być rażąco jednostronny, bo przestaje być dialogiem. A jak zerwiemy dialog, którego przedmiotem są sprawy nader skomplikowane, sprawy dwuznaczne, sprawy tragiczne, to... aż strach pomyśleć.

Czym był w istocie ten wychwalany dialog polsko-izraelski ostatnich dekad, skoro reakcje izraelskie i diaspory żydowskiej na słowa naszego premiera w Monachium są tak agresywne?

Co mamy myśleć o kimś inteligentnym, zdolnym do wielowymiarowego oglądu nawet bardzo skomplikowanych spraw, gdy w bardzo delikatnej sprawie wykazuje rażącą jednostronność? Gdy istotne konteksty odrzuca?

PRZYPUSZCZENIA

Dwa przypuszczenia, dwa wyjaśnienia tej sytuacji. Po pierwsze, jednostronność – niegodna inteligencji osób zamieszanych w spór – może brać się ze złej woli, z tego, że za stronniczością kryją się jakieś interesy. Po drugie, swoiste „wyłączenie", zawężenie inteligencji wystąpiło, gdyż różnica zdań dotyczy czegoś kluczowego dla czyjejś tożsamości. Sprawy tak kluczowej dla samooceny danej zbiorowości, że aktywuje się psychologiczny mechanizm obronny, który „zawiesza" rzetelność poznawczą.

Nie ma prawdziwego dialogu bez poszanowania wrażliwości obu stron.

Licytowanie się na wielkość łez i siłę zadawanego bólu to nie jest dialog.

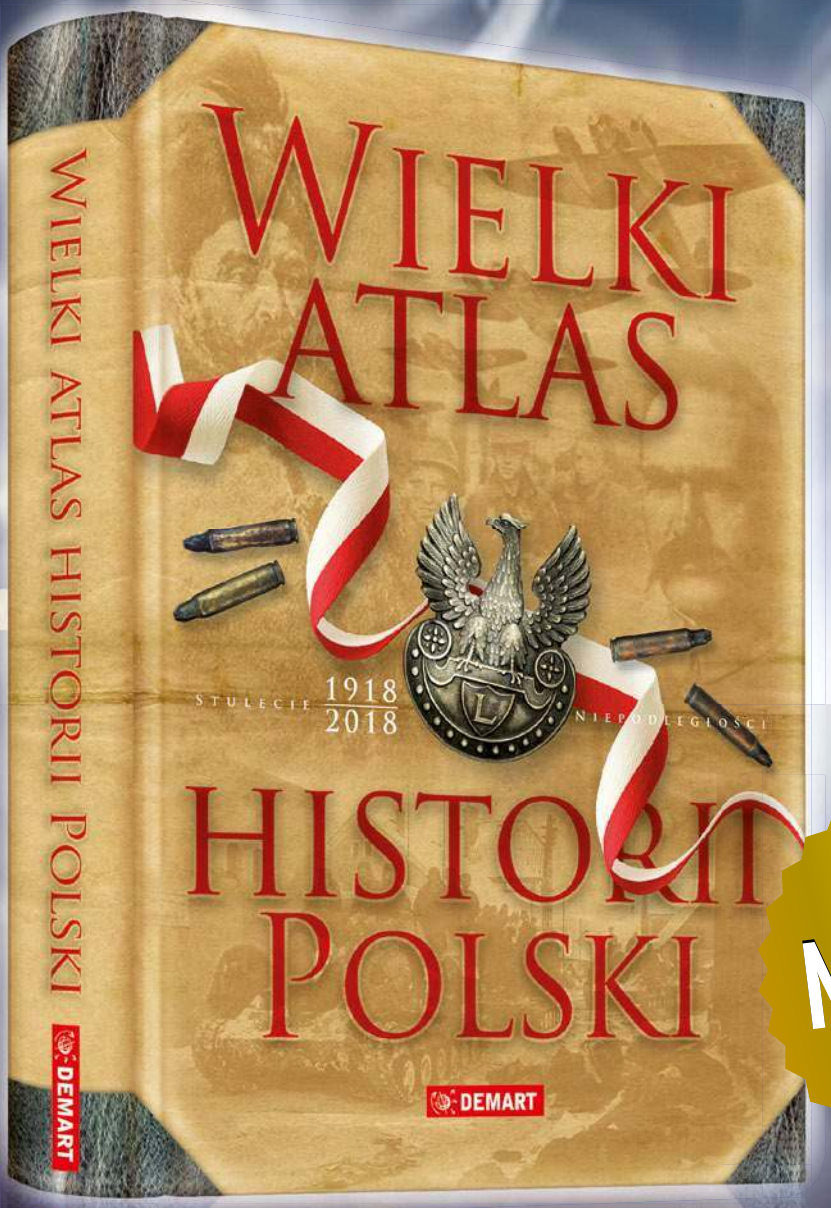
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

2/2018/F | 69/0118/F

eprasa.pl 4329e3eee2

Ponad 1000 lat dziejów Polski

Na 100-lecie niepodległości



NOWOŚĆ

WYJĄTKOWY ATLAS NA WYJĄTKOWĄ OKAZJĘ

demart.com.pl

DEMART

PYEONGCHANG2018
#GRAMYDLASPORTU

GRATULUJEMY NASZYM SPORTOWCOM MEDALI OLIMPIJSKICH!



LOTTO

SPONSOR GENERALNY
POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

eprasa.pl 4329e3eee2